

JUSTINT
J. SCOTT




AMBER

ZAKAIĄCY SKARB



W trakcie budowy tunelu pod East River w Nowym Jorku jeden z robotników, Dick Creegan, znajduje dwie dziwnie wyglądające grudki skały, które po oczyszczeniu okazują się szczerym złotem. Stary numizmatyk rozpoznaje w nich osiemnastowieczne hiszpańskie monety pochodzące ze skarbu znanego angielskiego pirata. Robotnicy nie chcąc stracić oszacowanego na milion dolarów znaleziska, postanawiają zachować odkrycie w tajemnicy...

Nakładem Wydawnictwa AMBER ukaże się wkrótce kolejna powieść Justina Scotta

KAMIENNY PYŁ

Cena 21,90 zł (z 14 900)



SENSACJA

ISBN 83-7082-879-5

Justin SCOTT

ZNIKAJĄCY
SKARB

Przełożył

MIROSLAW KOŚCIUK



Tytuł oryginału TREASURE FOR TREASURE

Ilustracja na okładce

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja merytoryczna

EUGENIUSZ MELECH

Redakcja techniczna

ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

DOBIEŚŁAW KUBACKI

Copyright © Justin Scott 1974

For the Polish edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7082-879-5

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1995. Wydanie I

Druk: FINIDR, s.r.o., Český Těšín

Dla Dona

1.

Bryłka wyglądała jak kawałek skały, ale skałą nie była, więc podniosłem ją, aby obejrzeć z bliska. Tak się bowiem składa, że właśnie na kamieniach znam się najlepiej. Nie jestem geologiem, ale w moim dotychczasowym życiu, a liczę sobie dwadzieścia pięć lat, przerzuciłem już może z miliard kamieni. Kiedy bowiem ktoś od siedmiu lat ryje pod ziemią niczym kret, ma z nimi bez przerwy do czynienia.

Tak więc, podniosłem ten dziwny odłamek, lecz nim zdążyłem przyrzuć się mu dokładniej, Rifkins, nasz majster, wrzasnął:

— Creegan!

Ponieważ było to adresowane do mnie, gdyż nazywam się Dick Creegan, odkrzyknąłem:

— Czego?

— Przestań się opierdzcilać i wracaj do roboty. Powiedziałem do kamyka parę ciepłych słów na temat Rifkinsa, po czym wsunąłem go do kieszeni. Łysy majster przepchał się między chłopakami, stanął koło mnie i zapytał, czy mógłbym to powtórzyć. Zapewniłem go, że nic nie mówiłem, podniosłem łopatę i pomaszzerowałem do tarczy, aby napełnić błotem kolejny krążownik.

Dla tych wszystkich, którzy nie są tunelarzami, należy się w tym miejscu nieco wyjaśnień. W całym kraju jest nas niecały tysiąc.

Tarcza, to ogromny stalowy cylinder. Osłonięci jego ścianami, drążymy tunele pod rzekami i zatokami. Tarcza wyposażona jest w krawędź tnącą; pełnie do przodu, wgryzając się w grunt niczym gigantyczny robak, połykając błoto, którego nie zdążyła rozepchnąć na boki.

Rifkins odszedł terroryzować kogoś innego, ja zaś zacząłem machać szuflą. Wkrótce sytuacja się powtórzyła. Ledwie wrzuciłem do krążownika parę łopat, a już pojawił się następny kamień nie kamień. Wziąłem go do ręki i przykleknąłem obok krążownika, chcąc sprawdzić, czy nie ma ich więcej.

Teraz opowiem wam o krążowniku. Pod tą dziwną nazwą kryje się najzwyczajniejszy na świecie mały wagonik, do którego wrzucamy nasz urobek. Kiedy wagonik jest już pełny, holujemy go po szynach do śluzy powietrznej na początku tunelu.

Rozgarnąłem dłonią muł, ale niemal w tej samej chwili poderwał mnie na nogi ryk Rifkinsa. Tym razem sugerował, że zabawiam się robieniem babek z piasku. Usiłowałem znaleźć odpowiedź, która pozwoliłaby mi zachować twarz, lecz właśnie wtedy rozległ się dzwonek oznajmiający koniec szycoty i Rifkins pośpieszył do ważniejszych zajęć.

Poskładaliśmy narzędzia i pomaszzerowaliśmy do komory dekompresyjnej. Tunel osiągnął już połowę długości. Zaczynał się u zachodnich wybrzeży Welfare Island i docierał do środka East River. Gdy będzie gotowy, jego wylot znajdzie się na Manhattanie, o ile oczywiście inżynierowie czegoś nie pokręcili. Nasz tunel był jednym z trzech na trasie linii kolejowej łączącej Queens z Manhattanem. Drugi był drążony równocześnie z naszym w skałach Welfare Island, a trzeci — między wschodnim brzegiem Welfare Island i Queens — został już oddany do użytku.

Zbliżyliśmy się do potężnej grodzi na początku tunelu. Po drugiej stronie powietrze miało normalne ciśnienie. Tutaj było ono o około kilograma na centymetr kwadratowy wyższe. Pomiędzy jednym a drugim znajdowała się komora dekompresyjna.

Rifkins uważnie przeliczał wchodzących. Dwukrotnie. Dopiero wtedy skinął głową Burke'owi, który szczelnie zamknął stalowe drzwi i zarygłował zamek. Rifkins własnoręcznie ustawił zawór tak, by dekompresja trwała godzinę. Usiedliśmy na drewnianych ławkach.

Byłem wypompowany. Zakończyliśmy drugą, trzygodzinną roboczą zmianę. W takim momencie człowiek myśli o dekompresji jak o darze niebios. Gdybym wyszedł teraz na ulicę, padłbym ze zmęczenia. Przez piętnaście minut siedziałem ze zwieszoną głową, a potem, kiedy już odpocząłem nieco, zacząłem się nudzić. Popatrzyłem po sąsiadach, jednak nikt nie przejawiał specjalnej ochoty na rozmowę. Wyciągnąłem z kieszeni książkę i czytałem aż do chwili, gdy Burke otworzył drzwi służby.

W korytarzu czekała już następna zmiana. Wymieniliśmy pozdrowienia i chłopaki zniknęli w komorze.

Winda wyniosła nas na oddaloną o kilkadziesiąt metrów powierzchnię, tuż przed barakiem zaplecza mieszczącym szatnię, natryski, sypialnię oraz biuro. Zrzuciłem robocze ciuchy na podłogę i popędziłem pod prysznic. Wróciłem parujący i czysty, wytarłem się do sucha, po czym ubrałem się w spodnie i gruby, czarny golf. Włożyłem buty, wrzuciłem do szafki brudne łachy i naciągnąłem na grzbiet stary kozuch po świętej pamięci ojcu. Była druga połowa listopada, więc na dworze panował chłód.

Kamienie.

Sięgnąłem do kieszeni flanelowej koszuli, wygrzebałem chropowate odłamki i przelożyłem je do kozucha. Zatrzasnąłem szafkę, skierowałem się do wyjścia, mając nadzieję, że na ulicy czekać będzie na mnie Jeannie.

2.

Jeannie i Howard stali tuż za bramą.

— Cześć, Jeannie. Cześć, Howard — powiedziałem.

Pocałowała mnie delikatnie w policzek, a Howard pokiwał głową. Pocałowałem Jeannie w usta i cofnąłem się o krok, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Nieprawdopodobnie gęste, brązowe włosy opadały prosto na ramiona. Niewielka grzywka harmonizowała z wydatnymi kośćmi policzkowymi, upodabniając twarz Jeannie do owalnego diamentu. Błękitne oczy, pełne usta. Ciągle nie mogłem pojąć, co taka kobieta widziała we mnie.

— Pomyślałam, że możesz mieć ochotę na przejażdżkę — powiedziała.

Podziękowałem jej za troskę, zapewniłem, iż mam ochotę i zapytałem, jakie ma plany w związku z dzisiejszą kolacją. Odparła, że możemy zjeść razem w jej mieszkaniu. Przystałem na to z ochotą. Gdy doszliśmy do samochodu, Howard wskoczył na tylne siedzenie, ja zaś usiadłem z przodu obok Jeannie. Z Welfare Island wjechaliśmy na Vernon Boulevard w Queens, minęliśmy most na Pięćdziesiątej Dziewiątej i skręciliśmy w Drugą Aleję. Jakoś nie mogłem się przyzwyczaić do tych gapiących się na nas ludzi. Zarówno kierowcy jak i piesi otwierali szeroko oczy, gdy tylko ujrzeli rollswagena Jeannie. Albo volksroyce'a. Na krótko przed tym, jak poznaliśmy się, Jeannie podłapała dobrze płatną robotę w telewizji komercyjnej.

Zapłacili jej sześć tysięcy zielonych za podłożenie głosu w jedno-minutowej reklamówce. Za te pieniądze kupiła sobie nowego volkswagena. Potem pojechała do zakładu blacharskiego w Bronx, gdzie fachowcy usunęli przód karoserii i zastąpili go miniaturową repliką maski rolls-royce'a, a całość pomalowali na kolor srebrzysto-czarny.

Volkswagen i rolls-royce. Obie marki pasowały do siebie jak wół do karety. Nic dziwnego, że ludzie się gapili. Tak samo jak wówczas, gdy Jeannie uganiała się za Howardem po ulicy. Ale chyba właśnie tego pragnęła.

— Jak ci dziś poszło? — zapytałem.

— Fantastycznie.

— Znalazłaś coś?

— Zaproponowano mi rolę.

— Jaka?

— Biseksualnej karłowatej pokojówki.

— Czy nie jesteś trochę za wysoka?

— Też tak pomyślałam, ale mój agent uważał, że jakoś sobie poradzimy.

— Dostaniesz tę rolę?

— Nie. Powiedzieli, że za młodo wyglądam. — Wyprzedziła furgonetkę Con Ed i uśmiechnęła się do mnie. — Jak myślisz, czy mogę jeszcze zagrać niewinne dziewczątko?

— Nie — stwierdziłem. — Niestety.

— Też mi się tak wydaje — oznajmiła wesoło.

Jeannie miała dwadzieścia dziewięć lat i znajdowała się w pełnym rozkwicie kobiecości. Mawiała, iż jest pracującą aktorką. W jej pojęciu oznaczało to zarabianie na życie grywaniem drobnych ról na Broadwayu, a także w innych miejscach, oraz sporadyczne chałtury w reklamach. W ostateczności, gdy nie miała innego wyjścia, dorabiała jako modelka. Jakoś wiązała koniec z końcem, ale musiała się przy tym niezłe nabiegać. Jak na razie, nie trafiła jeszcze na swoją wielką rolę.

Przy końcu Drugiej Alei skręciła w prawo, na Houston.

— A co u ciebie? — zapytała.

— Znalazłem coś dziwnego. Popatrz. — Wyciągnąłem z kieszeni koczucha kamienie nie kamienie i ułożyłem je na otwartej dłoni. Nie odwracając głowy, zerknęła w dół spod przymrużonych powiek.

— Jakieś skały?

— Nie sądzę. Spójrz. — Potarłem bryłkami, jedną o drugą. Ich powierzchnia zaczęła się ścierać, a na podłogę wozu posypał się mokry pył.

— Hej, Krecie, brudzisz mi samochód.

— Przepraszam. — Otrzeпаłem fotel i włożyłem do kieszeni te niezwykłe kamienie. Minęliśmy Szóstą Aleję. Chwilę potem Jeannie wzięła pilota i nacisnęła guzik. Drzwi jej garażu powoli uniosły się.

Miała niezłe mieszkanie na czwartym piętrze. Duży pokój dzienny, dwie sypialnie oraz przyzwoitych rozmiarów kuchnia. Było tam więcej miejsca niż ona i Howard mogli potrzebować. Gdy przed kilku laty wprowadzała się, czynsze w mieście nie były tak absurdalnie wysokie jak teraz.

Zwałem się na wielką, obitą zamsem kanapę. W chwilę później Jeannie przyniosła dwie szklanki napełnione zmieszaną z martini wódką i usiadła obok. Howard jak zwykle zajął krzesło w drugim końcu pokoju.

— Zdrówko — powiedziała Jeannie. — Jesteś głodny?

— Zdrówko. Nie, nie jestem głodny. Możesz mi dać szklankę wody?

— Weź sobie sam.

Znalazłem szklankę w kuchni, napełniłem ją wodą i, uzbroiwszy się w nóż, wróciłem do salonu. Ustawiłem szklankę na stoliku do kawy, po czym wrzuciłem do niej moje kamyki nie kamyki.

— Co robisz? — zdziwiła się Jeannie.

— Może woda rozmiękczy zewnętrzną otoczkę — wyjaśniłem.

— Coś tak się uwziął na te skały, Krecie?

— Są bardzo dziwne. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Woda zaczęła brązowieć.

— Uważam, że są to po prostu dwie kulki błota — oświadczyła Jeannie.

— Mylisz się. Zauważ, że są niemal identycznej wielkości. Mają taki sam kształt. Poza tym, nie przypominają już kulek.

— O czym ty mówisz?

— Stały się miękkie — wyjaśniłem. — Widzisz? Wyraźnie się spłaszczyły.

Teraz także Jeannie spojrzała z ciekawością.

— Co to jest?

Sięgnąłem po nóż, wyłowilem z wody brunatny placek dwu i pół centymetrowej średnicy i czubkiem ostrza zacząłem zdrapywać wilgotny osad. Jeannie uważnie obserwowała moje poczynania. Jej długie włosy spływały mi na ramię, czułem woń jej perfum. Była teraz jeszcze piękniejsza niż zwykle. Zapomniawszy się na chwilę, przejechałem nożem po palcu.

— O cholera! — zamachałem dłonią.

— Och, Krecie! — Jeannie wepchnęła mój skaleczony palec do wody, otarła z błota i obejrzała ranę. Potem włożyła go do ust i wyssała krew. Natychmiast zniknął wszelki ból. — Lepiej? — zapytała i przeciągnęła po palcu spiczastym językiem.

Odpowiedziałem, że dużo lepiej. Zaraz też dodałem, że jeśli natychmiast nie przestanie, to się na nią rzucę i zgwałcę.

— Znakomity pomysł.

Uśmiechnięta, wyciągnęła się na kanapie. Wrzuciłem trzymaną w ręku bryłkę do wody i również się położyłem. Na moment uniosłem głowę i spojrzałem na Howarda, ale on drzemał już na swoim krześle.

3.

Z kuchni rozchodziły się smakowite zapachy. Na stoliku do kawy rozłożyłem gazetę i przystąpiłem do usuwania resztek błota z czegoś, co ostatecznie okazało się płaskim krążkiem. Gdy nóż niewiele mógł już wskórać, poszedłem do kuchni. Jeannie z wprawą przewracała na patelni smażone banany. W ustawionym na sąsiednim palniku rondlu skwierczał kurczak. Oparła się o moje ramię.

— Jak ci idzie? — spytała.

— Dobrze. Czy masz gdzieś tutaj druciak?

Wskazała mi kierunek ociekającą tłuszczem, drewnianą łopatką.

Druciany zmywak szybko uporał się z resztkami brudu. To, co wyłoniło się spod niego, wyglądało na metal. Na powierzchni krążka pojawiły się drobne wypukłości, jak w płaskorzeźbie.

— Jeannie — zawołałem po kilkunastu sekundach dalszego szorowania. — Chodź tutaj.

— Złoto? — zapytała.

— Chyba tak. — Zbliżyłem wyczyszczony krążek do lampy. Wypukłości zalśniły jasnym blaskiem.

— To moneta — stwierdziła Jeannie.

— Myślę, że masz rację.

— Co jest na drugiej stronie?

— Jeszcze jej nie wyszorowałem.

— Zrobisz to po jedzeniu. Umieram z głodu.

Położyłem monetę obok talerza, po czym wszedłem do łazienki, aby umyć ręce. Kiedy wróciłem, Jeannie napełniała w kuchni miskę Howarda, który rzucił się na jedzenie z taką energią, jakiej nie wykazał przez cały dzień. Przyglądaliśmy się mu przez chwilę, a następnie usiedliśmy przy stole.

Posiłek upłynął nam w milczeniu, głównie dlatego, że bez przerwy miałem zapchane usta. Sprzątnąłem ze stołu, a Jeannie przygotowała kawę. Dopiero wówczas zająłem się ponownie moim kawałkiem metalu.

Uznaliśmy, iż rzeczywiście była to moneta. Dalsze pucowanie odsłoniło krzyż, trudne do rozpoznania litery oraz cyfry — równie nieczytelne. W kilka minut później zalsnił także rewers, a na nim następane litery oraz jakiś herb.

— Znalazłeś złotą monetę — oznajmiła Jeannie.

— Jak myślisz, skąd ona pochodzi?

— Biorąc pod uwagę, iż kopiesz tunel pod East River — głośno myślała Jeannie — należy przypuszczać, że właśnie z rzeki.

— Genialne — przyznałem. — Tylko skąd się w niej wzięła?

— Ktoś musiał wrzucić ją do wody.

— Ale tunel przebiega co najmniej dziesięć metrów pod dnem — zauważyłem.

— Może stało się to bardzo dawno temu i przez ten czas moneta zdążyła osiąść tak głęboko.

— Tyle tylko, że ja znalazłem dwie sztuki. Jeśli nawet ktoś wrzucił dwie monety naraz, to czy wylądowałyby tak blisko siebie?

Zmarszczywszy czoło Jeannie zastanawiała się przez chwilę.

— Byłoby to bardziej prawdopodobne, jeżeli do wody wpadłoby znacznie więcej monet, prawda?

— A ja po prostu trafiłem na dwie z nich. Tak. Pewnie masz rację.

— Szkoda, że nie znalazłeś więcej. Byłbyś bogaty.

— No jasne.

— Skoro to jest złoto, musi przedstawiać jakąś wartość.

Jeannie wzięła monetę, usiadła na kanapie i zaczęła obracać w rękę błyszczący krążek. Odbite od jego powierzchni światło lampy rzucało refleksy na ściany i sufit. Howard uniósł głowę i, z nastawionymi czujnie uszami, wodził małymi oczkami za robrykanymi zajączkami.

— Co byś zrobił, gdybyś był bogaty? — spytała Jeannie.

— Ja? — Przez parę sekund rozważałem taką sytuację. — Byłbym bardzo zadowolony — stwierdziłem w końcu. — To świetny pomysł. Coś pięknego.

— Ale co byś wtedy robił?

— Wydawałbym ile wlezie, to oczywiste.

— Na co? — zapytała z uśmiechem.

Niekiedy miałem wrażenie, że jest ode mnie znacznie starsza. Tak naprawdę była starsza o cztery lata, ale czasami zachowywała się jak kobieta trzydziestoletnia, a ja czułem się wtedy niczym małe dziecko.

— Nie wiem na co — przyznałem. — Dobry samochód. Może dom. Nigdy nie miałem domu. To mogłoby być całkiem fajne, móc osiąść na jednym miejscu dłużej niż kilka miesięcy. Lubię Nowy Jork. Powoli staje się on moim domem.

— A więc w twoim życiu naprawdę coś by się zmieniło?

— Miałbym wtedy szansę na znalezienie innego zajęcia, chociaż nie wiem, co też mogłoby to być.

— Zostań aktorem — poradziła Jeannie. — Będziemy występować w duecie. Przygotujemy program i objedziemy z nim cały kraj. — Uśmiechnęła się, odsłaniając zęby.

— Kraj już zjeździłem, i to bardziej niż akwizytor handlujący Biblią Gideona.

— W takim razie objedziemy świat.

— Kopalem tunele w Egipcie, Francji oraz Indonezji. A jako dziecko towarzyszyłem staremu przy kopaniu tuneli w Japonii i Indiach.

Jeannie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— No to wobec tego wyruszymy na tournée po Brooklynie i Queens.

— Czy nie możemy zostać na Manhattanie?

— Dobra. Niech będzie Manhattan.

— Ale ja nie jestem aktorem.

Jeannie złapała mnie za głowę i pociągnęła ku sobie.

— Już ja się tobą zajmę — wyszeptła. — Trzymaj się blisko mnie, dzieciaku.

Pocałowałem ją.

— Twoja oferta brzmi interesująco. Muszę ją sobie przemyśleć.

Jeannie wyspuściła mnie ze swych objęć.

- Nie, nie nadajesz się do tego — rzuciła beztrzesko.
 - Ty też nie.
 - Wiem. — Osunęła się i spojrzała na leżącego pod przeciwległą ścianą Howarda. Pies obudził się, wstał, podszedł i położył głowę na kolanach swojej pani. — Cześć, Howard — powiedziała czule Jeannie, zaglądając psu w oczy. Jej następne słowa skierowane były już do mnie. — Kreciku?
 - Co takiego?
 - Mój agent szykuje mi coś na Wybrzeżu.
 - Rolę?
 - W telewizyjnym serialu.
 - Gratulacje.
 - Jeszcze jej nie dostałam. To dopiero pierwsze przymiarki. Jeśli jednak dostanę ją, będę musiała wyjechać.
- Oprócz zaskoczenia poczułem ukłucie zazdrości. Mogła wspomnieć o tym wcześniej.

Kilka tygodni temu, włączając się po Village, natrafiłem na mały teatrzyk wystawiający *Tramwaj zwany pożądaniem*. Niedawno przeczytałem tę sztukę — nawyk czytania wpoił mi ojciec, który sam zaraził się tym w młodości od pewnego związkowca w Anglii — a ponieważ nigdy nie widziałem jej na scenie, postanowiłem odrobić zaległości.

Gdy kurtyna poszła w górę, wprost osłupiałem. Poraziła mnie uroda aktorki występującej w roli Blanche i byłem oczarowany jej grą. Wrażenie było tak silne, iż nie potrafiłem podnieść się z miejsca w antrakcie, a po zakończonym przedstawieniu oszołomiony siedziałem nadal w fotelu, zupełnie nie zwracając uwagi na wychodzącą publiczność.

W chwilę później zza kurtyny wyłoniła się Blanche i szybkim krokiem skierowała się do wyjścia. Ubrana była w sweter i džinsy, a przez ramię przerzucony miała zamszowy płaszcz. Złapałem zostawiony przez kogoś program, odnalazłem jej nazwisko, podbiegłem i obsypałem ją komplementami.

Jeannie popatrzyła na mnie badawczo, jednak bez tego chłodu, z jakim aktorzy traktują zazwyczaj natrętnych wielbicieli.

— Miło mi, że spektakl się panu podobał — odrzekła mocnym głosem, nieco innym niż ten, którego używała Blanche.

Wzięłem się w garść na tyle, by przestać bełkotać, i zaproponowałem:

— Może wypije pani ze mną drinka?

W jej wzroku pojawił się namysł, później wahanie.

— Jest pan bardzo uprzejmy — odrzekła z grzecznym uśmiechem — ale z reguły nie pijam z nieznanymi.

— Może pani polegać na moich dobrych manierach — zapewniłem.

Jeannie parsknęła śmiechem.

— Zawsze?

— Zawsze.

Uśmiechnęła się i powiedziała, że spróbuje. Znaleźliśmy jakiś bar, gdzie przegadaliśmy cały wieczór. Po zamknięciu lokalu odprowadziłem ją do domu. Umówiliśmy się na następny wieczór i tak już zostało. Spotykaliśmy się trzy albo cztery razy w tygodniu, a jedyną przeszkodą, na jaką natrafił nasz związek, był aktor i zarazem dramaturg o nazwisku Loren.

Nigdy nie mogłem pojąć, co ich właściwie łączy. Jeannie dała mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru niczego wyjaśniać. Byli przyjaciółmi. Loren pisał sztukę, która jej się podobała. Zapewne miała w niej obiecaną dużą rolę. Jej codzienne życie nie było podporządkowane żadnym harmonogramom i to właśnie ona inicjowała każde nasze spotkanie. Widocznie dzisiaj Loren pracował nad swoją sztuką, a mnie przypadło szczęście dotrzymywania jej towarzystwa. Nie oznacza to wcale, że Jeannie próbowała napuścić nas na siebie nawzajem. Prawdę mówiąc, bardzo się starała, żebyśmy się nie spotykali. Z mego punktu widzenia taka sytuacja daleka była od ideału, za bardzo jednak zależało mi na niej, bym miał ryzykować żądanie czegoś, czego nie mogłaby mi dać.

— No właśnie — powiedziała Jeannie. — Naprawdę nie wiem, co mam zrobić.

Usiłowałem wyobrazić sobie co ja będę robić, jeżeli ona wyjedzie nagle do Hollywood.

— Kiedy dowiesz się czegoś konkretnego? — zapytałem.

— Za parę tygodni. Może szybciej. Niewykluczone, że każą mi przyjechać wcześniej na rozmowę.

- Jak oceniasz swoje szanse?
- Całkiem nieźle — odparła bez entuzjazmu.
- Nie wyglądasz na szczęśliwą.

Ujęła głowę Howarda w obie dłonie i wciąż patrząc w jego oczy, powiedziała.

— Czuję, że jestem bliska sukcesu tutaj, w Nowym Jorku. Na scenie. Przejście do telewizji to rezygnacja z tych marzeń. Rozumiesz, o co mi chodzi? — Przeniosła wzrok z Howarda na mnie.

— Nie dostrzegam w tym żadnej różnicy — odrzekłem z namysłem.
— Wolałbym jednak, żebyś została tutaj.

Zaśmiała się.

— Też bym wolała zostać. Taka okazja nie zdarza się jednak codziennie, a tutaj nie dokonałam niczego wielkiego i nie wiadomo, czy kiedykolwiek dokonam. Owszem, jestem dobrą aktorką. Ale są całe setki dobrych aktorów. W naszym fachu dużo zależy od szczęścia. — Przez dłuższą chwilę przypatrywała mi się w milczeniu, po czym rzekła: — Będę za tobą tęsknić, Kreciku.

4.

Nazajutrz rozpoczęliśmy pracę od przesunięcia tarczy do przodu o czterdzieści pięć centymetrów. Zaparliśmy hydrauliczne lewarki o krawędź ostatniego pierścienia obudowy, a następnie, poruszając dźwigniami do taktu wykrzykiwanych przez Rifkinsa poleceń, centymetr po centymetrze wypchnęliśmy tarczę do przodu. Z początku wszystko szło gładko, ale w pewnej chwili Kosiński powiedział, że czuje jakiś opór.

Przerwaliśmy robotę i Rifkins sprawdził lewarek Kosińskiego. Lewarek był w jak najlepszym porządku, więc polecił Kosińskiemu zwiększyć nacisk. Wszyscy obserwowaliśmy bacznie krawędź pierścienia, w obawie, czy wysiłki Kosińskiego nie spowodują skrzywienia tarczy. Po chwili, z pewnym trudem, lewarek przemieścił swój odcinek tarczy do prawidłowej pozycji.

Złapaliśmy za dźwignie i pompowaliśmy, dopóki cała tarcza nie przesunęła się na tyle, by umożliwić chłopakom założenie następnego pierścienia obudowy. Czekając, aż skończą swoją robotę, zacząłem kolejno otwierać drzwiczki w płycie czołowej i wybierać nagromadzone w komorach błoto. Za trzecimi drzwiami, w rzadkiej brei, pojawiły się jakieś bryłki. Wyłowilem jedną z nich w nadziei, że znalazłem monety, kiedy jednak zacząłem zdzierać gruby osad, bryłka rozsypała się mi w palcach. To samo stało się z następną. Krucha masa przypominała drewno.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Machnięciem ręki przywołałem Rifkinsa. Na widok wyrazu mojej twarzy zbliżył się bez gadania.

— Co jest?

— Zobacz. — Podąłem mu przelamaną bryłkę, dołożyłem do niej kilka następnych.

— Drewno? — zapytał, rzuciwszy okiem.

— Chyba tak.

— Skąd, do diabła, wzięło się tutaj?

— Nie mam pojęcia — przyznałem. — Co robimy?

— Miej oczy szeroko otwarte. Sprawdź inne drzwi.

Chodziło mu o to, że powinienem uważać na oznaki podmuchu. Tarcza natrafiła na niepewny grunt i zamiast błota nieoczekiwanie mogła pojawić się woda. Ostrożnie uchylił metalowe skrzydło, a kiedy ze szpary nie nastąpił wyciek, z trzaskiem rozwarł je na całą szerokość. Pogmerał przez chwilę w zawartości komory, a następnie zaryglował drzwi z powrotem.

— Znowu drewno? — zapytałem.

— Na to wygląda. — Ze zmartwioną miną spojrział na łuk sklepienia.

— Przerwać pracę — krzyknął. Wszyscy znieruchomieli z twarzami zwróconymi w stronę Rifkinsa. — Czy któryś czuje powiew?

Chłopaki pokręcili głowami.

— Widzicie gdzieś wodę? — Spojrzeliśmy badawczo na ściany, zwracając szczególną uwagę na brzeg tarczy. Teraz, gdy wszystkie urządzenia zastygły w bezruchu, wewnątrz tunelu wypełniła ciężka cisza. Popatrzyliśmy po sobie, nasłuchując, czy nie rozlegnie się odgłos uciekającego powietrza. Jakoś nikomu nie było w tym momencie do śmiechu.

Zadzwoił telefon. Odebrał go stojący najbliżej Burke i niemal natychmiast wyciągnął słuchawkę w kierunku Rifkinsa. Nasz majster trzymał ją przy uchu przez parę sekund, a potem powiedział:

— Nadal podawajcie powietrze. — Odłożył słuchawkę i zwrócił się do nas: — Na górze zauważyli bąble powietrza. Zaczęli spuszczać glinę. W którymś miejscu trochę przeciekamy. Pozamykać wszystkie drzwi. Każdy, kto nie montuje obudowy, niech łapie worki z piaskiem i uważa na podmuch. Wy, przy obudowie, kończcie jak najszybciej. Burke, usuń z drogi wszelkie gówno. — Rifkins rozejrzał się dokoła. — Kosiński!

Olbrzym ponuro skinął głową.

— Ty zamykasz drzwi śluzy. — Na moment spojrzenia wszystkich spoczęły na Kosińskim. Rifkins ustawił przy drzwiach komory dekompresyjnej swego najsilniejszego człowieka, na wypadek, gdyby przyszło je zamknąć pokonując napór, zalewającej tunel wody. Człowiek wyznaczony do tej funkcji decydował, kiedy należy komorę zamknąć, bez względu na to, czy wszyscy zdążyli się w niej schronić.

— Ruszać się! — krzyknął Rifkins.

Ruszaliśmy się, i to jak. Złapałem worki i bełę siana, składowane pod ścianą z przeznaczeniem na zatykanie pomniejszych przecieków. Montażysty uwijali się jak w ukropie, przy pomocy paru kopaczy mocując poszczególne elementy nowego pierścienia.

Niebezpieczeństwo polegało na tym, że świeżo wryty fragment tunelu pomiędzy tarczą a istniejącą obudową mógł nie wytrzymać ciśnienia powietrza przez czas niezbędny do założenia czterdziestopięciocentymetrowego stalowego cylindra oraz uszczelniającej zaprawy. Nagle usłyszałem świst. Zanim zdążyłem zareagować, Rifkins skoczył do przodu i rzucił worek z piaskiem w niewielkie, bulgoczące bajorko. Natychmiast podałem mu następny worek, który zniknął w wodzie, wydając głośnie mlaśnięcie. Trzeci rzuciłem sam, czując, jak ciśnienie wrywa mi go z rąk. Nadbiegli inni, ciskając bele siana i worki z piaskiem w poszerzającą się z każdą chwilą dziurę. Wokół nas z mocą huraganu pędziło powietrze. Dziura rosła, miała już metr średnicy. Pod wpływem gwałtownego spadku ciśnienia poczułem ucisk w uszach.

Po raz pierwszy naprawdę się wystraszyłem. Otwór ani myślał zniknąć i w każdej chwili mógł osiągnąć rozmiary, z którymi nie poradzą sobie nasze sprężarki. Na oślep wepchnąłem następną belę.

Rifkins postanowił nie zwlekać dłużej z podjęciem decyzji.

— Chodu! — wrzasnął na całe gardło. — Biegiem!

Jako pierwsi ku odległej komorze popędzili montażyści. Za nimi biegł Burke, a ja trzymałem się tuż za nim. W twarz uderzał mi prąd rwącego powietrza, które poprzez dziurę przedostawało się do rzeki. Ponad powierzchnią wody musiał się utworzyć wysoki na kilkanaście metrów gejzer.

Przebyłem mniej więcej połowę drogi do komory, gdy ryk powietrza nieoczekiwanie ucichł. Na krótką chwilę zapadła cisza, po niej zaś pod

sklepieniem tunelu rozległ się nowy, niższy, mocniejszy dźwięk. Zerknąłem za siebie. Szerokim na półtora metra strumieniem do środka wdzierała się woda. Jeszcze parę sekund i poczułem ją wokół kostek. W mgnieniu oka sięgnęła mi do kolan. Przyśpieszyłem biegu. Przy każdym kroku spod moich stóp tryskały w górę fontanny. Niebawem musiałem zwolnić, gdyż wartki nurt podniósł się do poziomu ud.

W przodzie, montażyści wpadli do komory. Tuż po nich znalazł się tam również Burke. Kosiński napierał ciałem na uchylone drzwi i wrzaskiem ponaglał nas do pośpiechu. Rzuciłem okiem do tyłu. Z głębi tunelu nadciągała wysoka fala. Biegący na końcu Rifkins znajdował się tuż za mną. Musiał dostrzec moje przerażenie, gdyż także się obejrzał. Stracił przy tym równowagę i jak długi runął do wody. Zawahałem się na mgnienie oka. Od wejścia do komory dzieliło mnie około trzech metrów. Rifkins nieporadnie usiłował się podnieść, lecz nim stanął na nogi, wzbierający strumień rzucił go wprost na mnie. Jakimś cudem złapałem majstra za pasek spodni i postawiłem na nogi z siłą, której nigdy bym w sobie nie podejrzewał.

Chwilę później wpadłem do komory. Kosiński jedną ręką wciągnął Rifkinsa do środka i natychmiast naparł barkiem na stalową płytę. Burke pośpieszył mu z pomocą. Nadciągała wysoka fala. Dołączyłem do Burke'a i Kosińskiego, a na moje plecy zważyło się trzech montażyistów. Pancerne drzwi drgnęły wreszcie.

Przez zwężającą się szczelinę przepływało coraz mniej wody, jednak żywioł nie chciał dać za wygraną. Zaatakował znienacka, odpychając nas do tyłu. Kosiński stęknął i jeszcze bardziej naprężył mięśnie.

— Pchajcie — wysapał przez zaciśnięte zęby.

Wzmocniliśmy wysiłki, dosłownie wgniatając go w stalowe drzwi. Ledwie zdołaliśmy odzyskać teren, gdy uderzyła wysoka fala i do komory szeroką strugą wdarła się woda. Zamigotały światła, ktoś głośno krzyknął ze strachu i właśnie ten krzyk podziałał na nas jak smagnięcie biczem. Ostatkiem sił, po raz trzeci ruszyliśmy z miejsca stalową płytę. Przepuszczała do środka coraz węższy strumyk, który w końcu zniknął zupełnie, gdy drzwi całym obwodem przywarły do uszczelki.

Kosiński strząsnął nas ze swych pleców, przekręcił koło zamka i, wyczerpany, osunął się na podłogę. Jego twarz miała barwę popiołu. Popatrzyłem na innych. W powietrzu wisiała wprost namacalnie wyczuwalna atmosfera strachu. Trzęsły mi się ręce, poczułem nagły chłód.

Rifkins dopadł do zaworów, aby jak najszybciej przywrócić w komorze odpowiednie ciśnienie. Spadło zdecydowanie zbyt szybko i teraz należało podnieść je do poprzedniego poziomu, a następnie przejść normalną dekompresję. W przeciwnym razie groziłyby nam poważne komplikacje zdrowotne.

Wraz z napływem tłoczonego przez sprężarki powietrza zrobiło się nieco cieplej. Ustąpiły gwałtowne dreszcze, ale pozostało wspomnienie pędzącej fali, z łatwością podrzucającej w górę stalowe wagoniki i zrywającej elementy chodnika.

Rifkins poklepał mnie po ramieniu.

- Dzięki za pomoc. Odpowiedziałem ze sztucznym uśmiechem.
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Czy ktoś jest ranny? — zapytał Rifkins.

Jeden z montażystów skręcił nogę w kostce, drugi miał rozcięte przedramię, od nadgarstka niemal po sam łokieć. Mieliśmy dużo szczęścia. Kosiński wyciągnął z szafki apteczki i opatrzył ranę.

— No to jak — odezwał się Burke — wracamy, czy robimy fajrant?

Żart nie był szczególnie dobry, ale wszyscy siedzący na ledwie wystających z wody ławkach odpowiedzieli śmiechem.

Rifkins podszedł do telefonu i powiedział tym na górze, co się stało.

Przy wyjściu z komory czekała liczna ekipa lekarzy i pielęgniarzy. Opatulili nas kocami, po czym szybko poprowadzili do windy i dalej do baru. Po zakończeniu dekompresji pory skóry są szeroko otwarte, co czyni człowieka szczególnie podatnym na zapalenie płuc. Przemoknięcie jeszcze pogarszało sytuację. Lekarze przypilnowali, żeby każdy z nas wziął najpierw gorący, a potem zimny prysznic, choć przecież doskonale wiedzieliśmy, co w podobnym przypadku należy zrobić. Gdy było już po wszystkim, opatrzyli nam zadrapania i zniknęli.

Wziąłem w dłonie kubek z kawą i, stanąwszy przy oknie, obserwowałem przybycie dyrekcji firmy oraz prasy — rytuał towarzyszący każdej katastrofie budowlanej.

Długie, czarne limuzyny z fasonem stanęły na żwirowym podejździe przed biurem. Z budynku wypadli kierownicy, którzy nie zdążyli nawet założyć marynarek, i usłużnie otwierali drzwi aut. Zaroilo się od poubieranych w szare garnitury prezesów, rozglądających się dookoła z wypisanym na twarzy wyrazem ponurego podniecenia.

Jakiś dupek stał w pobliżu z naręczem kasków. Gdy tylko z samochodu wysiadła kolejna grupa gości, podawał kaski kierownikowi budowy, ten zaś wyposażał w nie nowo przybyłych, którzy karnie wkładali je na głowy, nie bacząc na fryzury za dwadzieścia dolarów. Zadowoleni z tych nowych zabawek, szli potem do windy i zaglądali w głąb szybu, jak gdyby mogli w ten sposób zobaczyć coś ważnego. Po tej pośpiesznej inspekcji maszerowali prosto do ciepłego biura, gdzie już czekał następny dupek z gorącą kawą i ciasteczkami. Jeśli facet był naprawdę ważny, jeden z inżynierów proponował mu kielicha w pokoju na zapleczu.

Wkrótce do biura wdarli się dziennikarze, a goście w szarych garniturach wyjaśniali im zapewne, na czym polega utrata szczelności. Wyglądało na to, że ktoś z nas będzie miał okazję golnąć sobie w pobliskim barze na koszt reportera, który zechce opisać przebieg wydarzeń, a swoją opowieść zakończy stekiem bzdur o kaskach, krótkich włosach i patriotyzmie.

Drzwi biura rozwarły się na oścież i rządęk prezesów w kaskach ruszył w stronę szatni.

— Uwaga, nadchodzą — krzyknąłem przez ramię.

— Dobra robota, panowie — głośno pisnął Burke, parodiując powszechnie znaną postać. W chwilę później do pomieszczenia wszedł prezes Metropolitan Tunnel Company. Nazywał się Doorman, był niski, rumiany i mówił jak facet, który sprzedał bagno jako działki budowlane dla emerytów.

— Dobra robota, panowie — zaskrzeczał. — Cieszę się, że wszyscy wyszliście z tego cało.

— My też — zapewnił Burke.

Prezes energicznie pokiwał głową.

— Jestem tego pewien, synu. — Podszedł do Burke'a i uściśnął mu dłoń. Jeden z jego zastępców wskazał tę scenę fotografowi z gazety.

— Nie ruszajcie się — polecił facet z aparatem, po czym zaświecił nam fleszem po oczach.

— Jeszcze jedno? — zaproponował prezes.

— Bardzo proszę — przystał fotograf i nieco zmienił ujęcie.

Prezes wypuścił dłoń Burke'a z taką miną, jak gdyby dotykał węża.

— W porządku, chłopcy — zwrócił się do dziennikarzy. — Wybaczcie, ale musimy przedyskutować parę spraw technicznych.

Przedstawiciele prasy gremialnie ruszyli do wyjścia i widać było, że nie marzą o niczym innym, jak tylko o porządnym drinku. Jeden z nich przystanął i rzekł:

— Dziękujemy, panie prezesie. — I popędził za resztą towarzystwa.

Doorman głądził jeszcze przez parę minut o bezpieczeństwie i o odwadze, a potem się zmył. Kierownik przetrzymał nas przez następną godzinę, aby się upewnić, czy żaden z nas nie straci przytomności. Potem wreszcie pozwolili nam odejść, ostrzegając na drogę, żebyśmy nie rozstawali się z kartą robotnika pracującego w podwyższonym ciśnieniu. Dzięki niej wiadomo będzie, że jesteś tunelarzem, i jeśli ktoś znajdzie cię leżącego na ulicy, niezwłocznie przewiezie do szpitalnej komory na placu budowy.

Był już ranek. Uszczelnianie tunelu i wypompowywanie wody należało do obowiązków kogoś innego, dlatego też Burke, Kosiński, Rifkins oraz ja wsiedliśmy do wozu Rifkinsa i pojechaliśmy do Charley'sa, baru w Long Island City.

Wspomnienie przecieku zaczynało z wolna blaknąć, jak gdyby umysł wiedział, że ma już dosyć, i usuwał obraz ze świadomości do czasu, gdy będzie w stanie lepiej sobie z tym poradzić.

5.

Kiedy codziennie chodzi się do roboty i nagle coś, jakiś przeciek, psuje utarty schemat, dziwnie się człowiek czuje, wchodząc w południe do przytulnego baru. Inaczej niż po pracy czy w niedzielę.

Weszliśmy do Charley'sa z takimi minami, jakby cały lokal stanowił naszą własność. Mierzę ponad sto osiemdziesiąt centymetrów i ważę dziewięćdziesiąt kilo, ale przy Rifkinsie czy Burke'u, że już nie wspomnę o Kosińskim, wyglądam raczej cherlawo.

Charley, który kręci całym tym interesem, na nasz widok wyciągnął gumową pałkę. Przyjrzawszy się nam dokładniej, stwierdził, że odwiedziliśmy go już przedtem i uspokojony odłożył oręż, wszakże tak, by cały czas mieć go w zasięgu ręki. Dopiero teraz przyjął zamówienie. Poprosiliśmy o piwo. Wszyscy poza mną kazali też podać sobie żyto. Osobiście staram się unikać wody przed lunchem.

Praktycznie rzecz biorąc, Charley nie miał powodów do obaw. Rifkins wrzeszczał i groził wyłącznie w pracy, Kosiński nigdy się nie odzywał, a Burke nabierał wigoru dopiero, gdy miał już porządnie w czubie. Jeśli zaś idzie o mnie, to jestem łagodny i spokojny.

Okolo drugiej rozbolała mnie głowa, więc postanowiłem odetchnąć świeżym powietrzem. Aby uniknąć długich wyjaśnień, dlaczego nie chcę pić, wysłiznąłem się niepostrzeżenie, kiedy nikt na mnie nie patrzył.

Spacerując, rozmyślałem o Jeannie, o tym, jak bardzo poruszyła nas oboje perspektywa jej wyjazdu do Los Angeles. Ponieważ miałem właśnie budkę telefoniczną, wygrzebałem nieco drobniazków i zadzwoniłem do niej. Automatyeczna sekretarka oznajmiła mi, że nikogo nie ma w domu, ja zaś kazałem przekazać Jeannie, iż bardzo ją kocham. Odwiesiwszy słuchawkę, pozostałem na chwilę w budce i uważnie obejrzałem znalezione wczoraj złote monety. Ból głowy sugerował, że nie powinienem wracać do Charley'sa. Wizja powrotu do domu również nie była zbyt zachęcająca. Wynajmowałem mieszkanie w czynszowej kamienicy w Long Island City. Do jej właścicielki, starej kobiety, należały chyba wszystkie domy czynszowe w okolicy.

Sięgnąłem po książkę telefoniczną i wertowałem ją tak długo, dopóki nie natrafiłem w spisie treści na stronę poświęconą numizmatyce. Fakt, iż pamiętałem to słowo, nappełnił mnie niejaką dumą. Otworzywszy żółte kartki we wskazanym miejscu, znalazłem jedynie odsyłacz do hasła „Handel monetami, dostawcy itd.”. Dopiero tam odkryłem długą listę adresów, głównie w obrębie Zachodnich Czterdziestych na Manhattanie. Doszedłem do wniosku, że sprawdzenie monet będzie zajęciem znacznie ciekawszym niż samotne wysiadanie w wynajętym mieszkaniu. Przywołałem taksówkę i kazałem się zawieźć na róg Szóstej Alei i Zachodniej Czterdziestej Siódmej. Ruszyłem w stronę Siódmej Alei, oglądając wystawy mijanych sklepów, z których wiele, jeśli wierzyć napisom, miało coś wspólnego z monetami. Na chybił trafił wybrałem jeden z nich i wszedłem do środka. Stojący za ladą mężczyzna rozmawiał właśnie z klientem, toteż przystanąłem i rozejrzałem się dokoła. Szklane gabloty pełne były nowiutkich monet zapakowanych w plastikowe etui. Oprócz zestawów numizmatów sklep oferował szkła powiększające, albumy do monet, środki do czyszczenia i polerowania, a także pisma poświęcone numizmatyce.

Panowie przy ladzie dobijali targu. Łowiąc jednym uchem fragmenty ich rozmowy, odniosłem dziwne wrażenie, że już to gdzieś słyszałem. Pewnego razu piłem przez całą noc z parą nurków, których ściągnęliśmy, żeby naprawili wodoszczelną grodz. Dyskusja z nimi początkowo była interesująca, potem stała się zabawna, a na koniec zaczęła śmiertelnie nudzić. Obaj szybko zapomnieli o mojej obecności, całkowicie pochłonięci

swoimi sprawami. Ci dwaj hobbyści zachowywali się w identyczny sposób, szczęśliwi, że znaleźli godnego siebie rozmówcę, zdolnego ich zrozumieć lepiej niż ktokolwiek inny.

Gadatliwy klient w końcu wyszedł, a kiedy sprzedawca spytał, w czym mi może pomóc, podsunąłem mu pod nos złoty krążek. Gość wyglądał na trzydzieści lat, miał kręcone włosy, krótkie bokobrody i duży nos. Nosił okulary w czarnej oprawce, mówił ochryplym głosem i można by go było wziąć za technika trudniącego się naprawą telewizorów.

Rzucił okiem na monetę, już miał zapytać, co to jest, ale rozmyślił się w połowie zdania. Wyciągnął spod lady lupę.

— Czy mogę? — spytał.

Położyłem złoty krążek na jego wyciągniętej dłoni.

Intensywne oględziny pod szkłem powiększającym trwały kilka minut. Twarz sklepikarza pozostała nieruchoma, ale jego oczy zdradzały wielkie zainteresowanie. Nagłym ruchem opuścił lupę i odłożył monetę na szklany blat.

— Bardzo ładna — rzekł z uśmiechem. — Bardzo ładna.

— Co to właściwie jest? — zapytałem i w tej samej chwili pojąłem, że popełniłem błąd. Przez twarz mego rozmówcy przemknął wyraz zdumienia, kiedy jednak udzielał odpowiedzi, był już całkowicie opanowany.

— Hiszpański dublon z osiemnastego wieku. Gdzie pan go znalazł?

— Czy to bardzo rzadki okaz?

— Nie tak bardzo. Skąd pan go ma?

— A czy ten dublon jest bardzo cenny? — spytałem, biorąc monetę do ręki.

— Też nie... To znaczy, cena rynkowa ulega ciągłym wahaniom. Wie pan, jak to jest. Czy mogę wiedzieć, gdzie pan to znalazł?

Zignorowałem to pytanie po raz trzeci.

— A jak wygląda sytuacja w chwili obecnej?

— Nastąpił lekki spadek. Pewnie przywiózł ją pan z Florydy?

— Mmm — mruknąłem niewyraźnie, ponieważ nie podobało mi się to jego ciągle wypytywanie.

— No cóż, jeśli chce pan ją sprzedać, dam panu, powiedzmy, dychę. Od ręki. Ten egzemplarz jest w niezłym stanie. Piętnaście.

Jeżeli prawidłowo odczytałem zachowanie tego typu, to mój dublon

musiał być warty ze sześć dych. Wprawdzie nie zamierzałem go sprzedawać, postanowiłem jednak poczekać na rozwój wypadków. Moje milczenie zostało potraktowane przez sprzedawcę jako zaproszenie do negocjacji, gdyż po chwili podniósł cenę do dwudziestu pięciu. W tym momencie uznałem, że wartość monety sięga ośmiu dych.

— Przykro mi — powiedziałem — ale chyba na razie ją zatrzymam.
— Trzydzieści.
— Może zrobię z niej wisiołek dla dziewczyny.
— Wierząc otwór, bardzo obniży pan wartość monety.
— Spróbuję jakoś ją oprawić. A zresztą, nawet gdyby coś mi nie wyszło, mam jeszcze drugą.

— Drugą.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ktoś otworzył drzwi za moimi plecami. Facet za ladą zeszytniał i nieco przesunął się w bok. Odwróciłem głowę, aby sprawdzić, co jest grane.

— Przychodzę po moją dolę — powiedział przybysz.

Takiego bandziora jeszcze w życiu nie widziałem. Spod świeżo skradzionej kurtki wystawały znoszone ciuchy. Choć nie groził nam sprężynowcem, wybrzuszenie na kieszeni kurtki sugerowało, iż w każdej chwili może to uczynić. Popatrzyłem na sprzedawcę. Ku memu zaskoczeniu, był całkowicie opanowany. Gdy zobaczyłem dłaczego, zamarłem w bezruchu, w każdej chwili gotów rzucić się na podłogę. Dłoń mego rozmówcy dotykała bowiem kolby przyczepionego za ladą rewolweru.

— Drzwi znajdują się za tobą, chłopie. Zamknij je z tamtej strony — powiedział szorstkim głosem.

Bandziora zamurowało. Chyba od czasów dzieciństwa nikt go tak nie potraktował. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Co ty wygadujesz, koleś?

— Wynocha, ale już! — powtórzył sprzedawca. — Dopóki jeszcze możesz wyjść o własnych siłach.

Głos sklepikarza zabrzmiał niezwykle przekonująco. Amator cudzych pieniędzy spojrział na niego niepewnie i wyszedł na ulicę. Z miejsca, w którym stał, nie mógł widzieć broni, a jednak usłuchał. To jest dopiero siła perswazji.

— Mam pozwolenie — wyjaśnił sprzedawca. — A wracając do rzeczy,

wspomniał pan o sześćdziesięciu pięciu dolarach za dwie monety, prawda?

— Nieprawda.

Spojrzał mi prosto w oczy.

— Siedemdziesiąt. To moje ostatnie słowo. — Zaczął do mnie mówić takim samym tonem jak przed chwilą do bandyty, a to już zupełnie mi się nie podobało.

— Proszę wybaczyć, że zająłem panu tyle czasu — rzekłem, chowając monetę do kieszeni. — Nie sprzedaję.

Ruszyłem do drzwi.

— A więc powiada pan, że te dublony pochodzą z Florydy? — zapytał lodowatym tonem.

Położyłem rękę na klamce.

— Nie.

— Proszę zaczekać. — Wyszedł zza lady i wręczył mi wizytówkę. — To na wypadek, gdyby zmienił pan zdanie — wyjaśnił.

Nie widząc powodu, by zachować się nieuprzejmie, schowałem ją do kieszeni.

— Gdzie mógłbym pana znaleźć? — zapytał. — Przecież zawsze może znaleźć się kupiec, gotów dać więcej.

Facet był strasznie natrętny. W myślach podniosłem wartość monet do stówy za sztukę. Sprzedawca wrócił za ladę i podał mi drugą wizytówkę oraz długopis. Napisałem na niej moje nazwisko, a także adres czynszowego domu w Long Island City. Wymieniliśmy podziękowania i nareszcie wyszedłem.

6.

Przystanawszy na chodniku, zerknąłem na wizytówkę.

MONETY: STARE I NOWE

Sean Garfield

Niezwykły Numizmatyk

185 W.47 th St. Nowy Jork

764-2326

Niezwykły Numizmatyk. Albo Garfield miał ogromne poczucie humoru, czego przy pierwszym spotkaniu nie zauważyłem, albo był strasznie pewny siebie. Omal nie zawróciłem, aby go o to zapytać, ponieważ jednak mógłby uznać takie zachowanie za zaproszenie do dalszych negocjacji, zrezygnowałem i ruszyłem przed siebie. Przystanąłem przed zakurzoną wystawą innego sklepu z monetami. Widoczne za szybą pomieszczenie miało w przybliżeniu rozmiary trzy na pięć metrów. Stary mężczyzna w nasuniętym na siwe włosy daszku uniósł głowę i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Ponieważ doszedłem do wniosku, iż dobrze by było uzyskać opinię o monecie od kogoś innego, postanowiłem wejść do środka. Drzwi okazały się zamknięte. Pomachałem ręką do staruszka, który podszedł bliżej i zapytał przez szybę:

- Czego pan chce?
- Czy mógłby pan obejrzyć pewną monetę?

Popatrzył na mnie podejrzliwie i nie bez lęku. Być może bandzior z nożem odwiedził także i jego. Przyłożyłem dublon do szyby i powtórzyłem prośbę. Sprzedawca przysunął się tak blisko jak tylko to było możliwe. Czekałem z wyciągniętą ręką, a on spoglądał to na monetę, to na moją twarz. W końcu ciekawość zwyciężyła i odblokował drzwi. Gdy tylko wszedłem do środka, zatrzasnął je ponownie. Ostrożnie ujął monetę w palce.

- Co chce pan wiedzieć? — zapytał cienkim głosem.
- Czy wie pan, ile jest warta?
- Zamierza pan ją sprzedać?
- Niezupełnie. Znalazłem dwie takie monety i po prostu ciekaw jestem, co to takiego.

Patrzył jeszcze przez chwilę.

- Coś koło pięciu.
- Byłem załamany.
- Jest pan tego pewien? Pewna osoba powiedziała mi, że to osiemnastowieczny dublon.
- Bzdura — poirytowany starszek wrócił za ladę. — Z całą pewnością pochodzi z końca siedemnastego wieku.
- Zaoferował mi za niego czterdzieści dolarów — nie dawałem za wygraną.

- To oszust.
- Ale przecież sam pan mówi o pięciu.
- O pięciu setkach — rzucił lodowato.
- Pięćset dolarów za ten drobiazg?
- Diament tych rozmiarów wart byłby milion.
- Pięćset dolarów? — powtórzyłem w oszołomieniu.
- Gdyby zachowała się wyraźna data, cena takiej monety mogłaby osiągnąć dwadzieścia pięć tysięcy.
- A ten sukinsyn dawał mi czterdzieści doliców.
- To oszust.
- Proszę spojrzeć teraz na drugą — powiedziałem.

Starszek powtórzył oględziny. Trzymając okaz tak, by padało nań jak najwięcej światła, mruknął aprobująco, po czym rzekł.

- Bardzo ładna, a do tego rzadka.

— Co to jest? — Widziałem, że ta moneta podnieciła go bardziej niż poprzednia.

Położył łśniący krążek na szklanym blacie.

— Proszę spojrzeć — powiedział. Posługując się ołówkiem niczym wskazówką, zaczął wyjaśniać. — Widzi pan? Mamy tutaj X M i L.

— Co to znaczy?

— Przed M brakuje małego „o”. Zapis oMX oznacza, że monetę wybito w Meksyku. L jest inicjałem zarządzającego mennicą, w tym przypadku, o ile dobrze pamiętam, Martina Lopeza. A teraz ta rzymska ósemka. Oznacza osiem eskudów.

— Ile lat może liczyć ten pieniądz?

— Na tej monecie nie ma daty, podobnie jak na wielu innych z owej epoki. Musiała jednak zostać wybita gdzieś około roku 1690, a więc liczy sobie ponad... dwieście osiemdziesiąt lat.

— Skąd pan to wie?

Numizmatyk wskazał na rewers dublonu.

— Ten równoramienny krzyż i zawily, przypominający lilie znak łączący jego ramiona są typowe dla czasów, gdy w Hiszpanii panował Karol II.

— Tak?

— Przemawia za tym również niewielka średnica i duża grubość monety.

— Jej kształt nie jest zbyt regularny.

— W owej epoce okrągłe monety należały do rzadkości. — W oczach starszka pojawił się żywszy błysk. — To, co tutaj widzimy, jest właściwie kawałkiem złota o określonej wadze i próbie, na którym odcisnięto pieczęć potwierdzającą jego wartość. Okrągłe monety bito wyłącznie na prywatny użytek króla. Gdyby udało się panu znaleźć jedną z nich, nic musiałby pan pracować przez parę ładnych lat.

— No, a ile może być warta ta sztuka?

Sklepikarz wzruszył ramionami.

— To rzadki okaz. Jej stan można określić jako bardzo dobry, choć nie doskonały... Dwa tysiące dolarów.

— Dwa tysiące dolarów?

— Oczywiście, gdyby stan był doskonały i zachowało się to małe „o”, cena podskoczyłaby do trzech tysięcy.

Byłem oszołomiony. Na dwa tysiące dolarów musiałem pracować przez trzy miesiące. Chyba dla każdego trzymiesięczne pobory stanowią kupę forsy.

Staruszek z uśmiechem zwrócił mi monetę.

— Piękna pamiątka ze spaceru po plaży.

W milczeniu pokiwałem głową.

— Chyba nie jest pan kolekcjonerem? — zapytał.

— Nie, nie, nie jestem. I nie znalazłem jej na plaży.

— Tak czy inaczej, pewnie stamtąd pochodzi. Czy chce pan ją sprzedać?

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. To znaczy, nie miałem pojęcia, że w grę wchodzi aż takie pieniądze. — Popatrzyłem na monety, nie wierząc własnemu szczęściu. A potem przeniosłem wzrok na staruszkę. — Nie, nie pochodzą z plaży.

— Nie? — zdziwił się uprzejmie.

— Pochodzą spod dna East River.

— Ach tak? — Tym razem był wyraźnie zaciekawiony.

— Jak pan myśli, skąd one się tam wzięły? — zapytałem.

— To akurat wiem — odparł. — Nie mogę natomiast uwierzyć, że pan do nich dotarł.

— Wyjaśnię, jak do tego doszło — obiecałem — jeśli pan opowie mi, w jaki sposób tam trafiły.

Sklepikarz zaśmiał się.

— To nie jest dobry interes, przyjacielu. Może się pan tego dowiedzieć, odwiedzając bibliotekę. Jest to wiedza ogólnie dostępna. Natomiast tylko pan może mi zdradzić, w jaki sposób wydobyto je na powierzchnię.

Zawahałem się. Spotkanie z Seanem Gerfieldem, Niezwykłym Numizmatykiem, zraziło mnie do handlarzy monet. Teraz, kiedy już wiedziałem, że posiadam coś wartościowego, poczułem się nieco zagrożony. Wyglądało jednak na to, że staruszek był człowiekiem uczciwym.

— Dorzucę co nieco, aby wyrównać transakcję — zaproponował. — Postawię panu filiżankę herbaty i opowiem moją historię. Potem ewentualnie opowie mi pan swoją.

Skinąłem głową na znak zgody. Handlarz opuścił żaluzje w oknie wystawowym oraz na drzwiach, wyciągnął spod lady kuchenkę elektryczną, czajnik i powiedział, że nazywa się Harry Holtzman.

Gdy wszystko było już gotowe, usiedliśmy na wysokich stołkach przy ladzie. Popijaliśmy herbatę, a Harry snuł swą opowieść.

Był sobie kiedyś angielski pirat nazwiskiem Jonathan Ludlum, który krążył po Karaibach, przechwytyjąc w imieniu angielskiej korony statki hiszpańskiej Złotej Armady, albowiem posiadał glejt mianujący go korsarzem. Jednakże złodziejskie nawyki, tudzież kłótliva natura sprawiły, iż odmówił zwrotu zagrabionych skarbów. Rozgniewane władze angielskie w odwecie ogłosiły go piratem. Hiszpanie uczynili to znacznie wcześniej i skierowali nawet kilka okrętów, aby przykładowo ukarać zuchwalca i odzyskać zrabowane złoto.

Ponieważ Anglicy zrobili teraz to samo, Ludlum musiał opuścić Karaiby i wyruszyć na północ. Pod osłoną potężnego sztormu zawinął do portu w Nowym Jorku, aby sprzedać ile się da ze swego skarbu i kontynuować ucieczkę. Niestety, szalejący żywioł zerwał okręt z kotwicy i z ukrytej zatoczki na East River poniósł wprost na skały. Do katastrofy doszło na samym środku rzeki, gdzieś pomiędzy Gracie Mansion i siedzibą Narodów Zjednoczonych.

Zdradzieckie prądy i mętna woda ukryły wrak tak skutecznie, że wszystkie dotychczasowe próby jego odnalezienia spęzły na niczym.

— Tak więc — podsumował Harry — na dnie East River spoczywa hiszpańskie złoto wartości kilku milionów dolarów i pewnie pozostanie tam na zawsze. Niewiele tu pomogą najnowocześniejsze metody poszukiwań. Od tamtych wydarzeń minęło dwieście pięćdziesiąt lat. Łatwo sobie wyobrazić, jak głęboko są dzisiaj te skarby zagrzebane.

— Tak.

Harry ponownie napełnił filiżanki.

— Teraz pańska kolej — przypomniał. — W jaki sposób natrafił pan na te monety?

— Przypadkiem.

— Oczywiście. Tylko proszę nie mówić, że nurkował pan w East River.

— Nie. Byłem pod rzeką.

— Pod?

— Czy wie pan, czym zajmuje się tunelarz?

- Kopie tunele?
- Mniej więcej.
- I znalazł pan monety w tunelu? Gdzie?
- Pomędzy Welfare Island a Manhattanem. Na środku rzeki.
- Przy której ulicy będzie wylot tunelu na Manhattanie?
- Przy Sześćdziesiątej Piątej.
- Aha. Jak głęboko pod dnem rzeki przebiega jego trasa.
- Około dziesięciu metrów.
- Dziesięć metrów — mruknął. — To niesamowite.
- Rzeczywiście.
- Czy inni robotnicy też znaleźli monety?
- Nic mi na ten temat nie wiadomo.
- Widocznie pańskie odkrycie było całkiem przypadkowe.
- Trudno powiedzieć. Znalazłem je wczoraj, a zaraz potem doszło do wypadku i tunel został zamknięty.
- Gdyby znalazł pan więcej monet, chętnie je dla pana wycenię. Może nawet kupię niektóre z nich.
- Dziękuję. Na pewno skorzystam z pańskich usług.
- Chciałbym jeszcze dodać — powiedział, ważąc słowa — że w przypadku znalezienia większej liczby monet uczciwość może okazać się niewskazana.
- Co pan ma na myśli?
- Różne instytucje upomną się o swój udział, gdy tylko dowiedzą się o pańskim odkryciu. Państwo, miasto, firma budująca tunel. Dlatego też, jeśli znajdzie pan jeszcze kilka monet, proszę nikomu o tym nie mówić. Zarobi pan parę tysięcy dolarów i nikt się o niczym nie dowie. Rozumie pan? — Wyszczrzył zęby w chytrym uśmiechu.
- Jasne — odrzekłem. — Pragnę podziękować panu za wszystkie informacje. Był pan bardzo uprzejmy.
- Miło spędziłem popołudnie — odparł Harry. — Dziękuję. — Odblokował drzwi, po czym rzekł: — Proszę mi powiedzieć, kto proponował panu czterdzieści dolarów za tę monetę?
- Pokazałem mu wizytówkę Seana Garfielda, Niezwykłego Numizmatyka.
- On — warknął Harry.
- Widząc moje pytające spojrzenie, wyjaśnił:

— Interes rozkręcił jego świętej pamięci ojciec. Byliśmy przyjaciółmi. Ten Sean nie okazał się jego godny.

— Będę go unikać — zapewniłem. — Jeszcze raz dzięki za wszystko.

Zadzwońiłem do Jeannie, ale nadal nie było jej w domu. Opowiedziałem o monetach automatycznej sekretarce, po czym złapałem taksówkę i wróciłem na Welfare Island. Stamtąd ponownie spróbowałem złapać Jeannie.

Tym razem ją zastałem.

— Gratulacje — powiedziała na wstępie.

— Dzięki. Jak ci dzisiaj poszło?

— Jadłam lunch z producentem o bardzo ruchliwych rękach.

— Tak? Powiedz mu, że z przyjemnością je połamie.

— To ładnie z twojej strony, ale jakoś sobie z nim poradziłam.

— Czy wolno mi zapytać jak?

— Wolno. I przestań tak dbać o moją cześć.

— Po prostu nie chcę, żeby jakiś grubas cię obmacywał.

— Ten był akurat chudy — wtrąciła Jeannie. — Poza tym, miałam przy sobie Howarda.

— To mnie całkowicie uspokoiło. Jakim cudem zdołałaś przemycić Howarda do restauracji?

— Spotkaliśmy się w domu tego producenta.

Postanowiłem nie kontynuować tematu, żeby pod wpływem zazdrości nie powiedzieć czegoś, czego będę potem żałował.

— Sprzedałeś te monety? — zagadnęła Jeannie.

— Chcę je zatrzymać na parę dni.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Mają w sobie coś szczególnego.

— Tylko ich nie zgub.

— Nie zgubię. Zjedźmy razem kolację. Czuję się jak bogacz.

— Przepraszam, Kreciku. Loren prosił, żebym przeczytała z nim sztukę. Może być jutro?

— Jasne. Ale późnym wieczorem. Tunel jest zablokowany i prawdopodobnie będę pracował na ostatniej zmianie.

— Daj znać, kiedy będziesz coś wiedział.

Odwiesiwszy słuchawkę, postanowiłem wrócić do Charley'sa. Rifkins, Kosiński i Burke nadal tam urzędowali i zupełnie nie zdawali sobie sprawy, że moja nieobecność trwała dłużej niż zwykła wizyta w toalecie. Do

wieczora odrobiłem zaległości, a następnego ranka w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, jak wróciłem do domu.

Zadzwoiłem do firmy i dowiedziałem się, że mam przyjść na ostatnią zmianę do prac porządkowych. Wróciłem więc do łóżka i przespałem prawie cały dzień. Przed wyjściem do roboty zatelefonowałem do Jeannie. Powiedziałem, iż będę wolny koło północy, a ona obiecała po mnie przyjechać.

7.

W tunelu panował straszny bałagan. Prawie cała woda została już wypompowana, ale pod pomostem prowadzącym z komory do tarczy, w najbliższej części obudowy, pozostało jeszcze kilka centymetrów błotnistej mazi. W świetle założonych na nowo żarówek widać było, że poprzednie ekipy doprowadziły obudowę do porządku. Nam pozostało zrobić to samo z tarczą.

— To niewiarygodne — powiedział Burke, gdy dotarliśmy na miejsce. Wnętrze tarczy przypominało chlew, do którego osunęła się hałda błota. Pozostali zachowali milczenie. Aby dotrzeć do przedniego skraju tarczy, oddalonego od drzwi komory o pięć metrów, musieliśmy załadować i wywieźć dwa wagoniki mułu.

Kiedy wreszcie stanęliśmy na płycie z krawędzią tnącą, Rifkins wyznaczył Kosińskiego i Burke'a do czyszczenia podnośników hydraulicznych, mnie zaś posłał do szuflowania błota. Zawsze ja. Jakoś nigdy nie udało mi się załapać na przyzwoite zajęcie, choćby do czyszczenia podnośników. Jakbym na zawsze został przypisany do łopaty. Klnąc pod nosem, zacząłem ładować następny wózek.

Wkrótce jednak zapomniałem o przekleństwach, o całym bożym świecie, a nawet o szuflowaniu. I to był mój błąd, bo Rifkins natychmiast rozdarł mordę. Gorączkowo rzuciłem się do roboty. Za żadne skarby świata nie chciałem, żeby majster popatrzył z bliska na to błoto.

Widząc moje zdwojone wysiłki, Rifkins zajął się kimś innym. Gdy tylko stanął do mnie plecami, ostrożnie rozgarnąłem gęstą breję krawędzią łopaty. Pełno w niej było kamyków, które — miałem taką nadzieję — nie były kamykami. Grzebiąc dalej, stwierdziłem, że im głębiej, tym więcej było tych okruchów. Rozejrzałem się dokoła, a stwierdziwszy, iż nikt mnie nie obserwuje, trąciłem łopatą pierwszą z brzegu bryłkę.

Bryłka rozpadła się na kawałki, odsłaniając niewielki rdzeń, bardzo podobny do dwóch „skał” zawierających monety. Zerknąłem przez ramię. Burke, Kosiński i Rifkins pochylali się nad jednym z lewarków. Ich ciężkie oddechy oraz padające co jakiś czas ciche przekleństwa świadczyły o tym, że mieli jakieś kłopoty. Potraktowałem łopatą następną bryłkę. Z takim samym efektem. Spod zewnętrznej skorupy wyłonił się kolisty rdzeń. Podniosłem go i poplułem, aby zmiękczyć osad. Po chwili część błota dała się ztrzeć, ale w dalszym ciągu nie potrafiłem określić, co tak naprawdę było w środku.

W stercie przede mną leżało około stu podobnych grudek. Powodowany ciekawością, otworzyłem następne drzwi i natychmiast zamarłem w bezruchu, niezdolny pozbierać myśli. Wnękę bez reszty wypełniały różnej wielkości okruchy. Zamknąłem drzwi i spróbowałem gdzie indziej. To samo.

Widocznie tarcza wjechała w pokład obrośniętych mułem monet. W każdym bądź razie miałem nadzieję, że są to monety, gdyż upewnić się co do tego mogłem dopiero po wyniesieniu ich na powierzchnię. Przymyślnie nagle, uświadomiłem sobie z przerażającą jasnością, iż nigdy tego nie dokonam. Monet były setki, może nawet tysiące. Rifkinsa niewątpliwie zaciekawia, dlaczego wynoszę kamienie z tunelu w kieszeniach, zamiast skorzystać ze znacznie praktyczniejszych środków transportu, jakie miałem do dyspozycji.

— Creegan!

Podskoczyłem gwałtownie, zatrzasnąłem drzwi i podparłem je plecami.

— Słucham? — powiedziałem pełnym szacunku tonem.

— Ruszże dupę i chodź tutaj! — Oczywiście Rifkins, a któżby inny?

Bałem się już, że znowu przyłapał mnie na oglądaniu błota, ale, na szczęście, chodziło mu o coś innego. Posłusznie dołączyłem do pozostałych.

— Złap za to i ciągnij. — Majster i Burke z czymś się mocowali, podczas gdy Kosiński manipulował wielkim śrubokrętem.

— Nie za to, ty cholerny durniu. Za tamto.

Złapałem wskazaną dźwignię. Kosiński zawzięcie podważał coś śrubokrętem i w pewnej chwili dał głową znak Rifkinsowi, który krzyknął:

— Ciągnąć, chłopaki. Ciągnąć!

Szarpnęliśmy ze wszystkich sił, ale nie dało to żadnego efektu.

— Nic z tego — zakomunikował w końcu Burke. Wypuścił dźwignię z dłoni i rozprostował grzbiet. Poszedłem w jego ślady, natychmiast przystępując do masowania obolałego krzyża. Kosiński pokręcił głową. Rifkins zaklął i kazał mi wracać do łopaty, sam zaś pochylił się nad opornym lewarkiem i szeptem zaczął wymieniać z Kosińskim jakieś uwagi. Burke oparł się o słup, ignorując wszystko i wszystkich dookoła.

Wróciłem do mego odkrycia przy czołowej płycie tarczy, rozważając, czy rzeczywiście natrafiłem na skarb Ludluma.

Gdyby skarb należał tylko do mnie, przedstawiałby znaczną wartość. Na razie spoczywał jednak w tunelu i, jak wspominał Harry, wiele instytucji, począwszy od Metropolitan Tunnel Company, poprzez władze miejskie Nowego Jorku, a na Long Island Railroad, dla której drażyliśmy tunel, kończąc, będzie zapewne rościć pretensje do znaleziska. Ciekawe, ile by mi zostało, gdybym powiedział Rifkinsowi, że znalazłem piracki skarb. Coś w głębi duszy podpowiadało mi, że na uroczystym spotkaniu dostalibyśmy pojedynczą monetę zatopioną w pamiątkową plakietkę z wyrazami uznania dla mojej wieloletniej, wiernej służby dla Metropolitan Tunnel Company i Nowego Jorku, nie wspominając już o Long Island Railroad.

Nic z tego. Jeżeli zdołam wynieść na powierzchnię chociaż ułamek nagromadzonego tu dobra, przez długi czas nie będę musiał martwić się o pieniądze ani o pracę. Taka wizja bardzo mi odpowiadała. Niestety, wyglądało na to, że wyniesienie ułamka skarbu będzie równie trudne jak transport całości. Mógłbym napęłnić bryłkami kieszenie, nie miałbym jednak wówczas żadnej gwarancji, że wybrałem właściwie.

Problem polegał na tym, że znajdujące się w tunelu przedmioty mogły go opuścić na dwa sposoby. No, może trzy, jeśli uwzględnić podmuch

powstający w trakcie przecieku, ale przecież trudno na czymś takim polegać. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie przechodzili przez komorę dekompresyjną na początku tunelu. Zajmowała ona górną połowę obudowy, podczas gdy w dolnej znajdowała się śluza towarowa. Z pierwszej korzystaliśmy my oraz, od czasu do czasu, kierownik budowy. Drugą wyjeżdżały z tunelu wagoniki z urobkiem, wjeżdżały zaś potrzebne do prowadzenia budowy materiały. Jak już wspomniałem, opuszczający tunel ludzie musieli przejść dekompresję, co zajmowało niemal godzinę. Piasek oraz błoto z powodzeniem mogły sobie ten proces darować, toteż wagoniki opuszczały śluzę zaraz po tym, jak do niej wjechały. Mieliliśmy jeszcze do dyspozycji luk awaryjny, gdyby jednak ktoś zechciał z niego skorzystać, natychmiast zbiegłoby się pół świata, żeby sprawdzić, co się stało. — Hej, co to za świństwo? — usłyszałem tuż nad uchem głos Burke'a i od razu wiedziałem, że jestem ugotowany.

8.

Jakie świństwo?

Burke wskazał wzgórek u moich stóp.

— To.

— Chodzi ci o te kamienie?

— Wyglądają jakoś dziwnie — stwierdził Burke. Podeszedł jeszcze bliżej. — I dlaczego nie ładujesz ich do wagonika?

— Ależ ładuję. Widzisz? — Parę razy energicznie machnąłem łopatą. Wpadające do środka odłamki zadzwoniły o stalową ściankę.

Burke popatrzył podejrzliwie, po czym głośniejszym głosem powiedział:

— To zabawne, że trafiliśmy tutaj na skały. Nie widziałem ich od chwili, gdy opuściliśmy brzeg. Geolodzy zapowiadali, że pod East River nie znajdziemy niczego oprócz błota.

— Rzeczywiście zabawne — zaśmiałem się, dokładając wszelkich starań, aby Burke odniósł wrażenie, iż ładuję do krążownika o wiele więcej niż ładowałem naprawdę. Każdemu ruchowi łopaty towarzyszyła bolesna świadomość, iż oto, być może, wyrzucam z błotem tysiące dolarów. Kiedy wagonik będzie pełny, odjedzie tunelem, a wraz z nim fortuna, po której zaginie wszelki ślad.

Jak na złość, Burke nie zamierzał odejść. Widząc, że ładuję do wózka coraz mniejsze porcje, nabierał coraz większych podejrzeń, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał:

- Creegan, co ty, do diabła, wyrabiasz?
Wyprostowałem się i spojrzałem mu w oczy.
- Czego chcesz?
- Dziewieciolatek na plaży przerzuci więcej piasku niż ty. Przyłóż się trochę.
- Jakoś nie słyszałem, żebyś został majstrem.
Twarz Burke'a pociemniała niczym kopalniany szyb.
- Módl się, żeby nigdy to nie nastąpiło, Creegan. Przynajmniej nie w twojej brygadzie.
- Dobra, będę się modlić — wykrzywiłem twarz w udawanym uśmiechu, licząc na to, że w ten sposób rozładuję nieco jego złość. Najwyraźniej jednak Burke od jakiegoś czasu marzył o awansie na majstra. Nie mógłbym wymyślić niczego, co bardziej by go dotknęło. Natychmiast się zreflektowałem i powiedziałem cicho: — Nie złość się. Masz rację. Nie pracuję na cały gwizdek, bo bołą mnie plecy.
- Ach tak, bardzo mi przykro — w jego głosie nie było choćby cienia szczerości.
- Gończkowo szukałem odpowiedzi, która pozwoliłaby mi się go pozbyć.
- Doceniam twoją troskę — powiedziałem. — A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wrócę do pracy.
- Twarz Burke'a pociemniała jeszcze bardziej, a jego błyszczące oczy nabiegły krwią. Zupełnie zapomniałem, że mam przed sobą człowieka na strasliwym kacu. Burke wyglądał tak, jakby lada chwila zamierzał naruścić przestrzegane z żelazną konsekwencją prawo, w myśl którego każdy, kto wszczął w tunelu bójkę, natychmiast wylatywał z roboty. Jeśli o mnie chodzi, nie miałem ochoty na bijatykę ani tym bardziej na utratę pracy, toteż z niepokojem czekałem na rozwój wypadków.
- Odsiecz przysłała z najmniej spodziewanej strony. Rifkins oderwał się od zablokowanego lewarka i widząc, że Burke i ja stoimy pod płytą tarczy, niemal dotykając się nosami, ryknął:
- Burke! Łap za to! — Wskazał mu tę samą stalową dźwignię, za którą ciągnął przedtem. Burke zawrócił na pięcie, podszedł do lewarka i zacisnął na dźwigni swe potężne dłonie. Chciałem do niego dołączyć, lecz Rifkins kazał mi zostać.
- Jak będziesz potrzebny, to cię zawołam — dodał.
- Dzięki temu mogłem nareszcie wrócić do skarbu.

Zajrzałem jeszcze za kilka innych drzwi w tarczy, po czym zacząłem się intensywnie zastanawiać, co by tu można było zrobić. Tunel przypominał więzienie. Opuścić go można tylko w jeden sposób. Spojrzałem w dół. Poprzez ażurowe panele pomostu mogłem dojrzeć dno szybu. Uniosłem głowę. W górę ciągnęło się łukowate sklepienie, uformowane za pomocą wielkich stalowych płyt. Ponad nimi zalegało dziesięć metrów mułu, a jeszcze wyżej toczyła swe wody rzeka.

Musiało być jakieś inne wyjście.

I, oczywiście, było. Kiedy wreszcie to sobie uświadomiłem, zdumiałem się nad własną chciwością. Mój plan niósł ze sobą pewne ryzyko, wymagał też zgody pracujących ze mną kolegów, ale przynajmniej miał szanse powodzenia. Nie namyślając się dłużej, podszedłem ostrożnie do Rifkinsa, dyskutującego przy lewarku z Kosińskim.

Burke zauważył mnie pierwszy, zerknął groźnie, ale nic nie powiedział. Majster był bez reszty pochłonięty zmaganiem z opornym urządzeniem. Czekałem cierpliwie, aż mnie dostrzeże. W końcu zwątpiłem, że kiedykolwiek to nastąpi i zamierzałem właśnie otworzyć usta, gdy usłyszałem rozdzierające uszy:

— Creegan!

— Chciałbym z tobą pomówić.

Rifkins zupełnie zignorował moje słowa.

— Ciągnij! — polecił krótko. Nie ruszyłem się z miejsca, próbując obliczyć, ile czasu przebywaliśmy już w tunelu. Wyszło mi, że niecałą godzinę, a zatem na przeprowadzenie całej operacji mieliśmy około dwóch godzin. To zaś znaczyło, iż nie możemy zmarnować ani chwili na walkę z jakimś popsutym lewarkiem.

— Rifkins! — rzuciłem ostro. — Posłuchaj.

— Ciągnij.

Burke nachylił się posłusznie i szarpnął. Ja w dalszym ciągu nie dawałem za wygraną.

— Posłuchaj, Rifkins. Mamy pewien problem.

— Ciągnij!

— Rifkins! — wrzasnąłem i wałnąłem otwartą dłońią w jego byczy kark. Gdy spojrział na mnie zdziwiony, pośpiesznie dodałem: — Muszę z tobą porozmawiać.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Później — warknął i natychmiast przykucnął obok lewarka. Burke szarpnął za dźwignię, ale majster kazał mu przestać. Znow zacząłem klepać Rifkinsa po ramieniu, lecz w tym samym momencie przyszedł mi do głowy lepszy pomysł. Dałem spokój przeklinającemu straszliwie majstrowi, cofnąłem się o krok i gestem ręki pokazałem Burke'owi, żeby szedł za mną. Wróciliśmy na czoło tarczy.

— No, co to za problem?

— Chcę ci coś pokazać.

— A co zamierzasz powiedzieć Rifkinsowi?

— To samo, co tobie. Patrz. — Podniosłem z ziemi niepozorną bryłkę i pocierając nią o bok wagonika, usunąłem wierzchnią skorupę błota. — To — rzekłem uroczyście — jest prawdopodobnie złota moneta warta około tysiąca dolarów.

Burke wbił wzrok w spoczywający na mej dłoni przedmiot, potem przeniósł go na mnie. Otarł spocone czoło. Spodziewałem się usłyszeć: „Chyba żartujesz.” „Pieprzysz.” „Nabierasz mnie.” Albo: „Bardzo zabawne.”

Tymczasem on zapytał:

— Tysiąc dolców?

— Może więcej, może mniej. Coś koło tego.

— Skąd o tym wiesz? — indagował dalej lodowatym tonem.

— Wyjaśnię ci to potem. Wiem i już.

— Skąd to się tutaj wzięło?

— Było zagrzebane w mule na dnie rzeki. To skarb piratów. — Zdawałem sobie sprawę, iż takie oświadczenie musiało zabrznieć niedorzecznie. Wzmianka o skarbach pirackich zawsze wyczarowuje w ludzkiej wyobraźni różne głupie obrazy.

— Czy to prawda?

— Prawda — przytaknąłem. — Ale mamy problem.

— Z wydobyciem tego na górę — wtrącił Burke.

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem. Zaakceptował wszystko, co powiedziałem, bez jakichkolwiek wątpliwości. Od razu też pojął, w czym tkwi trudność. Dobrze, że wpadłem na to, aby wciągnąć do akcji całą brygadę.

— Mamy jeszcze jeden problem — oznajmiłem.

Burke zdawał się mnie nie słyszeć.

— Ile tego może być? — zapytał podnieconym głosem.

— Jeżeli kamieni będzie tysiąc, to ich wartość sięgnie miliona zielonych.

Burke przełknął ślinę.

— Tysiąc to będzie na pewno.

— Nie wszystkie z nich muszą zawierać złoto. Część monet może być ze srebra, mogą się też trafić kawałki zwykłego metalu.

— Nie tylko złoto?

— Nie mam co do tego pewności — wyjaśniłem, a następnie pośpiesznie dodałem, że nawet jeśli tylko połowa okaże się złotem, to i tak będziemy bogaci. — Niestety, jest jeszcze jeden problem — przypomniałem.

— Jaki? — Burke jak urzeczony wpatrywał się w kupkę kamieni.

— Po czyjej stronie jest Rifkins?

— Że niby co? A jakie są tutaj strony?

— Znalazcy i właściciele — wyjaśniłem.

— Co to, u diabła, ma znaczyć?

— Ciszej. To znaczy, że my jesteśmy znalazcami. A jeśli nie rozegramy tego z zimną krwią, właścicielem zostanie firma. Kapujesz?

— Aha. — Twarz Burke'a przybrała przebiegły wyraz. Chyba przeszedł mu cały kac, a wraz z nim zniknął podły nastrój. — Myślę, że nie możemy do tego dopuścić.

— Też tak uważam. Ale po czyjej stronie jest Rifkins?

— O Jezu, chyba po naszej. Dlaczego miałoby być inaczej?

— Jest majstrem. Dużo zawdzięcza firmie.

— No to co, nie jest chyba aż tak głupi.

— Nie wiem. A jeśli jednak jest?

— Jeśli jest — poważnie odrzekł Burke — to może go spotkać nie-szczęśliwy wypadek przy tym zaciętym lewarku.

— Zaraz, zaraz. Nie możemy wszystkiego popsuć, zabijając teraz człowieka. Opamiętaj się, Burke.

— Ani jeden dolar z tego tunelu nie trafi do kasy firmy — powtórzył z uporem.

Próbowałem znaleźć słowa odpowiednie do sytuacji, której nie przewidziałem, gdy Burke trącił mnie łokciem.

— Nadchodzi.

Podszedł do nas Rifkins. Choć nie mógł słyszeć naszej rozmowy, przyglądał się nam podejrzliwie.

- W porządku, chłopcy. Co jest grane?
- Odblokowałeś lewarek? — zapytał Burke.
- Chcę wiedzieć, co się dzieje.
- Myślę, że będzie lepiej, jeśli przez chwilę porozmawiamy — wtrąciłem.

Rifkins spojrzał mi prosto w oczy. Po twarzy ściekał mu pot, mokre plamy widać też było na jasnej koszuli. Oddychał co prawda normalnie, lecz dwudniowe tankowanie dawało o sobie znać w sprężonym powietrzu o temperaturze czterdziestu stopni.

Od razu ostro zabrał się do dzieła:

— Dzikie strajki są nielegalne. Jeśli macie jakieś skargi, zgłóście je w odpowiedni sposób. A w tunelu nie pozwolę się objąć.

— Dziki strajk? — zapytałem zdziwiony.

— Żadnych strajków w tunelu — powtórzył zdecydowanie. — A teraz wracajcie już do roboty. — Dla podkreślenia wagi swych słów, spiorunował nas wzrokiem, po czym zawrócił na pięcie, żeby wrócić do dłubiącego przy lewarku Kosińskiego. Burke złapał go za ramię i ponownie odwrócił twarzą do nas. Rifkins spojrzał zdumiony na Burke'a. Delikatnie ujął dwoma palcami rękę śmiałka i głosem, w którym zadźwięczała pewność siebie największego majstra tunelarzy na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych Ameryki, powiedział: — Puszczaj.

Burke ani myślał ustąpić.

— Posłuchaj, co ma do powiedzenia Creegan.

Rifkins zachował spokój, ale jego twarz wyraźnie poczerwieniała.

— Myślę, że będzie lepiej, jeżeli ty i Creegan weźmiecie się do roboty.

Burke zrobił krok naprzód, złapał Rifkinsa oburącz i potrząsnął nim z siłą odpowiednią do postury majstra.

— Słuchaj, ty cholerny durniu. Creegan uczyni cię bogatym. — Zbliżył twarz do jego twarzy i wrzasnął: — Posłuchaj wreszcie. — Puścił Rifkinsa, który wyglądał teraz, jak napięta główka sprężyna Big Bena. Szybko podszedłem bliżej.

— W tarczy jest złoto — powiedziałem. — Ty, ja, Kosiński i Burke możemy podzielić je między siebie, o ile tylko sprzątniemy je stąd, zanim ktoś nas uprzedzi. Być może jest ono warte milion zielonych, ale...

— Odbiło ci, czy co? — warknął Rifkins, najwyraźniej zdecydowany

odejść. Razem z Burkiem złapaliśmy go za ramiona i wspólnymi siłami zatrzymaliśmy w miejscu. Poprzez materiał koszuli wyczuwałem palcami jego potężne mięśnie.

— Nie jestem stuknięty — krzyknąłem. — To ty masz pochrzanione we łbie. Słuchaj!

Nim zdążyłem cokolwiek dodać, jak ryk napływającej wody, zahuczały dwa słowa:

— Puśćcie go!

Potworna siła oderwała moje ręce od Rifkinsa i cisnęła mną w płytę tarczy. W następnej chwili taki sam los spotkał Burke'a.

Naprzeciwko nas, niczym dwa rozjuszone przez szakale słonie, stali Rifkins i Kosiński. A więc powstał nowy układ sił.

Burke zawołał:

— Kosiński, chyba słyszałeś, o czym żeśmy gadali. Pomóż nam wytłumaczyć Rifkinsowi, jak to jest z tym złotem.

Rifkins zerknął podejrzliwie na swego obrońcę.

— Wiesz coś?

— O złocie? — zapytał Kosiński.

— Powiedz mu! — wrzasnął Burke.

— To prawda — krzyknąłem równie głośno. — Powiedz mu, że działając wspólnie, możemy wydobyć je na powierzchnię.

— Wiesz o tym? — dociekał Rifkins.

— Złoto! — darł się Burke. — Złoto! Złoto!

Kosiński z uśmiechem pokręcił wielką głową.

— Złoto?

— Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? — spytał Rifkins.

— Bo nie chciałeś słuchać! — odparł Burke.

— Skąd się tutaj wzięło?

— W rzece zatonął piracki okręt, a skarby utknęły w mule. Trafiliśmy prosto na nie.

Rifkins rozejrzał się dokoła.

— Gdzie macie to złoto?

— Gdzie? — powtórzył Kosiński.

— Właśnie tutaj. — Wskazałem im stertę błota.

Rifkins przyjrzał się jej krytycznie.

— Niczego tutaj nie widzę.

— Ponieważ monety obrosły mułem — wyjaśniłem ze znużeniem. — Daję ci słowo, że to prawda.

- Uwierzę, gdy zobaczę.
- Nie mamy na to czasu.
- Po co taki pośpiech — wojowniczo zapytał Rifkins.

Wymieniliśmy z Burkiem spojrzenia, po czym zacząłem wyjaśniać wszystko od początku.

— Ten skarb — powiedziałem — składa się z monet liczących sobie prawie trzysta lat. Każda z nich jest warta kupę forsy, od pięciu setek do wielu tysięcy, w zależności od okazu. Nie jestem numizmatykiem, żeby wdawać się w szczegóły.

Rifkins najwyraźniej nie mógł wyzbyć się sceptycyzmu.

- A niby jak one tutaj trafiły?
- Piracki okręt zatonął w rzece.

Majster odpowiedział ochryplym śmiechem.

- I to wszystko? Po prostu osiadł sobie na trasie naszego tunelu?
- Pamiętasz drewno, na jakie natrafiliśmy tuż przed prze ciekiem?

Jego twarz spoważniała.

— Taak.

— Chyba właśnie wtedy przechodziliśmy przez ten statek.

— To prawda — wtrącił Kosiński. — Chłopaki na górze opowiadali o kawałkach starego drewna, które znaleźli w tunelu po wypompowaniu wody.

— Widzisz? — rzuciłem.

— Ja tam niczego nie słyszałem — odparł Rifkins.

— A widziałeś tkwiące w błocie drewno?

— Dobra. Przypuśćmy, że to prawda. Jak się o tym dowiedziałeś?

— To proste — wyjaśniłem. — Znalazłem dwie takie bryłki przedwczoraj, wydłubałem ze środka monety i zaniósłem je do handlarza. To on opowiedział mi o zaginionym skarbie.

— Pokaż mi taką monetę — warknął Rifkins.

— Zostawiłem je w szafce w szatni. Nie mam ich przy sobie.

— No to pokaż mi którąś z nowych — nie dawał za wygraną.

— Proszę. — Rzuciłem mu do ręki oblepioną błotem grudkę.

— Co jest u diabła?

— Moneta jest w środku — wytłumaczyłem. — Żeby do niej dotrzeć, trzeba zdrapać osad, a to zabiera sporo czasu, którego nie mamy.

— A to niby dlaczego?
— Dlatego, że za półtorej godziny będziemy musieli opuścić tunel, a więc mamy do dyspozycji naprawdę niewiele czasu.

— Na co? — Rifkins ciągle spoglądał na nas nieufnie. Powoli zacząłem wątpić, czy do tego człowieka w ogóle coś dociera. Nie czekając na odpowiedź, przekazał bryłkę Kosińskiemu. — Zobacz, czy coś tam jest — polecił cicho, a Kosiński bez słowa zabrał się do roboty.

Burke przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. W jego oczach pełnym blaskiem płonął ów szalony błysk rozniecony pierwszą wzmianką o złocie. Nim zdołałem go powstrzymać, przyskoczył do Rifkinsa i wycelował palec w jego pierś.

— Po czyjej jesteś stronie, Rifkins?

— Co?

— Znalazców czy właścicieli?

— Co?

— Chcesz zatrzymać to złoto, czy nie? — wrzasnął, podskakując niecierpliwie.

— O co ci chodzi?

— Chodzi mu o to — wtrąciłem, odciągając Burke'a za siebie — że możemy zatrzymać złoto dla siebie i podzielić się milionem dolarów albo opowiedzieć wszystkim o naszym odkryciu i dodatkowo przyjąć do udziału naszą firmę, miasto oraz kolej.

— Ach, tak? — Na twarzy Rifkinsa pojawiło się zaskoczenie. — No cóż, firma...

— Pieprzy nas wszystkich i ty dobrze o tym wiesz — wpadł mu w słowo Burke. — To złoto jest nasze. Nasze! — Z rozmachem grzmotnął się pięścią w pierś.

Stałem przed Burkiem i spojrzałem Rifkinsowi prosto w oczy.

— To kupa forsy dla nasz czterech.

— I prawie nic, jeśli podzielimy się z każdym dupkiem w tym państwie — wrzasnął znad mego ramienia Burke.

— Zamknij się — rzuciłem w jego stronę, a kiedy ponownie spojrzałem w oczy Rifkinsa, ujrzałem w nich to, czego obawiałem się najbardziej. Strach. „Co będzie, jeśli nas złapią? — zdawały się krzyżeć. Co stanie się ze mną, z moją pracą i emeryturą?”

Burke podbiegł do sterty, zanurzył ramiona w błocie.

— To jest złoto tunelarzy. Nie firmy, tylko nasze. Nasze — powtarzał w kółko.

— Sam nie wiem — z wahaniem rzucił Rifkins.

— Złoto tunelarzy — atakował Burke, podczas gdy strugi brudnej mazi spływały mu po koszuli oraz spodniach. — Tyramy jak niewolnicy. Rzykujemy własne życie, budując tunele dla tych grubasów w limuzynach. Wypruwamy sobie żyły pod ziemią, a w tym czasie prezesi dymają swoje sekretarki. To cholerne złoto jest nasze. — Przytulił naręcze bryłek do piersi i popatrzył na nas z obłędem w oczach.

Spojrzałem na Rifkinsa.

— On ma rację i ty o tym wiesz — powiedziałem. — Zasłużyliśmy na nie.

Rifkins otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz w tym momencie podszedł do niego z tyłu Kosiński i poklepał po ramieniu. Kiedy majster odwrócił głowę, na wyciągniętej dłoni pokazał mu, co kryło wewnątrz badanego kamienia. Poskręcany kawałek szarego metalu.

— Złoto? — zapytał Kosiński.

9.

Ołów! — jęknął Burke.

— Ołów — powtórzył Rifkins, a w jego głosie dało się równocześnie słyszeć ulgę i rozczarowanie.

— Ołów? — Kosiński uważnie obejrzał kawałek ołowianej blaszki.

— Pokażcie — powiedziałem.

Burke złapał mnie za koszulę i przyparł do metalowej ściany. Próbowałem się wyrwać, lecz Kosiński i Rifkins zbliżyli się również, tworząc ciasne półkole.

— Co to za gówno, Creegan? — wrzasnął Burke.

— Fragment osprzętu łodzi — odrzekłem pospiesznie.

— Gdzie jest złoto? — zacieśnił chwyt. Błoto z jego ubrania wymazało także i mnie. Nagłym ruchem uderzyłem od dołu w rękę napastnika. Odzyskałem wolność, choć w jego dłoniach pozostały kawałki mego kołnierzyka. Sprężył się do następnego ataku, ale Rifkins osadził go na miejscu. Spojrzał na mnie surowo i powiedział:

— Świetny kawał.

— To nie kawał.

— Gdzie jest złoto? — złowróbnym tonem spytał Kosiński.

— To wcale nie było zabawne — stwierdził Rifkins z zadumą w głosie.

— A jaką ci to robi różnicę? I tak gotów byłeś oddać wszystko firmie.

- To jednak był kawał! — zawył Burke. — Ja go zabiję!
- Nie w tym tunelu — wtrącił Rifkins.
- Dzięki.
- Nie ma złota — ponuro upewnił się Kosiński.
- Tak naprawdę, nie oddałbym, go szefom — zapewnił Rifkins. — W ostatniej chwili zmieniałbym zdanie.
- Wobec tego lepiej zrób to już teraz — poradziłem. — Marnujemy tylko czas.
- Nie zaczynaj wszystkiego od początku — ostrzegł majster.
- Zabijmy go od razu — pieklił się Burke. W kącikach ust zaczynały mu się zbierać kropelki śliny.
- Nie — zdecydowanie rzucił Rifkins. — Wracajcie do roboty.
- A nie możemy przynajmniej porządnie mu przyłać? — z nadzieją w głosie zapytał Burke.
- Nie w tunelu. Już wam mówiłem.
- Później — mruknął Kosiński — kiedy wyjedziemy na górę.
- Zamknijcie się w końcu! — ryknąłem co sił w płucach. Zrobiłem chyba na nich wrażenie, bo umilkli jak na komendę. — To, co wyczyścił Kosiński, jest metalową częścią, pochodzącą prawdopodobnie z zatopionego okrętu. Może był to element okucia skrzyni albo część samego okrętu. Fakt ten wcale jednak nie oznacza, że tutaj nie ma złota. Wprost przeciwnie, są tutaj tony tego kruszcu. Okręt przewoził tysiące monet. Tysiące! Nie sądzę, żebyśmy odnaleźli wszystkie z nich, ale z pewnością i tak będzie tego dużo. Pod warunkiem, że — powtarzam raz jeszcze — przestaniecie, chłopcy, pieprzyć głupoty i weźmiecie się ostro do roboty.
- Naprzeciw siebie miałem trzy pełne podejrzliwości twarze. W ciągu paru sekund podejrzliwość zmieniła się w złość, we wściekłość.
- Nie wiesz, kiedy należy przestać — powiedział cicho Rifkins. — Myślę, że posuwasz się za daleko.
- Zlejmy go — zaproponował Kosiński bardzo poważnym tonem.
- Daj spokój — zaproponował Burke. — Lepiej go zabić. Potem powiemy, że spadł na głowę z pomostu. Kosiński? Podaj mi łopatę. Przytrzymaj go. Zaraz wybijemy mu z głowy głupoty.
- Nie! — zaprotestowałem.
- Puśćcie go — powiedział Rifkins.

— Dziękuję — szepnąłem, a Rifkins popatrzył na mnie z taką miną, jak gdyby ujrzał oślizgłego płaza. Musiałem błyskawicznie podjąć jakieś działania. — Patrzcie! — wrzasnąłem, po czym schyliłem się i na chybił trafił wybrałem cztery bryłki. — Niech każdy z was oczyści po jednym kawałku i dopiero wtedy osądzicie, czy kłamię. — Rozdałem kamyki, po czym, ignorując pozostałych, wybrałem zaciszny kątek, gdzie za pomocą noża zacząłem zdrapywać osad. Po chwili uniosłem głowę. Rifkins, Burke i Kosiński również zabrali się do roboty. W ruch poszły noże i śrubokręty. Burke kilkakrotnie uderzył swoim kawałkiem w bok wagonika, budząc w tunelu głucho echo.

Wzniosłem oczy ku wiszącym pod sufitem gołym żarówkom, modląc się w duchu, by moja bryłka zawierała złoto. Im dłużej skrobałem, tym bardziej nieregularnych kształtów stawał się obrabiany przedmiot. Robił się coraz dłuższy i cieńszy, aż wreszcie upodobił się do gwoźdźcia. Błagałem opatrność, żeby przynajmniej był ze złota. Nic z tego. Przy dokładniejszych oględzinach mój gwoździec okazał się mocno skorodowaną, mosiężną śrubą. W tym momencie nawiedziła mnie straszliwa myśl, iż tutaj rzeczywiście nie ma złota, a wszystko, co nas otacza, to nic nie warte szczątki pirackiej łajby Ludluma.

— Jeśli to złoto, to ja jestem tureckim świętym — pogardliwie prychnął Burke. — Popatrzcie na to gówno.

Ani myślałem do niego podchodzić. Obmyślałem, jak dotrzeć do końca zmiany. Burke już zmierzał w moją stronę. Rozglądał się przy tym na boki, chyba wypatrując poręcznej broni. Nagle uśmiechnął się drapieżnie, przypominając sobie o trzymanym w ręku nożu.

— Złoto! — zawołał Kosiński. — To jest złoto!

— Gówno prawda — odburknął Burke, podchodząc jeszcze bliżej.

Rifkins błyskawicznym chwytem złapał go za szyję, szybko i skutecznie udaremniając mordercze zapędy.

— U mnie też jest złoto — oznajmił cicho. — Creegan nie kłamał. — Oswobodziwszy Burke'a, porównał swoją monetę z wyczyszczoną przez Kosińskiego. Uśmiechnięci od ucha do ucha, zbliżyli się do mnie i pokazali swoje skarby.

— Czy twoja moneta wygląda tak samo, Creegan?

— Chyba tak. Zupełnie się na tym nie znam, ale na pierwszy rzut oka wygląda tak samo. W każdym razie bez wątplenia jest to złoto.

— To dobrze — ucieszył się Kosiński.

— Złoto! — wychrypiął Burke. — To złoto! Jesteśmy bogaci!

— Czy teraz możemy już zaczynać? — zapytałem.

Burke wetknął nóż za cholewkę buta i zdusił mnie w niedźwiedzim uścisku. Podrzucał do góry, chuchając wprost w twarz kwaśnym odorem piwa i whisky i powtarzał bez końca:

— Udało ci się, Creegan, udało ci się. — Przez moment bałem się nawet, że mnie pocałuje. Wtulony w jego ramię, widziałem malujące się na twarzy Rifkinsa zwątpienie oraz strach. Odzyskałem wolność, gdy Burke'a złapał nieoczekiwany atak kaszlu. Podbiegłem natychmiast do majstra i powiedziałem, że musimy zabrać się za ratowanie złota. Widząc, iż zamierza dyskutować, przypomniałem mu, że jeszcze przed chwilą godził się na wszystko. Kosiński to potwierdził i Rifkins w końcu skapitulował.

— No dobra — rzekł. — Zrobimy to. Musimy jednak zachować ostrożność.

— W tej akcji nie ma żadnego ryzyka — zapewniłem.

— W jaki sposób wywieziemy złoto z budowy? — zapytał. — Mówiłeś, że masz jakiś pomysł.

— Istnieje tylko jedna możliwość — odrzekłem. — Nieco ryzykowna... Czekajcie, pozwólcie mi dokończyć. Ryzyko polega na tym, że możemy wszystko stracić, ale nawet wtedy nikt się o niczym nie dowie.

— Co proponujesz? — ostrożnie zapytał Rifkins.

Burke przestał kaszleć i błyskawicznie napchał kieszenie ociekającymi błotem kamieniami. Przypominał w tym momencie dzieciaka, który w noc Halloween zapomniał torby na podarki.

Wskazałem go Rifkinsowi.

— Na pewno nie to. Nie zdołamy wszystkiego wynieść. Rzucalibyśmy się wszystkim w oczy, a poza tym, jak już wiemy, nie wszystkie bryłki kryją w sobie monety.

— To prawda. I co z tym zrobić?

— No właśnie? — wtrącił Kosiński z zafrasowaną miną.

— Musimy zabrać stąd wszystkie bryłki. Co do sztuki. I modlić się, żeby następna zmiana niczego nie znalazła.

- Przecież oni nie wiedzą, co to takiego — zauważył Rifkins.
- Miejmy nadzieję. Tak czy inaczej zabrać musimy wszystko, żeby później dokonać selekcji.
- Nie damy rady zabrać ich ze sobą — po chwili namysłu oznajmił Rifkins.
- Dlatego wyekspediujemy je wagonikiem — powiedziałem.
- Co takiego?
- Co? — powtórzył jak echo Kosiński. Rifkins wskazał mu głową Burke'a i rzekł:
- Kosiński, dopilnuj, żeby Burke opróżnił kieszenie.
- Kosiński zajął się Burkiem, ja zaś wytłumaczyłem dlaczego wagonik był naszą jedyną szansą. Na koniec rzekłem:
- O ile dobrze pamiętam, wagoniki, po przejściu przez śluzę wyjeżdżają windą na górę, a następnie są opróżniane na barce, prawda?
- Rifkins zmarszczył brwi.
- O Jezusie, Creegan, tak mi się wydaje, ale nie jestem pewien. Kto zwraca uwagę na to, co dzieje się na górze?
- Barka stoi zacumowana niedaleko bramy. Prowadzi tam krótki odcinek torów.
- A więc później pójdziemy na barkę i zabierzemy złoto?
- Tak jest.
- Ale zanim to będzie możliwe, upłynie co najmniej godzina. W tym czasie nasz skarb zostanie przysypany masą ziemi.
- Nie — odparłem z uśmiechem. — Na tym właśnie polega mój plan. Wagonik ze złotem wyślemy tuż przed końcem zmiany. Następna porcja urobku trafi na barkę dopiero po tym, jak wymieniające się brygady odbędą dekompresję, a to znaczy, że będziemy mieć do dyspozycji około godziny.
- A co z pracującymi na barce ludźmi? Pewnie będą też reflektory.
- Światła nie stanowią żadnego problemu — rzuciłem wymijająco.
- Drobną awarię kabla albo coś w tym rodzaju i sprawa z głowy.
- Sabotaż — jęknął Rifkins, nie wiadomo, czy bardziej oburzony, czy wystraszony.
- To nie będzie nic poważnego — dodałem uspokajająco. — Wystarczy jedno małe nacięcie.

- Nie wolno niszczyć własności firmy — wybuchnął Rifkins.
- Kiedy już zabierzemy złoto — powiedziałem łagodnym tonem — prześlemy na konto firmy anonimową dotację na pokrycie strat. Co ty na to?
- Sam nie wiem — z wahaniem odparł Rifkins.
- To jedyny sposób. Będziemy potrzebować czasu na odszukanie złota, wydobyć go z błota, a następnie przeładowanie do samochodu.
- Co takiego?
- Do któregoś z naszych samochodów?
- Mojego tutaj nie ma — oznajmił Rifkins.
- Jeszcze wczoraj nim jeździłeś — przypomniałem.
- Stoi u blacharza — mruknął Rifkins, odwracając wzrok. Po chwili milczenia dodał: — Gdy wracałem od Charley'asa, wpadłem na ciężarówkę.
- Patrząc na zakłopotaną minę majstra, pomyślałem, że dotychczas nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak jest uczciwym człowiekiem.
- W takim razie skorzystamy z wozu kogoś innego — postanowiłem.
- Z twojego.
- Ja nie mam samochodu.
- Podobnie jak Kosiński i Burke.
- Drobiazg — rzuciłem. — Ukradniemy ciężarówkę.
- Ukradniemy ciężarówkę?
- No to wypożyczymy. Na jeden kurs. A potem natychmiast zwrócimy.
- To mi się nie podoba.
- Milion dolarów podzielony na cztery da każdemu z nas ćwierć miliona — kusilem. — Równe dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- Może rzeczywiście uda nam się coś wypożyczyć — skapitulował Rifkins.
- Dobra. Bierzmy się do ładowania wagonika.
- Czekaście — Kosiński podniósł rękę. — Te kamyki rozsypią się po całej barce. Jakim cudem mamy je później odnaleźć?
- No właśnie — poparł go Burke. Rozejrzałem się dokoła.
- Zapakujemy wszystko w worki — oznajmiłem, wyciągając z kieszeni

nóż. Pod ścianą, w równym szeregu, stało dziewięć czy dziesięć worków z piaskiem. Rozciąłem zamykający wylot sznurek i opróżniłem pierwszy z nich. Reszta brygady natychmiast poszła w moje ślady.

Rifkins ciągle miał jakieś wątpliwości.

— A co będzie, jeśli robotnik wywracający wagonik zauważy worki?

— Jeśli człowiek przez całe życie nie robi nic innego, tylko opróżnia wagoniki, to czy będzie zwracał uwagę na ich zawartość?

Rifkins pokiwał głową. Wyrzuciliśmy z wagonika to, co wcześniej do niego załadowałem, po czym przystąpiliśmy do napełnienia worków. Pracowaliśmy gołymi rękami. Burke brał bryłki ze sterty i z luków w płycie tarczy. Przekazywał je Kosińskiemu, który z grubsza otrząsał kamyki z błota i podawał Rifkinsowi. Rifkins napychał nimi worki, a ja wkładałem je do wagonika.

Mieliśmy do dyspozycji dwie koleby. Jedną z nich postanowiliśmy załadować złotem, a drugą wybranym z tarczy szlamem. Rifkins przekonał nas, że powinniśmy wykonać nieco prac porządkowych, jeśli nie chcemy, żeby na górze opieprzył nas kierownik zmiany. Byłem pewien, że przebywam pod ziemią po raz ostatni, ale Rifkins miał rację. Wszystko musiało wyglądać tak jak zwykle.

Ponieważ nie wszystkie bryłki zmieściły się w workach, załadowaliśmy je luzem. Lepiej było stracić je na barce, niż zaryzykować, że pozostawione w tunelu wzbudzą ciekawość. Razem z Rifkinsem liczyliśmy wędrujące do worków kamyki. Gdy Burke oznajmił koniec roboty, mieliśmy na koncie tysiąc osiemset czterdzieści siedem sztuk.

Ostatni worek sięgał niemal górnej krawędzi wagonika. Przyjmując przybliżoną wagę jednej bryłki na sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu gramów, otrzymywaliśmy ciężar całkowity znaleziska w granicach stu pięćdziesięciu kilogramów, z czego mogło być około pięćdziesięciu kilogramów czystego złota. Oczywiście należało jeszcze odrzucić te kawałki, które złota nie zawierały, ale pięćdziesiąt kilogramów złota — potraktowane wyłącznie jako złom metalu, bez uwzględnienia wartości numizmatycznej — i tak mogło nam przynieść sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jaka wartość przedstawiały monety, pozostawało na razie tajemnicą.

— Dobra — powiedział Rifkins, poczuwszy się znów majstrem. — Przykryjcie worki błotem, gdzieś tak na kilkanaście centymetrów.

Złapałem za łopatę, by wypełnić polecenie, lecz Burke mnie powstrzymał.

— Co się stało? Znalazłeś coś jeszcze?

— Nie. Posłuchajcie. A jeśli coś pójdzie nie tak i nie znajdziemy tego złota?

— Znajdziemy — zapewniłem. — Będzie na samym szczycie hałdy.

— Ale może, tak na wszelki wypadek, powinniśmy się nieco zabezpieczyć?

— Żadnego złota w kieszeniach — przypomniał Rifkins. — Ktoś coś zauważy i głupio wpadniemy.

— Choć parę sztuk — błagał Burke. — Parę tysięcy dolarów na otarcie łez, gdyby coś nie wyszło.

— Nie.

— Po jednej sztuce do każdej kieszeni?

Rifkins zaczął mięknąć. Przypatrywaliśmy się mu z rosnącą nadzieją, albowiem to, co proponował Burke, nie było pozbawione sensu. Tysiąc dolców to zawsze lepiej niż nic. W końcu majster powiedział, że możemy wziąć po dwie sztuki, po jednej do każdej kieszeni spodni. Nikt nie próbował protestować. Podeszliśmy do wagonika i zajrzeliśmy do środka.

— Ruszajcie się — ponaglił Rifkins. — Na porządki zostało nam już tylko pół godziny.

Wpatrywałem się w identycznie wyglądające bryłki. Inni robili to samo. Czy dokonamy słusznego wyboru? Po chwili namysłu Kosiński wyciągnął wielką łapę i podniósł pierwszą z brzegu parę kamyków. Metoda ta wydała mi się równie dobra jak każda inna, więc poszedłem w jego ślady.

Rifkins, choć przecież naglił nas do pośpiechu, wciąż jeszcze marudził. Pochyłony nad wagonikiem miał taką minę, jakby chciał przeniknąć wzrokiem skorupkę mułu. Obliział wargi, rozejrzał się dokoła, a potem wziął najbliższej leżącej kamyk i drugi — z przeciwległego narożnika. Przez chwilę ważył je w dłoni, a następnie, wzruszywszy z rezygnacją ramionami, schował do kieszeni.

Najdłużej guzdrał się Burke. Wydał usta i, niczym puciołowata matrona usiłująca wyłowić z bombonierki czekoladkę z wisienką w środku, wodził wzrokiem od bryłki do bryłki. Parę razy brał je nawet do ręki, lecz natychmiast odrzucał, jak gdyby go parzyły, i zaczynał wszystko od początku.

W końcu znalazł taką, która mu odpowiadała. Zważył ją w dłoni, po czym odłożył na obramowanie wagonika.

Rifkins przyglądał się temu spokojnie przez minutę. Potem kazał Burke'owi podjąć decyzję i nie przeszkadzać innym w pracy. Gdy i to nie poskutkowało, złapał za łopatę i zaczął przykrywać skarb błotem. Ponieważ Kosiński i ja nadal staliśmy bez ruchu, praca szła mu powoli, jednak w końcu zawartość wagonika upodobniła się do zwyczajnej porcji mułu. Burke do ostatniej chwili grzebał wśród kamyków. Przestał dopiero wtedy, gdy zarobił łopatą po palcu.

Wkrótce monety zniknęły bez śladu. Podniosłem ciężki młot i z rozmachem uderzyłem w bok wagonika. Nim w tunelu przebrzmiało ogłuszające echo, zadałem następny cios.

Zapytany przez Rifkinsa, dlaczego to robię, odrzekłem, że znakuję wózek, by później móc go rozpoznać wśród wielu innych znajdujących się na placu budowy. Rifkins pochwalił moją przezorność, lecz zaraz dodał, iż mogłem zastosować mniej drastyczną metodę znakowania. Obmacując okazałe wgłębienie pozostawione w ścianie wagonika, zapewniłem, że jest mi z tego powodu niezmiernie przykro.

W ciągu następnych dwudziestu minut odwaliliśmy robotę, którą należało wykonać w dwie i pół godziny. Rifkins krzykiem przypominał nam co chwila, że musimy zachowywać się jak zwykle. Chyba jedyną zaletą pracy w sprężonym powietrzu jest to, iż nikt nie podejdzie do ciebie z nienacką, aby sprawdzić, czy wkładasz dostatecznie wiele wysiłku w to, co robisz. Poza telefonem nie mieliśmy bowiem żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym.

Kiedy nadszedł fajrant, zaciągnęliśmy wagoniki pod drzwi śluzy towarowej. Najpierw wepchnęliśmy do środka ten z ładunkiem błota, po nim przysła kolej na naszą przesyłkę specjalną, lecz wówczas okazało się, że nikt nie chce jej dotknąć.

— Wepchnijcie drugi wózek — polecił Rifkins. Nie ruszyliśmy się z miejsca.

— Do diabła — warknął. — Zrobię to sam.

— Zaczekaj — zaproponował Burke. — A może zrobimy to razem?

Popatrzyliśmy na niego ze zdziwieniem.

— No wiecie, taka mała ceremonia. Na szczęście. Chodźcie.

Unikając nawzajem, swojego wzroku, oparliśmy ręce o wagonik, a Burke odliczył — raz, dwa, trzy, pchać. Pchnęliśmy i koleba zniknęła w mroku służby towarowej. Odprowadziliśmy ją tęsknymi spojrzeniami.

— Chciałbym pojechać razem z towarem — powiedział Burke.

— Proszę bardzo — Rifkins zatrzaskał drzwi. — Wtedy do podziału zostałyby tylko trzech.

10.

Nigdy więcej nie będę pracować w tunelu — pomyślałem wchodząc do komory dekompresyjnej. Usiadłem na ławce, a Burke zašrubował stalowe drzwi. Przed chwilą, po raz ostatni rzuciłem okiem w głąb gorącej, niebezpiecznej, okrągłej dziury. W takich miejscach przepracowałem łącznie siedem lat. Wraz ze szczękiem zamka, przy wtórze syku tłoczonego powietrza, kończył się w moim życiu pewien etap. Wcale tego nie żałowałem. Znacznie lepiej będzie żyć dzięki pieniądzom uzyskanym ze sprzedaży monet.

Dzisiejsza szychta nie była tak wyczerpująca jak zwykle. Sporo czasu upłynęło nam na gadaniu, kłótniach i pakowaniu monet, toteż czułem się teraz zupełnie znośnie. A mimo to przez dłuższy czas siedziałem nieruchomo w całkowitym milczeniu. Myślałem o latach spędzonych przy tarczy, o tym, jak trafiłem pod ziemię po raz pierwszy. Zrobiłem to dla starego — tak przynajmniej mi się wówczas wydawało. Miałem osiemnaście lat i byłem dostatecznie duży, by podjąć tę pracę, choć nie posiadałem jeszcze siły dorosłego mężczyzny. Wiedziałem, że ojciec jest ze mnie dumny, nie wiedziałem natomiast, iż źródłem tej dumy jest rodzicielska miłość. Dlatego też, chcąc, żeby był ze mnie jeszcze bardziej dumny, podczas gdy pracowałem gdzieś za granicą, wstąpiłem do brygady tunelarzy. Nim wrócił do domu, wciągnąłem się do tej roboty na dobre. Przed śmiercią powiedział

mi, że gdyby znał moje zamiary, namawiałby mnie do zmiany decyzji. Jego zdaniem nie był to zawód, który należało przekazywać z ojca na syna.

Powtarzał, iż najwięcej problemów powstaje wówczas, gdy człowiek chce się wycofać. Pracując pod ziemią, ludzie dochodzą do punktu, po przekroczeniu którego nie potrafią już robić nic innego. A na dodatek można tu zarobić kupę forsy. W tunelach, jak wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi niebezpieczeństwo, jednostka staje się częścią zespołu. Takiej więzi brakuje w zwyczajnej pracy. Kopacze, drążący skały górnicy, nurkowie z zespołu ratownictwa oraz montażyści, nie nadają się do taśmy w fabryce czy na kierowców ciężarówek. Jednak teraz już wiedziałem, co najbardziej martwiło starego. W gruncie rzeczy cała ta praca sprowadzała się do przerzucania błota.

Zacząłem wyobrażać sobie, na co przeznaczę taką ogromną sumę.

— A więc powiadasz, że będzie tego z milion dolarów — wyrwał mnie z zadumy Burke. Stał przy drzwiach i przecierał rękawem tarczę manometru.

— Coś koło tego.

— Milion dolców — powtórzył Burke rozmarzonym głosem.

— Ćwierć miliona dolców na łeb — sprowadził go na ziemię Rifkins.

— Wiecie, co można zrobić z milionem dolarów? — Pytanie Burke'a zaadresowane było do nas wszystkich.

— Z ćwiercią miliona — surowo wtrącił Kosiński.

Burke puścił do mnie oko.

— Hej, Kosiński — zawołał — na co wydasz swoje pieniądze?

Kosiński odrzekł bez najmniejszego wahania:

— Na farmę.

Burke parsknął śmiechem.

— Chcesz zapuścić korzenie na jakiej brudnej farmie? Kosiński, ty chyba żartujesz? Farmę?

— A cóż w tym złego? — zapytał Rifkins.

— Nic. Po prostu nie mogę uwierzyć, że Kosiński chce zagrzebać się na farmie. Przecież będzie musiał na niej pracować.

— A co złego jest w pracy? — zapytał Kosiński.

Burke uśmiechnął się tylko i nic nie odpowiedział.

- No, a ty? — zagadnął go Rifkins.
- Ja? Z milionem dolarów w kieszeni mogę kupić wszystko na świecie, samochody, kobiety, wielką łódź. Przede wszystkim kobiety. Byliście kiedy chłopcy w tajwańskim burdelu? Tamtejsze lokale są najlepsze na świecie. I Vegas. Wynajmę sobie tyle ciż, że będzie mi potrzebny dział kadr do pilnowania porządku.
- Ćwierć miliona dolarów — przypomniałem.
- Tak, tak. Racja. Ćwierć miliona dolców. Jezu, ale się zabawię. — Chichocząc, przykręcił zawór powietrza. Kosiński siedział nieruchomo i w milczeniu wpatrywał się w przeciwległą ścianę. Rifkins sprawiał takie wrażenie, jakby nie czuł się zbyt pewnie. Między jednym a drugim wybuchem śmiechu Burke zapytał go o dalsze plany.
- Jeszcze nie mamy tych pieniędzy — odpowiedział nerwowo.
- Są bezpieczne jak w banku — zapewnił Burke. — Daj spokój, Rifkins, gadaj, co zrobisz.
- Jeśli dostanę moją część — zaczął Rifkins — bo przecież na razie jej nie mam... no więc, jeśli ją dostanę, to nauczę się latać.
- Jesteś za ciężki — stwierdził Burke.
- Rifkins kazał mu się zamknąć.
- Co jest z wami, chłopaki? — wrzasnął Burke, zupełnie niezrażony reprimendą. — Powinniście być szczęśliwi.
- Jesteśmy szczęśliwi — odrzekłem.
- Pokażcie to.
- Kupię sobie samolot — wrócił do tematu Rifkins. — I wstąpię na kurs pilotażu.
- Całkiem niezły pomysł — oceniłem. — Jaki to będzie samolot?
- Jednosilnikowy apache. Wykorzystam go do czarterów. Będę wozić myśliwych do Kanady albo coś w tym rodzaju.
- Popatrzyliśmy na niego uważnie.
- Coś mi się zdaje, że planowałeś to sobie już wcześniej — zauważyłem.
- Na twarzy Rifkinsa pojawił się uśmiech.
- Ano planowałem. Oszczędzałem pieniądze. Nie spodziewałem się jednak, że to nastąpi tak szybko.
- Nigdy przedtem nie słyszałem o jego zamiarach. Burke również był zaskoczony, natomiast Kosiński ponuro pokiwał głową. Miał taką minę, jakby od dawna o wszystkim wiedział.

- Burke złapał się za głowę.
- Ty też? Zupełnie jak Kosiński. Co wam tak spieszo do roboty? Chryste, Rifkins, masz czterdzieści lat i chcesz brać się za biznes?
 - Trzydzieści osiem — sprostował Rifkins.
 - Czy żaden z was nie chce po prostu odpocząć? Co z tobą Creegan? Ty też rozkręcisz jakiś interes?
 - Raczej nie.
 - No to co zamierzasz robić?
 - Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Może wyjadę do Kalifornii.
 - Po co ci Kalifornia. Przecież już tam byłeś, kopałeś tunel.
 - Tak, ale wyjeżdża tam pewna osoba, a ja chciałbym być razem z nią.
 - Ta babka ze śmiesznym samochodem?
 - Ta sama.
 - Niekiepsko wygląda — pochwalił Burke.
 - Przekażę jej twoją opinię.
 - Ale przeprowadzka do Kalifornii nie kosztuje ćwierć miliona dolarów.
 - Będę potrzebował mieszkania — wyjaśniłem.
- Burke prychnął.
- Całkiem nie macie wyobraźni, chłopcy.
 - Ty zaś — odciął się Rifkins — masz jej za dużo. — Jego wzrok wędrował od twarzy do twarzy. — Jeszcze nie mamy tych pieniędzy. Za ten numer możemy wylecieć z pracy i wtedy będziemy cienko śpiewać.
 - Jeśli nawet, to nie stracimy przecież tej forsy — obstawał przy swoim Burke.
 - On ma rację — wtrąciłem pośpiesznie. — Monet nikt nam nie odbierze. Będą czekać na barce, na samym wierzchu hałdy.
 - Słuchajcie — powiedział Rifkins poważnym tonem majstra. — Nie chcę, żeby któryś z was poleciał prosto z komory na barkę. Zrozumiano?
 - Nigdzie nie polecimy — przytaknąłem zadowolony, że Rifkins zachował zimną krew. — Nie zamierzamy zwracać na siebie czyjejkolwiek uwagi.
 - To właśnie chciałem powiedzieć — podjął Rifkins. — Musimy

zachowywać się naturalnie. W przeciwnym razie wpadniemy i stracimy pracę.

— Albo — dodałem — ktoś dowie się o złocie i będziemy musieli podzielić się nim ze wszystkimi.

— Creegan ma rację — poparł mnie Rifkins. — Nie chcę, żeby któryś z was to spieprzył. — Przy tych słowach zmierzył spojrzeniem Burke'a.

Burke wytrzymał jego wzrok.

— Myślisz, że na górze też jesteś majstrem?

— Tak — krótko odparł Rifkins.

Burke skrzywił się jak obrzydliwa ropucha.

— Ja też tak uważam — wtrąciłem zdecydowanie.

Ludzie kradnący złote monety wartości miliona dolarów potrzebowali przywódcy bardziej niż kiedykolwiek. Kosiński mruknął na znak zgody, więc osamotnionemu Burke'owi nie zostało nic innego, jak tylko wyrazić zgodę.

— No dobra — mruknął bez entuzjazmu. — Jak sobie życysz.

Odetchnąłem z ulgą. Po chwili dotarło do mnie, że o całej operacji myśle w kategoriach kradzieży, co właściwie nie było zgodne z prawdą. Należało raczej mówić o wzięciu w posiadanie. Przecież nikt nie poniesie żadnej straty, prawda?

— Już czas — oznajmił Rifkins. — Burke, otwieraj drzwi. Wszyscy idziemy do szatni, bierzemy prysznic, przebieramy się i czekamy na dalsze polecenia.

— Nie mamy czasu na prysznic — wybuchnął Burke.

— Nie igrajmy z losem — powiedziałem cicho. — Już od pół godziny monety pozostają bez opieki.

— Dobra. Bez prysznic. Ale przebierzcie się i doprowadźcie trochę do porządku.

Burke otworzył drzwi. Prowadzeni przez Rifkinsa, przeszliśmy do windy i wyjechaliśmy na górę. Po przekroczeniu progu baraku ujrzelśmy kierownika Reese'a oraz trzydziestoparoletniego wysokiego, chudego mężczyznę z wąsem, ubranego w brązową, tweedową marynarkę, w okularach z grubą oprawką. Stałem jak wryty z otwartymi szeroko ustami. W następnej sekundzie wpadł na mnie rozpędzony Burke i wepchnął w głąb pomieszczenia. Dopiero wtedy dostrzegł Reese'a i też skamieniał.

Kierownik Reese należał do personelu wyższego szczebla. Pilnował, żeby

praca szła jak należy. Stojąca na jego biurku tabliczka informowała, że jest specjalistą od stosunków międzyludzkich. Miał czterdzieści parę lat, był otyły i nikomu do niczego niepotrzebny. Plotka głosiła, iż wzenił się w rodzinę, do której należała Metropolitan Tunnel Company. Wszyscy w to wierzyli, ponieważ było to jedyne logiczne wytłumaczenie faktu, że ktoś tak szorstki w obejściu, tak niekompetentny jak Reese, otrzymał podobne stanowisko.

Jego obecność w baraku nie wróżyła niczego dobrego. W pierwszym odruchu pomyślałem, że jakimś cudem w firmie dowiedzieli się o naszych monetach i wysłali Reese'a, aby je zabrał, a nas wylał z roboty. Sądząc po minach Rifkinsa, Burke'a oraz Kosińskiego, musieli myśleć w podobny sposób.

— Dobry wieczór panom — zagrział Reese serdecznym głosem zawodowego prezentera. Dodał do niego olśniewający uśmiech.

Skinąłem mu głową, a Rifkins powiedział:

— Dobry wieczór, panie Reese.

Burke z Kosińskim nie wyrzekli ani słowa, tylko stanęli za naszymi plecami.

Reese spojrział na nas zdziwiony.

— Może byście tak zamknęli drzwi? Nie chcę się przeziębić.

Burke zatrzasnął drzwi solidnym kopniakiem.

Reese wskazał ruchem głowy chudzielca w okularach.

— Ten pan to Archibald Byron. Z... z jednego z muzeów.

— Z Met — odpowiedział Byron z lekkim angielskim akcentem.

— Tak, tak. Z Met.

Byron uśmiechnął się, odsłaniając równe zęby.

— Powie wam coś ciekawego.

Zbici w ciasną gromadkę tłoczyliśmy się przy drzwiach. Sytuacja była niezwykła. Co facet z Metropolitan Museum of Art robił w baraku tunelarzy? Poczulem strach, bo przecież muzea i monety mają ze sobą wiele wspólnego. Wprawdzie ten typ nie mógł nic wiedzieć o naszych monetach, ale w czasie gdy słuchać będziemy „czegoś ciekawego”, skarb zniknie pod zwalami błota wydobytego przez następną zmianę.

— Właściwie — zaczął Byron — mam do panów pewne pytanie. Czy któryś z was natknął się w tunelu na coś niezwykłego? Na coś, czego nie było w innych tunelach?

Spojrzałem na kolegów. Wszyscy zdecydowanie pokręcili głowami. Widząc to, odrzekłem:

— Nie, proszę pana. Nie widzieliśmy.

Byron sprawiał wrażenie rozczarowanego.

— Na pewno?

— No, jeśli nie mówić o tych pary milionach litrów wody, która zalała nas wczoraj — z głupim uśmiechem wtrącił Burke.

— Otóż to. Właśnie dlatego tutaj jestem.

— Pozwoli pan, że podczas rozmowy będziemy się przebierać? — zapytałem.

— Ależ proszę bardzo. Nie chcę panów przetrzymywać.

Podeszliśmy do szafek z ubraniami, a Byron, kręcąc się nerwowo po szatni, kontynuował swój wywód.

— Jak już wspomniałem, sprowadził mnie tutaj wczorajszy przeciek. Pewne okoliczności przemawiają za tym, że wasz tunel mógł trafić na szczątki zatopionego statku.

Znieruchomiałem ze spodniami w okolicy kolan. Skąd on to wiedział?

— Co skłania pana do takich przypuszczeń?

— Brygada porządkowa wywozła na powierzchnię kilka kawałków drewna — wtrącił Reese.

— No właśnie — podjął Byron. — Przyjrzałem się im i stwierdziłem, iż rzeczywiście mogą pochodzić ze statku.

— Drewniany statek? — zapytałem naiwnie.

— Jak najbardziej. Być może pochodzi z osiemnastego wieku.

Zerknąłem na Rifkinsa. Z uwagą wpatrywał się w podłogę.

— No, no. Rzeczywiście, sprawa godna uwagi — powiedziałem. — Wprost trudno coś takiego sobie wyobrazić.

— Taak — dorzucił Burke. — Ale ponieważ nie widzieliśmy niczego, więc pozwoli pan, że już sobie pójdziemy.

— Jeszcze chwila, proszę. Wiem, że spieszo wam do domu, do żon i rodzin. To już nie potrwa długo. — Uśmiechnął się do nas sympatycznie. Miał ogorzałą, usianą drobnymi zmarszczkami twarz, jak ktoś, kto spędza dużo czasu na świeżym powietrzu. To nie była twarz człowieka przebywającego przez długie godziny w salach muzealnych. — Rozmawiałem z panów przełożonymi i uzyskałem od nich zgodę na to, by poprosić was o zwracanie szczególnej uwagi na wszelkie, nawet najdrobniejsze szczegóły.

— Będziemy uważać — zapewniłem.

— Dziękuję. Z taką samą prośbą zwróciłem się już do pozostałych brygad. — Urwał, by sięgnąć po torbę, przypominającą kształtem futerał na kije golfowe. Z jej wnętrza wydobył długi metalowy pręt zakończony niewielkim talerzem. Z trudem przełknął ślinę i spojrzał znacząco na Rifkinsa. Był to wykrywacz metalu.

— Jak zapewne wiecie, jest to wykrywacz metalu — powiedział Byron. — Poprosiłem o zgodę na wejście z tym sprzętem do tunelu i przeprowadzenie badań. Wasza firma potraktowała mnie ze zrozumieniem, mam jednak poczekać, aż prawnicy przygotują tekst oświadczenia w sprawie odpowiedzialności za nieszczęśliwe wypadki.

— Zamierza pan wejść do tunelu? — zapytałem.

— Gdy tylko otrzymam stosownie pozwolenie.

— Był pan kiedykolwiek pod gazem? — wsparł mnie Burke.

— Słucham?

— Pytałem, czy kiedykolwiek przebywał pan w sprężonym powietrzu.

— Swego czasu brałem udział w podwodnych wykopaliskach — odrzekł Byron ze słabym uśmiechem.

— Uważam, że nie powinien pan wchodzić do tego tunelu. To może być niebezpieczne — ostrzegłem.

— Wy tam wchodzić.

— Płacą nam za to.

— Mnie zaś płacą za to, aby do muzeum trafiały wszystkie obiekty o wartości historycznej. Jeśli w waszym tunelu znajdują się fragmenty rozbitego statku, moim zadaniem jest ściągnięcie ich do muzeum. Jeżeli nasze przypuszczenia są słuszne, mamy tutaj do czynienia z cennym znaleziskiem archeologicznym.

Pomysł Byrona zupełnie mi się nie podobał. Jeśli znajdzie tam na dole choć parę monet, ktoś zacznie zadawać pytania, my zaś będziemy mieli ogromne kłopoty ze sprzedażą znalezionej złota.

— Nie sądzę, żeby to urządzenie na coś się przydało — rzekł Burke.

— Przecież cała tarcza wykonana jest z metalu.

— Zdaję sobie z tego sprawę — spokojnie odrzekł Byron. — Ale to urządzenie jest niezwykle precyzyjne. Wykrywa metal na niewielkim obszarze. Wystarczy skierować dysk na interesujące nas miejsce i nacisnąć guzik. — Pstryknął przelącznikiem, a instrument, wycelowany w leżące na

podłódze moje robocze spodnie, zareagował ostrym piskiem. Podskoczyłem jak oparzony i cisnąłem spodnie do szafki.

— Widzicie — ucieszył się Byron. — Pewnie trafiłem na pańskie klucze.

Udałem, że zaglądam do kieszeni.

— Zgadza się.

Byron zaśmiał się i przeniósł detektor na Burke'a. Natychmiast rozległ się taki sam pisk.

— Klucze — oznajmił Burke.

Byron wycelował w drugą kieszeń jego spodni. Z identycznym efektem.

— A co jest tutaj? — zapytał.

— Skąd, u diabła, mam wiedzieć — ponuro rzucił Burke.

— No to sprawdź — zaproponował Reese.

Na twarzy Burke'a odmalowała się panika.

— To chyba twój nóż, co? — zagadnąłem.

— Co? A tak, racja. Mój nóż.

Byron zmierzył go ostrym spojrzeniem, potem przeniósł wzrok ta mnie. Gdy tak patrzył w milczeniu, zrozumiałem, że jest cholernie bystry i zaczyna coś podejrzewać. W końcu powiedział:

— Mieszkańcy Nowego Jorku mają prawo do skarbów swego miasta bez względu na to, czy są to wiszące w muzeum obrazy, czy też zabytki dotąd nieodkryte. Byłoby rzeczą nieuczciwą pozbawiać ich tego dziedzictwa.

Energicznie skinąłem głową.

Byron intensywnie wpatrywał się w Burke'a, jak gdyby chcąc przeniknąć w głąb jego duszy. Burke wytrzymał to przez jakiś czas, le w końcu zaczął się łamać. Chrząknął, zaszurał nogami i odwrócił wzrok.

Przez twarz Byrona przemknął wyraz triumfu. Światło wiszącej pod sufitem gołej żarówki odbijało się od szkieł jego okularów, gdy przebiegłą miną zaglądał w oczy każdemu z nas. Powoli zaczynała ogarniać mnie panika. Wiedząc, że przestajemy panować nad sytuacją, otworzyłem usta, ale Byron mnie ubiegł.

— Panowie — rzucił ostro. — Instynkt podpowiada mi, że co ukrywacie.

Spróbowałem zrobić oburzoną minę.

— Gadanie — mruknął Burke.

Przez twarz Rifkinsa przebiegły spazmatyczne drgawki. Kosiński wiercił się niespokojnie, a ta świnią Reese wpatrywał się w nas podejrzliwie.

Byron nagłym ruchem włączył detektor i przejechał nim po każdym z nas. Nastąpiła seria pisków, a każdy z nich zdawał się mówić: „złoto, złoto, złoto”.

Reese nareszcie coś skapował.

— Co wy, chłopaki, kombinujecie? — zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Wszystko, co znajduje się w tunelu, stanowi własność Metropolitan Tunnel Company. Nie wolno nic wynosić — wyrecytował.

— Nawet błota? — zainteresował się Burke.

— Tak jest, Burke. Zarabiamy na nim niezłe pieniądze. — Spojrzał na nas ostro. — Opróżnić kieszenie. Wszyscy.

Byron obserwował tę scenę z pogardliwym uśmieszkiem. Rifkins automatycznym ruchem sięgnął do spodni. Wyrażnie się bał i miał winę winowajcy. Złapałem go za rękę.

— Pan nie może wydawać nam takich poleceń.

— A właśnie, że mogę — odparł Reese. — Wywracajcie kieszenie, albo wyleciecie z roboty.

Na kilka sekund w powietrzu zawisła groźba. Wciąż przytrzymując rękę Rifkinsa, odwróciłem się do tyłu i szepnąłem do Burke'a.

— Zacznij krzyczeć, a ja ściągnę bufetowego.

Burke skinął głową i natychmiast rozdarł się na całe gardło. W tym czasie ja mruknąłem do Rifkinsa:

— Podaj mi swoje monety.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością. Jako majster prędzej czy później będzie musiał wykonać polecenie. Załatwiwszy tę sprawę, sięgnąłem po słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do biura. Poprosiłem o rozmowę z szefem związku, a gdy się zgłosił, wytłumaczyłem mu, jaka spotkała nas niesprawiedliwość. Ledwie zdążyłem odłożyć słuchawkę, a już wpadł do szatni.

— Dobra — zwróciłem się do Burke'a. — Już możesz przestać. — Rozdygotany Burke kłął na czym świat stoi, nie zostawiając suchej nitki na matkach Reese'a oraz Byrona. Tracąc impet, uraczył ich jeszcze wiązaną

wyszukanych epitetów i nareszcie zamilkł.

Działacz związkowy przesadnie głośno zatrzasnął drzwi. Na jego twarzy widać było gotowość do walki.

Wspomniałem już, że gdy człowiek zbyt szybko opuszcza pomieszczenie o podwyższonym ciśnieniu, grozi mu choroba kesonowa. Przykładem tego był Paul Kavanaugh, nasz przedstawiciel związkowy. Powykręcane ręce pokrywały mu liczne gruzły, a kiedy szedł, powłóczył jedną nogą. Pokręciło go jakieś pięćdziesiąt lat temu, ponieważ firma, dla której wówczas pracował, nie chciała płacić robotnikom za przesiadywanie w komorze dekompresyjnej. Skrócenie czasu dekompresji pozwalało im za każdym razem zaoszczędzić parę dolców. Zbyt okaleczony, by wrócić do pracy, Kavanaugh został jednym z założycieli związku zawodowego tunelarzy i dobrze pilnował, by firma z nawiązką zapłaciła za jego kalectwo. Dzisiaj związek miał swoją siedzibę w lokalu sto czterdzieści siedem centrali Związków Górników, a z jego zdaniem liczyli się wszyscy pracodawcy.

Dobiegający osiemdziesiątki Kavanaugh miał w sobie więcej ognia niż John L. Lewis za swych najlepszych dni. Uśmiechnął się drapieźnie i spojrział Reese'owi prosto w oczy.

— Pańskie żądania są nierozsądne, niesprawiedliwe i niemożliwe do spełnienia. — Potem przykuśtykał do mnie i zapytał: — Czego on chce?

— Mówi, że mamy wypakować wszystko z kieszeni, bo inaczej nas zwolni.

— Tak mówi? — zarechotał złośliwie. Odwrócił się do Reese'a, obrzucając przy okazji pełnym niesmaku spojrzeniem Archibalda Byrona. — Chcecie zwalniać ludzi tylko dlatego, że nie zgadzają się na ograniczenie praw przysługującym wolnym obywatelom i uczciwym pracownikom?

Reese oblał się rumieńcem.

— Zaczekaj Kavanaugh, to nie ma z tobą nic wspólnego.

— Chcesz pozbawić robotnika prawa do życia? — usłyszał w odpowiedzi.

— Ależ to nie o to chodzi.

— Grozisz związkowcom wyrzuceniem z pracy bez konsultacji ze związkiem?

— Przepraszam pana — wtrącił Byron.

Usłyszawszy angielski akcent, Kavanaugh przekrzywił gwałtownie kościstą głowę.

— A któż to taki? — spytał drwiąco.

— Archibald Byron z Metropolitan Museum of Art.

— No więc, panie Archibaldzie Byron z Metropolitan Museum of Art, co pan robi w szatni tunelarzy?

Byron odpowiedział z niezwykłym spokojem:

— Pan Reese i ja mamy powody, by sądzić, iż ci panowie wynieśli z tunelu wartościowe zabytki. Pragniemy tylko, aby przedmioty te trafiły we właściwe miejsce.

Kavanaugh zmrużył oczy. Reese dodał:

— Oni ukradli coś w tunelu.

Związkowiec na moment skamieniał z wrażenia.

— Czy chce pan powiedzieć — rzekł po chwili niezwykle łagodnym głosem — że członkowie bractwa z lokalu sto czterdzieści siedem są złodziejami?

— Jeśli wynieśli coś z tunelu, to są — opryskliwie burknął Reese.

Kavanaugh przypatrywał mu się przez dłuższy czas. W szatni zaległa absolutna cisza. Stary bufetowy utykając podszedł do telefonu i ze zboląłą miną wykręcił jakiś numer. Gdy po drugiej stronie ktoś się zgłosił, rzucił do słuchawki tylko jedno słowo:

— Strajk.

11.

Nie możesz tego zrobić — zawył Reese. Kavanaugh powoli odłożył słuchawkę na widelki. Jego oczy płonęły.

— Wychodzimy, chłopcy! Zanosi się na długi postój.

— Zaczekaj — wrzasnął Reese. — Możemy przecież porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. Dyrekcja spotka się z robotnikami i wszystko wyjaśni.

Kavanaugh całkowicie zignorował go. Zacierając powykrzywiane dłonie, zwrócił się do nas, tunelarzy, podniosłym, nieco drżącym głosem:

— Zostawię was teraz, chłopcy. Musimy zamknąć tunel. Zgłóście się rano do służby w pikietach. Mam przed sobą pracowitą noc. Muszę zawiadomić inne związki.

— Proszę cię — odezwał się Reese. — Tylko nie to. Porozmawiajmy, zanim sprawy zajdą za daleko.

— To już zaszło za daleko, panie Reese. Mam nadzieję, że pewnego dnia pracodawcy zrozumieją wreszcie, iż z robotnikiem nie można igrać jak z bezbronnym dzieckiem. Mamy swoją siłę, proszę pana. Mamy zęby.

— Chyba oszalałeś, ty stary durniu. — Reese zareagował na trudności z właściwą sobie inteligencją. Kavanaugh nieznacznie się uśmiechnął,

najwyraźniej nic sobie nie robiąc z obelg, lecz kiedy odezwał się, w jego głosie zabrzmiały lodowate tony.

— Ta przyjemność będzie pana kosztować, panie Reese. O tak, i to słono.

Popatrzyliśmy z Rifkinsem po sobie. Reese widocznie słabo znał Kavanaugha i teraz za to beknie. Kavanaugh przystanął z ręką na klamce.

— Radzę panu, panie Reese, zniknąć stąd jak najszybciej. Proszę zabrać ze sobą pana Archibalda Byrona z Metropolitan Museum of Art i zostawić tych ludzi w spokoju.

Choć raz Reese wykazał odrobinę rozsądku. Skłoniwszy się Byronowi, wyminął związkowca i wypadł z szatni. Byron pośpiesznie spakował swój detektor i chwilę potem już go nie było. Kavanaugh zrobił do nas oko i też się ulotnił.

— No to ładnie — powiedział Rifkins. — Najpierw przeciek, a teraz strajk. Szefowie się wściekną.

— Pieprzyć ich — wyraził swoją opinię Burke.

— Związek też nie będzie zachwycony — zauważyłem. Na tej budowie sprawy układały się zupełnie przyzwoicie. Mieliśmy dużo roboty, dobre zarobki i dobre układy między związkiem a zarządem. To nie jest dobry czas na strajk.

— Ich też pieprzyć — zawyrokował Burke.

— Marnujemy tylko czas — wtrącił Kosiński. — Chodźmy po złoto.

Przebraliśmy się do końca i wyszliśmy z baraku.

Noc była wyjątkowo piękna. Zimne, ostre powietrze. Czarne niebo usiane gwiazdami. Tego wszystkiego brakowało nam w tunelu.

— Jest barka — syknął podniecony Burke.

— Nie pokazuj — warknął Rifkins. Burke opuścił rękę, lecz nie mógł oderwać wzroku od nabrzeża. Staliśmy przed wejściem do baraku. Nieco dalej wznosił się kanciasty budynek kryjący maszynownię windy. Poza nim płynęła East River, a na niej, dwieście metrów w górę rzeki, stała zacumowana barka. Rozejrzeliśmy się ukradkiem, oceniając sytuację. Na tle rozświetlonych okien Manhattanu wyraźnie rysowały się sylwetki mostów na lewo i na prawo od nas. Od strony mostu Williamsburg sunął pod prąd samotny holownik oznakowany czerwonymi, zielonymi i białymi

światłami. Za plecami mieliśmy składowisko materiałów budowlanych, parking oraz bramę, poprzez którą wyjeżdżało się na ulicę łączącą Welfare Island z Queens.

Brama. Jeannie. Obiecała mnie odebrać, a to znaczyło, że pewnie już czekała. Trąciłem Rifkinsa łokciem.

— Ktoś na mnie czeka. Powiem jej, że zaraz będę.

— Niech czeka — wtrącił swoje trzy grosze Burke. — To dobrze jej zrobi.

— Lepiej, żeby nie pytała strażnika, co się ze mną stało.

— Idź — rzucił Rifkins. — Ale szybko wracaj. — Wystartowałem nicyzm sprinter. — Czekaj — zawołał. — Widzisz tamtą szopę? Tam się spotkamy. — Machnięciem ręki wskazał mi skład narzędzi, mniej więcej w połowie drogi między nami a barką. Potem ostrzegł mnie jeszcze, żebym sprawdził, czy nikt nie patrzy, że tam wchodzę. Obiecałem zachować ostrożność i popędziłem na poszukiwanie Jeannie. Kiedy, dobiegając do bramy, spojrzałem za siebie, chłopców już nie było.

W dyżurce siedział strażnik. Pomyślałem, że lepiej nie rzucać mu się w oczy. Z pewnością by mnie zapamiętał, gdybym teraz wyszedł, a za parę minut zjawił się z powrotem. Odszukawszy wzrokiem samochód Jeannie, ruszyłem w jego stronę wzdłuż ogrodzenia z siatki. Teren budowy był słabo oświetlony, toteż mogłem skorzystać z osłony licznych plam cienia. Przykucnąwszy w jednej z nich, zawołałem Jeannie po imieniu. Od kanciastej maski jej wozu dzieliło mnie zaledwie siedem metrów, a jednak nie usłyszała mnie.

Wziąłem garść żwiru i cisnąłem go ponad płotem na dach wozu. To nareszcie ją ruszyło. Otworzyła drzwi na oścież i, poprzedzana przez Howarda, wyszła na zewnątrz.

— Co jest, do diabła? — zapytała głośno, a Howard zawarczał groźnie, dając do zrozumienia, że podziela oburzenie swojej pani.

— Tutaj — zawołałem.

— Kto, do jasnej...

— To ja, Jeannie, Dick — powiedziałem znacznie ciszej.

Z powodu zalegającego wokół półmroku nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy. Zawołałem jeszcze raz i dopiero wtedy zrozumiała. Zagoniła Howarda do samochodu, sprawdziła stan dachu, a następnie wolnym krokiem podeszła do ogrodzenia.

- O co chodzi? — spytała. — Nie chcą cię wypuścić?
Złapawszy oburącz siatkę, wyszeptałem pośpiesznie:
- Cicho. Posłuchaj.
Musiała wyczuć, że coś się stało, bo natychmiast zniżyła głos.
- Słucham — powiedziała, dotykając moich palców.
— Znaleźliśmy więcej złotych monet. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Jeśli możesz, zaczekaj jeszcze trochę. Przyjdę, gdy tylko wydobędziemy ładunek.
- Skoro nie masz czasu, to nie trać go tutaj. Zaczekam. I uważaj na siebie.
- Dobra. Na razie.
Zanurzyłem się w ciemność, żeby, zatoczywszy szeroki łuk, dotrzeć do umówionej szopy. Nigdzie nie było widać żywego ducha, kiedy jednak mijalem drzwi, uchyliły się i czyjaś ręka wciągnęła mnie do środka. Był to Rifkins.
- Czy ktoś cię widział?
— Nie.
— To dobrze. Trzymaj. — Wręczył mi łopatę. Popatrzyłem na nią z obrzydzeniem, ale nastrój poprawił mi się, gdy stwierdziłem, że wszyscy są tak wyposażeni. Sprawy przybierały coraz lepszy obrót. Tak mi się przynajmniej wydawało, dopóki nie zauważyłem ponurych min kolegów. Kosiński z Burkem czaili się przy oknie. Rifkins był niespokojny i zmartwiony. Zapytałem o co chodzi.
- Wszystko do chrzanu — warknął Burke.
Podszedłem do okna i zerknąłem na nadbrzeże.
- Na barce jest jakiś facet — usłyszałem za sobą głos Rifkinsa.
— Widzę.
— I za dużo światła.
— Zakładaliśmy, że tak właśnie będzie.
— Zakładaliśmy też, że rąbnjemy ciężarówkę, aby wywieźć nią towar
- dodał Rifkins. — Czy widzisz w pobliżu jakieś ciężarówkę?
— Nie bardzo.
— Jedna jest — wtrącił Burke.
— Tak — rzekł Rifkins — ale zaparkowana pod samym biurem. O jej przedni zderzak opiera się właśnie kierownik budowy, zajęty rozmową z szefem mechaników.
- Nie wygląda to najlepiej.

— Ten mały jest zabawny — stwierdził Burke ochrypłym głosem.

— Tuż za płotem czeka w samochodzie moja przyjaciółka — odrzekłem. — Skorzystamy z jej auta.

— A niby jak dotrzemy do płotu? — spytał Rifkins.

Rozejrzałem się po szopie. Rozwiązanie było zupełnie proste.

— A może by tak posłużyć się tymi taczkami? — Nikt mi nie odpowiedział. Ponownie spojrzałem za okno. — Widzicie? Tam za barką dojeździemy do ogrodzenia. Samochód stoi zaledwie parę metrów dalej.

— A co zrobimy z płotem? — zapytał Rifkins.

— Znajdziemy nożyce do cięcia drutu. Muszą gdzieś tutaj być.

— Zauważą dziurę.

— Zanim to nastąpi, będziemy już daleko. Poza tym, złodzieje wynoszą różne rzeczy z budowy, ciągle robią dziury, więc nikt się szczególnie nie zdziwi.

— Nie szanujemy zbyt cudzej własności, co?

Posłałem Rifkinsowi przeciągłe spojrzenie. Po pracy nie był już taki groźny. Po chwili odwrócił się ze złością. Burke zaśmiał się.

— No dobrze, cwaniaku — nie dawał za wygraną majster. — Taczkami przewieziemy złoto z barki do wozu twojej panienki. Ale co zrobimy z gościem na barce i z reflektorami?

Wróciłem do okna. Kosiński poruszył się niespokojnie i zwilżył językiem wargi. Burke stał nieruchomo z przyciśniętą do szyby twarzą. Pod jego nosem, na zimnym szkłe, widać było dwie zaparowane plamy. Umocowane na wysokich, drewnianych słupach lampy jasno oświetlały nabrzeże. Zasilające je przewody biegły górą, poza naszym zasięgiem.

— To jak będzie z tym cięciem przewodów? — zagadnął Rifkins rozdrażnionym tonem. — Przecież ty masz na wszystko odpowiedź.

Zignorowałem go. Rozwiązanie problemu światła pojawiło się niemal równocześnie z uświadomieniem sobie, że zaczynam obejmować przywództwo grupy. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy powinienem swój pomysł przedstawić pozostałym. Przewodzenie komukolwiek zupełnie mnie nie interesowało. Przez wszystkie te lata pracowałem, słuchając czyichś poleceń. To wygodny i prosty sposób na życie. Robisz to, co ci każą, i masz święty spokój.

Dlatego też pomyślałem, że jeśli zaczekam chwilę, ktoś inny, prawdopodobnie Rifkins, znajdzie wyjście z sytuacji bez mojej pomocy. Zachowując milczenie, wpatrywałem się w barcę.

— Widzicie — odezwał się Rifkins. — Nic z tego. Zauważą nas, gdy tylko wejdziemy na barcę.

— Chcę dostać moje złoto — jęknął Burke. — Muszę je mieć.

— Ale go nie dostaniesz — szorstko stwierdził Rifkins — ponieważ przystaliśmy na idiotyczny pomysł Creegana, aby wysłać skarb w wagoniku.

— Tak, to wina Creegana.

— Nie było innego sposobu — zagrział Kosiński.

Poczułem do niego ogromną sympatię. Doszedłem też do wniosku, iż dalszy rozwój wypadków zależy wyłącznie ode mnie.

— No dobra. Który jest elektrykiem?

— A bo co?

— Który potrafi wykonać prostą robotę przy instalacji?

Popatrzyli po sobie z zakłopotaniem. Nie miałem zielonego pojęcia o elektryczności i nie pozostało mi nic innego, jak tylko liczyć na kolegów.

— Nikt się na tym nie zna?

— A co trzeba zrobić? — zapytał Kosiński.

— Chodźcie tutaj — rzekłem, podchodząc do zawieszanej na ścianie, pomalowanej na szaro metalowej skrzynki. Wybiegała z niej gruba wiązka przewodów. — Nie wiem, czy mi uwierzycie, ale kable zasilające reflektory wychodzą z tej szopy. — Starając się zachować obojętny wyraz twarzy, popatrzyłem na współników. Rifkins natychmiast przysunął się do okna, a kiedy skończył oględziny, miał nietęgą minę. — To zaś oznacza — podjąłem po chwili ciszy — że prawdopodobnie możemy zgasić światło przy użyciu wyłącznika. Zgadza się?

Chłopaki pokiwali głowami.

— Problem tkwi w tym, że ktoś inny mógłby je zaraz zapalić. Dlatego dobrze będzie, jeśli Kosiński wykombinuje coś, co uniemożliwi ponowne włączenie reflektorów, dopóki nie sprzątniemy naszego złota.

Kosiński otworzył drzwiczki rozdzielni i zaczął studiować układ połączeń. Ignorując ostrzeżenia Rifkinsa, pogrzebał przy kablach palcem, a po paru minutach oznajmił, że wie już wszystko. Poprosił, bym wskazał, które światła należy wyłączyć. Razem wróciliśmy do okna i uzgodniliśmy, iż

wystarczy, jeśli zgasną dwa reflektory w bezpośrednim sąsiedztwie barki oraz pięć rozstawionych wzdłuż ogrodzenia.

Kosiński zajął pozycję przy rozdzielni.

- Powiedz kiedy — rzucił w moją stronę.
- Czekajcie — odezwał się Rifkins. — A co z tym gościem na barce?
- Odejdzie, kiedy światła zgasną.
- A jeśli nie? — zapytał Burke.

Na to pytanie nie miałem gotowej odpowiedzi. Podobnie jak i inni.

— A czego miałby tam szukać po ciemku? Będzie miał dobry pretekst, żeby uciec z chłodu — powiedziałem.

Rifkins nie ukrywał swych wątpliwości. A jednak jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, żeby tamten człowiek siedział na dworze w ciemnościach, zamiast schronić się w jakimś ciepłym kącie.

W końcu, wobec braku dalszych uwag, zaproponowałem, abyśmy wzięli taczki i przystąpili do dzieła. Rifkins i Burke wybrali duże taczki na szerokich kółkach. Stanęli przy drzwiach, a ja i Kosiński zostaliśmy przy skrzynce.

— Gotowe — zameldował Rifkins. — Jak zgaśnie światło, ruszajcie na barkę. Tylko uważajcie na tamtego faceta. My z Burke'm zatoczmy łuk, żeby nie wpaść na niego.

Podszedłem do okna. Wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku.

- Kiedy? — zapytał Kosiński.
- Nie potrzebujesz żadnych narzędzi?
- Nie. Powyginam trochę wyłączniki. Kiedy?-
- Teraz.

Kosiński poprzesuwał dźwignie. Podbiegłem do okna. Barka pogrążyła się w ciemnościach. Teraz mogliśmy pracować bez obawy, że ktoś nas spostrzeże. Jedynym problemem będzie odnalezienie skarbu.

— W porządku — zwróciłem się do Kosińskiego, który kończył właśnie wyginać ostatnią dźwignię. W chwilę później światło zgasło także w szopie.

— To ich nieco powstrzyma — wyjaśnił Kosiński, gdy po omacku ruszyliśmy w stronę drzwi.

Za plecami mieliśmy poświęcony baraku, lecz barcę kryła czarna ściana mroku. Gdzieś z przodu słyszeliśmy tupot Rifkinsa i Burke'a, biegnących z taczkami. My również zaczęliśmy biec.

Początkowo popędziliśmy na wschód, oddalając się od rzeki, dopóki nie znaleźliśmy się na wysokości barki. Dostrzegliśmy wówczas Burke'a i Rifkinsa i przyłączyliśmy się do nich. Mój wzrok zdążył już oswoić się z ciemnością. Blask wielkomijskich świateł zza rzeki pozwalał wyłowić z mroku różne kształty, w tym także cumującą przy nabrzeżu naszą barcę.

Pilnujący jej robotnik zaczął głośno krzyżeć, lecz gdy nie dało to rezultatów, wkrótce dał za wygraną. Ciągłe jakoś nie zamierzał zejść na ład. Nie wiedzieliśmy, co z tym począć.

— Dajmy mu jeszcze trochę czasu — powiedziałem. — Na pewno wkrótce zmarznie.

— Ja już zmarzłem — stwierdził Burke.

Miałem na sobie kożuszek i byłem tak podniecony, że ociekałem potem. Wpatrywałem się w zwałistą bryłę barki. Nigdzie nie mogłem dostrzec tamtego człowieka, choć wydawało mi się, iż jego sylwetka powinna być doskonale widoczna na tle świateł Manhattanu.

Wokół panowała taka cisza, że docierały do nas odgłosy ruchu ulicznego na drugim brzegu oraz stłumione pyrkotanie holownika przepływającego pod mostem na Pięćdziesiątej Dziewiątej, jakieś pół kilometra od nas. Ten most zaczynał mnie niepokoić, ponieważ na zaciemniony przez nas obszar padał słaby poblask świecących na nim latarń. Minęły kolejne minuty. Gotów już byłem podkraść się bliżej, kiedy nagle Burke powiedział:

— Jest tam.

Rzeczywiście, stał na dziobie i energicznie machał latarką.

— Co on, u diabła, wyprawia? — zdziwił się Burke.

— Daje komuś znaki — wyjaśnił Rifkins.

— Komu?

— A skąd, do cholery, mam wiedzieć... Chryste, patrzcie!

Mężczyzna zgasił latarkę. Już jej nie potrzebował, gdyż pokład barki zalał strumień światła z potężnego reflektora zbliżającego się w szybkim tempie holownika.

— Zaraz się zderzą! — wykrzyknął Burke.

W ostatniej chwili holownik zwolnił. Wykonał zgrabny zwrot i przybił

do barki burta w burłę. Z holownika zeskoczyło kilku marynarzy, ciągnących grube liny. Hałda błota przesłaniała nieco widok, lecz łatwo było się domyślić, że biorą barkę na hol.

Dopiero teraz facet z latarką opuścił barkę. Marynarze przeskoczyli z powrotem na holownik, a osobnik z latarką rzucił cumy utrzymujące barkę przy nabrzeżu. Na holowniku rozległ się pojedynczy, ostry gwizd. W następnej chwili zgasł reflektor i silnik zadudnił ze wzmożonym wysiłkiem.

Patrzyliśmy bezradnie, jak holownik odpływa od brzegu, a wraz z nim nasza barka.

12.

Holownik szybko wyciągnął barkę na środek rzeki.

Pełną zdumienia ciszę rozdarł żaloszny jęk:

— Ależ to nasze złoto. — Znowu Burke.

Holownik zrobił zwrot i ruszył z prądem w kierunku, z którego przed chwilą nadpłynął.

— Dokąd on płynie? — Tym razem Rifkins.

Nikt mu nie odpowiedział. Jakże to miało znaczenie, skoro . wcześniej nie pomyśleliśmy o zdobyciu motorówki. Dysponując łodzią, w jednej chwili zapalilibyśmy silnik i ruszyli w pogoń. Teraz mogliśmy o tym co najwyżej pomarzyć. Zaopatrzeni w łopaty, nożyce do cięcia drutu oraz taczki staliśmy na ciemnym nabrzeżu Welfare Island, zgodnie przeklinając nasze pieskie szczęście.

Czułem, jak stopniowo wzbiera we mnie złość. Te palanty z holownika nawet nie przeczuwały, że płyną z milionem dolarów, który zapewne zostanie wkrótce wykorzystany do zasypania jakiegoś trzęsawiska. Będą to najbardziej kosztowne roboty ziemne od czasów zatopienia Atlantydy.

Tylko gdzie do tego dojdzie? W którym miejscu opróżnią barkę? Kogo by o to zapytać? Ktoś musiał przecież wiedzieć. Powiedziałbym, że po siedmiu latach przerzucania piachu w tunelach całego świata, zaciekało mnie nagle, co dalej dzieje się z urobkiem.

Holownik oraz barka wpłynęły pod most na Pięćdziesiątej Dziewiątej. Podążając za nimi wzrokiem, zauważyłem samochody jadące po Franklin D. Roosevelt Drive, arterii prowadzącej wybrzeżem Manhattanu. Na ten widok ogarnęło mnie zdumienie, że czwórka mężczyzn potrafi wykazać aż taką głupotę.

— Przecież możemy ich śledzić! — krzyknąłem. — Ruszajcie się. Pojedziemy brzegiem rzeki. — Pognałem wprost przed siebie, lecz w połowie drogi do bramy dogonił mnie Rifkins i przytrzymał za ramię.

— Czekaj, Creegan. Nie możemy zasapani wypaść z ciemności. Musimy zrobić tak, by strażnik miał wrażenie, że idziemy wprost z baraku.

— Masz rację, tylko się pośpieszmy. Trzeba jak najszybciej przeskoczyć przez most.

— Wiem.

Pobiegliśmy w stronę baraku. Kiedy znaleźliśmy się w zasięgu światła, zwolniliśmy kroku, czekając na Kosińskiego i Burke'a. We czwórkę przeszliśmy obok kierownika, który w dalszym ciągu dyskutował z pochyłym nad dokumentacją szefem mechaników.

Mijając bramę, pomachaliśmy strażnikowi w dyżurce, a następnie popędziliśmy przez parking do rollswagena (albo volksroyce'a) Jeannie.

Jeannie opuściła szybę w drzwiach po swojej stronie, powiedziała mi cześć, po czym przyjrzała się nam wszystkim z lekką konsternacją. Zapewne dlatego, że przyglądaliśmy się jej pojazdowi z miną rodziców przymierzających się do bożonarodzeniowego prezentu dla dziecka.

— Mam nadzieję, iż nie planujecie tego, co można wyczytać w waszym wzroku — powiedziała.

— Planujemy — rozwiąłem jej złudzenia. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Dokąd jedziemy?

— Na Roosevelt Drive. Szybko. — Przeszedłem na drugą stronę wozu i otworzyłem drzwi. — Wskakujcie z tyłu — zaprosiłem towarzyszy.

Chłopcy popatrzyli po sobie, a potem na to niewielkie auto. Trudno jednak było marzyć teraz o luksusach. Burke zdecydował się pierwszy. Z rozmachem wskoczył na tylne siedzenie, lecz niemal natychmiast z głośnym

krzykiem i przerażoną miną wypadł na zewnątrz.

— Co tam jest?

Zajrzałem w głąb wozu.

— To Howard. Bądź dla niego miły, to odwdzięczy ci się tym samym.

Właż.

— Nie ma mowy.

Spojrzałem na Rifkinsa, lecz nim otworzyłem usta, przyszło mi do głowy lepsze rozwiązanie.

— Kosiński. Ty pierwszy. On ci nic nie zrobi.

Kosiński pochylił głowę, przez chwilę wpatrywał się w psa, a następnie podsunął mu pod nos zaciśniętą pięść.

— Sie masz — rzucił pojednawczo.

Howard obwąchał i polizał knykcie olbrzymia.

— Przesuń się, Howard — niecierpliwym tonem poleciała Jeannie. —

Proszę go po prostu popchnąć — dodała, zwracając się do Kosińskiego.

— Dobra jest, proszę pani — odparł Kosiński, po czym wcisnął się do ciasnego wnętrza. Ponaglany przez Jeannie Howard niechętnie przeniósł się w kąt kabiny.

Popatrzyłem na Burke'a.

— Teraz ty.

— Nie ma mowy.

— Rifkins.

Majster posłusznie zniknął w środku. Szturchańcem zachęciłem Burke'a, by uczynił to samo.

— Gdzie mam usiąść? — zapytał. Jego pytanie nie było takie głupie. Howard, Kosiński i Rifkins szczelnie wypełnili tylne siedzenie. Kazałem im się ścisnąć. Rifkins napał na Kosińskiego, ten zaś na Howarda, który zaczął wydawać dźwięki świadczące o wielkiej irytacji. Po tych zabiegach wygospodarowaliśmy miejsce dla mniej więcej połowy Burke'a. Jego druga połowa spoczęła na kolanach Rifkinsa. Zauważyłem, iż po tej operacji opony samochodu wyraźnie straciły kolisty kształt. Nie tracąc więcej czasu, ustawiłem przedni fotel, zająłem w nim miejsce i zamknąłem drzwi.

— Musimy dogonić holownik płynący po East River — wyjaśniłem. Jeannie uruchomiła silnik i wolno wyjechała z usianego dziurami parkingu. — Mają nad nami znaczną przewagę — dodałem.

— Będą mieli jeszcze większą, jeśli zaraz urwę koło — odrzekła, a ja natychmiast umilkłem.

Gdy wjechaliśmy na most do Queens, Jeannie rzekła.

— Zanim przedstawiś mi swych przyjaciół, może laskawie wyjaśnisz, dlaczego musimy uganiać się za jakimś holownikiem na East River?

— Najpierw dokonam prezentacji. To jest łatwiejsze. — Odwróciłem się i podniosłem głos, aby przekrzyczeć wyjący z wysiłku silnik. — Ten obok Howarda to Kosiński. W środku siedzi nasz majster Rifkins, a dalej Burke. Panowie, to moja przyjaciółka, Jeannie.

— Cześć — krzyknęła Jeannie przez ramię. — Miło mi was poznać.

Z tylnego siedzenia dobiegł chórek nieśmiałych głosów. Wjechaliśmy na most na Pięćdziesiątej Dziewiątej.

— No więc, dlaczego gonimy holownik? — zapytała Jeannie.

Próbowałem właśnie obliczyć w myślach, jak daleko mógł już on odpłynąć. Początkowo sądziłem, iż od momentu, gdy holownik odbił od nabrzeża Welfare Island, upłynęło mnóstwo czasu. Kiedy jednak uporządkowałem wszystkie wydarzenia, doszedłem do wniosku, iż jego przewaga wynosi sześć, najwyżej siedem minut.

— Wspomniałem ci o odkryciu większej liczby złotych monet — odrzekłem.

— Tak.

— W sumie znaleźliśmy ich tysiąc osiemset czterdzieści siedem. Jeannie spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

— A ile były warte te, które znalazłeś wcześniej?

— Otóż to. Natrafiliśmy na skarb wart milion dolarów, a może nawet więcej.

— Co dostanę za pomoc w pościgu?

— Podziękowanie na piśmie.

— Piękne dzięki. Co się stało z tymi monetami?

— Musieliśmy wywieźć je z tunelu w wagoniku z urobkiem. Myśleliśmy, że później zabierzemy je z barki, na którą wywala się błoto.

— Czyżbyś chciał powiedzieć, że holownik zabrał barkę?

— Nie będę cię okłamywał.

— Dokąd on płynie?

— W dół rzeki. Zwolnij. — Znajdowaliśmy się na środku mostu, wysoko nad East River. — Czy ktoś go widzi? — zawołałem. Jechaliśmy na zachód, a holownik zmierzał na południe, więc powinien być gdzieś na lewo od nas. Głowa Jeannie zasłaniała mi niemal kompletnie lewe przednie okno, zaś Howard — tylne. Jeszcze chwila, a stracimy rzekę z oczu. Powiedziałem Jeannie, żeby stanęła.

— Przecież jesteśmy na moście — zaprotestowała.

— Wiem. Stawaj.

Mruknęła coś pod nosem, zerknęła we wsteczne lusterko, w którym z pewnością widniała wyłącznie zdenerwowana fizjonomia Rifkinsa, i nacięła na hamulec.

— Mam nadzieję, że nic za nami nie jedzie — powiedziała.

Włączyła światła awaryjne, po czym wychyliła się, aby sprawdzić lusterko boczne. Usiłowałem dojrzeć coś ponad jej głowę, a gdy moje wysiłki okazały się bezowocne, otworzyłem drzwi i wyszedłem na jezdnię, wprowadzając w przerażenie nadjeżdżającego sąsiednim pasmem taksówkarza. Facet pogroził mi zaciśniętą pięścią, ja zaś przywarłem do boku rollswagena, starając się zajmować jak najmniej miejsca.

Gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, przebiegłem na drugą stronę wozu i popatrzyłem ponad jezdnię przeznaczoną dla pojazdów zmierzających na wschód. Nie dostrzegłem niczego oprócz ciemnej wody oraz, chyba największego we wszechświecie, znaku firmowego pepsi. Przystąpiłem do szczegółowej penetracji rzeki, poczynając od odległego mostu Williamsburg. Holownik nie mógł odpłynąć dalej.

Rzeka była pusta, zupełnie jakby drań poszedł na dno, co mu się zresztą słusznie należało.

— Widzisz coś? — niecierpliwiła się Jeannie.

— Nie. Zaraz... czekaj. Jest. Stoi przy brzegu. Gazu.

— Może najpierw wsiądziesz do samochodu?

Wskoczyłem do środka, cudem unikając zmiżdżenia przez rozpędzoną cysternę.

— Ruszaj! — wrzasnąłem. Jeannie wrzuciła bieg i dodała gazu, lecz obciążony czterema tunelarzami, pracującą aktorką oraz Howardem rollswagen reagował niezwykle opieszale. Wpatrywałem się w holownik, dopóki nie zjechaliśmy z mostu. Aby trafić na Roosevelt Drive, musieliśmy

najpierw zagłębić się w miasto. W efekcie straciliśmy mnóstwo czasu na dwóch czerwonych światłach.

Wypadliśmy na Roosevelt Drive w okolicach Sutton Place. Mury oporowe i trzypasmowa jezdnia bardzo ograniczały widok na rzekę.

Poprosiłem Jeannie, by jechała szybciej. Kazała mi się zamknąć, a Rifkins powiedział Burke'owi, żeby zabrał łapę z jego kolana. Burke warknął, że to Rifkins i Kosiński powinni się przesunąć. Nie szczedząc wysiłku, chłopcy podjęli taką próbę, co Howard skwitował żalonym jękiem. Kosiński poklepał go po łbie, ale Howard miał to gdzieś. Jęknął jeszcze głośniej, po czym, nie zważając na ciasnotę spróbował się otrząsnąć.

— Bądź grzeczny, Howard — rzuciła Jeannie przez ramię.

— Tak — dodałem — zachowuj się kulturalnie. — Ogarniała mnie coraz większa irytacja.

— Zostaw go w spokoju — w głosie Jeannie zabrzmiały zaczepne tony. Wyglądało na to, że również jest bliska wybuchu. W następnej chwili mineliśmy kompleks ONZ i nareszcie mieliśmy lepszy widok na rzekę.

Jęki Howarda coraz bardziej przypominały warczenie.

— On zaraz się wścieknie — oznajmił przerażony Burke. — Co wtedy będzie?

Spojrzałem za siebie.

— Dlaczego się z nim nie zaprzyjaźnisz? Jest zły, bo tylne siedzenie należy do niego. Wcale nie czuje do ciebie nienawiści.

Burke z niedowierzaniem zamrugnął powiekami.

— Tak myślisz?

Rollswagen wjechał nieoczekiwanie na zamarznąłą kałużę i wpadł w poślizg. Klnąc wściekle, Jeannie zakręciła kierownicą. Zmrużyła oczy i wcisnęła do podłogi pedał gazu. Stopniowo zaczęliśmy nabierać prędkości.

— No, dalej — zachęcałem Burke'a. — Podrap go za uszami, a od razu cię polubi.

— Sam nie wiem — odparł bojaźliwie.

— No, poklep go w końcu — zniecierpliwził się Rifkins. — To przez ciebie jest taki wkurwiony. — Zerknął we wsteczne lusterko. — Najmocniej panią przepraszam.

— Nic nie szkodzi — zapewniła Jeannie. Zacisnęła dłonie na kierownicy i z uwagą wpatrywała się w jezdnię przed sobą. Strzałka szybkościomierza

dochodziła do stu dziesięciu kilometrów na godzinę, a zatem jechaliśmy o czterdzieści kilometrów na godzinę szybciej, niż zezwalały znaki.

Choć wyteżalem wzrok, nigdzie nie mogłem dojrzeć holownika. Rzeka znów była pusta. W środku nocy, nawet na Roosevelt Drive, ruch wyraźnie zmalował.

— Uwaga, próbuję go pogłaskać — zapowiedział Burke.

— Świetnie — ucieszył się Rifkins.

— Tylko go nie wystrasz — dorzucił Kosiński.

Obróciłem nieco głowę, żeby być świadkiem tej sceny, a równocześnie nie tracić z oczu rzeki. Burke dzielnie się uśmiechnął, po czym szybkim gestem wyciągnął prawą rękę. Niemal równocześnie usłyszeliśmy groźny ryk, pełen przestachu okrzyk oraz głośne kłapięcie. Kosiński przytrzymał Howarda, drugą ręką głaszcząc go po głowie. Równocześnie szeptał mu do ucha uspokajające słowa. Howard po chwili się uspokoił, a Burke z pobladłą twarzą wcisnął się w kąt wozu. Pokiwał bez przekonania głową, kiedy Jeannie zapewniła go, że Howard nie gryzie.

— Gdzie jest holownik? — zapytał Rifkins.

— Na razie go nie widzę. Trudno przegapić trzydziestometrowy holownik i jeszcze większą barkę.

— Tak — przytaknęli wszyscy ponuro.

Wjechaliśmy pod most Williamsburg. Przed Brooklyn Navy Yard rzeka stawała się nieco szersza.

— Nie myślisz, że on przepłynął na drugą stronę? — zapytała Jeannie.

— Gdyby tak było, musielibyśmy go widzieć na wodzie. Na pewno zacumował gdzieś przy tym brzegu.

Kiedy jednak minęliśmy Manhattan Bridge i Brooklyn Bridge, opadły mnie wątpliwości.

— Zajechaliśmy zbyt daleko — powiedziałem na widok migającego za oknem Seaport Museum. Wkrótce potem jezdnia niemal zrównała się z poziomem wody. Mieliśmy teraz doskonały widok na pustą rzekę oraz Upper New York Bay. Jeannie skręciła z Roosevelt Drive na South Street.

— Dokąd jedziesz?

— Na lądowisko śmigłowców w centrum. Będziemy stamtąd mieć lepszy widok.

Zniechęcony, pokiwałem głową.

— Zgubiliśmy go — jęknął Burke. — Całe nasze złoto. Mój milion dolarów. Wszystko przepadło.

— Ćwierć miliona — odruchowo przywołałem go do porządku.

Jeannie zawiozła nas na lądowisko ulicą, na której aż roilo się od zakazów wjazdu. Podjechała pod samą barierkę, a gdy tylko stanęła, wyskoczyłem z wozu i wbiłem wzrok w ciemność. W górze rzeki nie zauważyłem niczego, natomiast w zatoce przesuwwały się jakieś światła. Jeannie stanęła u mego boku.

— Widzisz coś?

— Nic a nic.

— A co to takiego? — wskazała ruchome światła.

— Frachtowce. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo jeśli to nasz holownik, to już nigdy go nie odnajdziemy.

Podbiegł do niej Howard. Położyła mu na głowie dłoń i rzekła:

— Przykro mi, Kreciku. Naprawdę.

— Zrobiłaś, co mogłaś. Gdyby cię tam nie było, w ogóle nie mielibyśmy szans. Cholerny pech.

Dołączyli do nas Burke, Kosiński i Rifkins. Burke był bliski płaczu. Na przemian kłął i użał się nad sobą, a w pewnym momencie zaczął mnie o wszystko obwiniać. Moja cierpliwość również była już na wyczerpaniu, toteż przypomniałem mu, że gdyby nie ja, nie miałby o złocie zielonego pojęcia. Odparł, iż gdyby nie przyszedł mi do głowy idiotyczny pomysł z wagonikiem, to nie stracilibyśmy skarbu. Nie miałem sił dłużej się z nim spierać.

Na lądowisku było strasznie zimno, gdyż od zatoki co chwila nadciągały silne podmuchy wiatru. Jeannie przytuliła się do mnie. Szeptem zaproponowała, żebyśmy wysadzili po drodze resztę brygady, a sami wybrali się na późną kolację. Nim zdążyłem na to przystać, nadbiegł jakiś typ i z wrzaskiem poinformował nas, iż wkroczyliśmy na teren prywatny, że nie wolno wjeżdżać samochodem na płytę lądowiska, a tak w ogóle, to dzisiaj nocy nie wystartuje już żaden helikopter.

Potem przyjrzał się nam uważniej i, uznawszy, że nie wyglądamy na klientów, kazał nam się wynosić. Ruszyliśmy w stronę wozu. Jeannie przystanęła na chwilę. Powiedziała, że przyjechaliśmy tutaj, ponieważ widzieliśmy coś, co wyglądało jak wpadający do wody śmigłowiec.

— Gdzie? — zapytał tamten.

Burke, Rifkins, Kosiński i Howard upychali się tymczasem z tyłu wozu.

— Tam. — Jeannie wskazała szerokim gestem na południe, po czym siadła za kierownicą. Zająłem miejsce obok niej, a facet z lądowiska truchtał obok toczącego się powoli auta i wykrzykiwał coraz to nowe pytania. Jeannie dodała gazu, zostawiając go daleko w tyle.

— On musiał skręcić — nieoczekiwanie odezwał się Kosiński.

— Kto?

— Holownik. Musiał stanąć w jakimś miejscu, którego nie widać z ulicy.

— Nigdy go nie znajdziemy — zawyrokował Burke.

13.

Nazajutrz, gdy Burke z Kosińskim zasilili szeregi pikietujących, a Rifkins znalazł się wśród delegatów wyznaczonych do rozmów z dyrekcją, postanowiłem odwiedzić Muzeum Morskie na South Street.

Wszedłem na nabrzeże, minąłem częściowo zrekonstruowany cztero-masztowiec, kursujący niegdyś po Hudson River statek z napędem bocznym, kolekcję wielobarwnych galionów oraz beczkę na datki. Wrzuciłem do niej parę groszy, po czym stanąłem w miejscu, z którego miałem dobry widok na East River.

Wypatrywałem holowników.

Drżąc z zimna, pomimo słabych promieni porannego słońca, obserwowałem życie rzeki.

Pierwszy zauważony przeze mnie holownik ciągnął pod prąd rząd barek wypełnionych skalnymi bryłami z nadbrzeżnych kopalń. Zestaw trzymał się prawej strony toru wodnego, aby zrobić miejsce dla nadpływającego z naprzeciwka transportu złomu. Potem zjawily się trzy stateczki, pracowicie ciągnące nieskazitelnie biały, norweski frachtowiec w stronę doków Brooklynu. Kilka holowników pomagało przedostać się w górę rzeki ogromnemu tankowcowi. Były również i takie, które gnały przed siebie bez ładunku, niczym urzędnicy pragnący zdążyć na poranny pociąg.

Żaden z nich nie przybił jednak do mego nabrzeża, żaden nie przepłynął tak blisko, bym mógł zwrócić na siebie uwagę załogi.

Okolo południa poczułem głód, więc wstąpiłem na lunch do Sketch Pad, zdaniem Jeannie, ostatniego baru w Nowym Jorku, przypominającego knajpy, jakich pełno było w Village w czasach Kerouaca.

Potem przeniósłem się na Battery, licząc, że tutaj bardziej mi się poszczęści. Blisko brzegu przepłynął statek straży pożarnej, minęło mnie też kilka jednostek Straży Wybrzeża, ale holowniki ciągle trzymały się z dala, wyprowadzając statki na morze.

Po godzinie dałem za wygraną. Wypiłem kawę i po raz kolejny zmieniłem stanowisko. Tym razem wybrałem nabrzeże przy Morton Street.

Zakładałem, iż jedynym sposobem na zlokalizowanie barki z monetami jest odszukanie holownika, który zabrał ją z budowy. Woląłem jednak nie pytać o to w pracy, aby nie wzbudzać dodatkowych podejrzeń. Przecież muzeum wiedziało o statku, a dyrekcja naszej firmy była przekonana, że wynieśliśmy z tunelu coś cennego. Nawet jeśli ci faceci nie wyróżniali się szczególną inteligencją, bez trudu mogli wykombinować, że przemyciliśmy wszystko na powierzchnię, choćby nawet nie zdawali sobie sprawy, co to właściwie jest. Osobiście miałem jednak przecucie, iż Archibald Byron doskonale się orientował w naturze naszego znaleziska. To oczywiste, że tunelarze nie połakomią się na kawałki zbutwiałego drewna, nawet jeżeli jest ono niezwykle stare. Wystarczyło, by znał nieco historię East River. Wówczas skojarzenie tunelu z zatopionym złotym okrętem Jonathana Ludluma stawało się wręcz oczywiste.

Wyruszając na poszukiwanie, miałem nadzieję, że trafię na zacumowany holownik, wdam się w rozmowę z jego załogą i w ten sposób ustale nazwę firmy, której statki pracują przy budowie tunelu. Wówczas, wciąż licząc na łut szczęścia, okrężną drogą ustaliłbym w końcu nazwę holownika odpowiedzialnego za zniknięcie naszej barki. Potem należałoby już tylko porozmawiać z pływającymi na nim marynarzami i zapytać, dokąd wywieźli błoto. Zapewne wykorzystano je do zasypania jakiegoś dołu albo jako podkład w dużych robotach ziemnych. Woląłem nie myśleć o użyciu ładunku barki do budowy jakiegoś obiektu pod wodą.

I bez tego będziemy mieć dość kłopotu z odnalezieniem monet w ogromnej hałdzie piachu.

Dzień był słoneczny, lecz zarazem przeraźliwie zimny. Początkowo miałem całe nabrzeże wyłącznie do swojej dyspozycji. Później przyplątał się jakiś nawiedzony rowerzysta i zaczął pedałowac tam i z powrotem. Szczelnie owinąłem się kożuszkiem i, nałożywszy przeciwsłoneczne okulary, utkwilem wzrok w wodzie.

Spędziłem w ten sposób przeszło godzinę. Zastanawiałem się właśnie, czy nie wdepnąć by gdzieś na gorącą kawę, kiedy ze środka nurtu skręcił w moją stronę jakiś holownik. Podeszedł do małego statku z ropą, stojącego przy burcie pasażerskiego liniowca, zakotwiczonego przy brzegu.

Poderwałem się na nogi, gotów biec w tamtą stronę, lecz po chwili zastanowienia zostałem na miejscu. Nawet gdybym zdążył tam dobiec, musiałbym jeszcze dostać się na pokład statku, a to zadanie przerastało moje siły. Usiadłem z powrotem na ławce. Kilka minut później holownik odbił od statku-cysterny. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko z ciężkim sercem czekać na lepszą sposobność.

Po upływie kwadransa z południa nadpłynął następny holownik, dłuższy i niższy od poprzedniego. Zacząłem go obserwować ze wzmożoną uwagą, ponieważ zredukował prędkość, jak gdyby wypatrując odpowiedniego miejsca do zacumowania. Wstałem z ławki, zdecydowany nie wypuścić go z zasięgu wzroku.

Na dziobie pojawił się marynarz i wziął do ręki zwój liny. Holownik, z którego burt dużymi płatami schodziła ciemnoniebieska farba, odsłaniając wyblakłą zieleń dawnego malowania, podeszedł do południowego skraju nabrzeża przy Morton Street. Jego dziób uderzył w sfatygowane palowanie nie dalej niż trzydzieści metrów ode mnie. Niezwłocznie skierowałem się w tamtą stronę.

Stojąca w dziobowej części pokładu grubo odziana postać, dawała rękami jakieś znaki niewidocznemu sternikowi. Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, holownik cofnął się nieco, odpływając od brzegu.

W chwilę później znów dobił do nabrzeża kilka metrów dalej. Marynarz wprawnym ruchem zarzucił linę na sterczący z pomostu metalowy pacholek, a drugi jej koniec zaknagował na pokładzie. Nierówne terkotanie silnika przybrało na sile, holownik naprężył linę i po chwili, przy wtórze

głośnego trzasku, pacholek wyładował w wodzie.

Marynarz przystąpił do wybierania liny, a gdy nabrał pewności, że pacholek nie wyslizgnie się z zaciśniętej pętli, powoli wciągnął go na pokład. W miejscu, gdzie do niedawna tkwił, widać było wyszarpaną w zmurszonym drewnie wielką dziurę.

Dostrzegając szansę na nawiązanie rozmowy, zawołałem:

— Proszę rzucić mi linę. Przywiążę was do czegoś solidniejszego.

— Dobra, dobra. Sami sobie poradzimy — twarz mężczyzny niemal całkowicie niknęła w głębi obszytego futrem kaptura kurtki. Rozsupłał linę i dał znak sternikowi. Holownik kolejny raz podszedł do nabrzeża, a linę zarzucono na następny pacholek.

Stateczek lekko się cofnął, najwyraźniej testując jego wytrzymałość. Pacholek zaskrzypiał, lecz nie ustąpił. Silnik zadudnił jeszcze głośniej. Spod kadłuba zaczęła wypływać spieniona woda, gwałtownymi zawirowaniami uderzając w palisadę pomostu. Wciąż nie tracąc nadziei, krzyknąłem:

— Wygląda na to, że tym razem dobrze trafiliście.

— Ano tak — odparł tkwiący na dziobie marynarz, machnął ręką i z komina natychmiast wzbił się w niebo kłęb czarnego dymu. Silnik rozwinął już chyba połowę mocy. Pacholek wyraźnie się przekrzywił, ja zaś pomyślałem, że załoga holownika w swojej ciekawości posuwa się za daleko. Chyba jedynie straszliwy huragan mógłby poddać nabrzeże równie surowej próbie.

Zupełnie nieoczekiwanie rozległ się pojedynczy, krótki sygnał syreny. Ze sterówki wychylił się szyper i i gorączkowo zaczął coś pokazywać marynarzowi na dziobie. Obaj spojrzeliśmy we wskazanym kierunku. Ulicą nadchodziło dwóch policjantów. Silnik natychmiast ucichł i holownik dotknął dziobem palowania. Marynarz w kurtce jednym ruchem poluzował owiniętą wokół testowanego pacholka linę, lecz gdy chciał wyciągnąć ją na pokład, zaplątała się w stercie zardzewiałego żelastwa.

— Rusz się! — wrzasnął szyper, wystawiwszy głowę przez boczne okienko.

— Kiedy się zaklinowała — odparł marynarz. W następnej chwili jego wzrok spoczął na mnie. — Hej, kolego, odczep nas. — Przykleknąłem i oswobodziłem koniec liny. Marynarz błyskawicznie przerzucił go przez burtę. Holownik drgnął i przy wtórce zbudzonego do życia silnika ruszył

wstecznym biegiem. — Dzięki, kolego — zawołał marynarz, zmierzając w stronę sterówki.

Pod wpływem nagłego impulsu wzięłem krótki rozbieg i przeskoczyłem półtorametrową lukę. Wylądowałem na pokładzie, lecz straciłem przy tym równowagę i wyciągnąłem się jak długi.

— Co jest, do diabła? — zdziwił się mój rozmówca.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — odrzekłem, wstając. — Muszę z panem porozmawiać.

— Czy jest pan z policji?

— Nie.

— Straż Wybrzeża?

— Nie.

— Patrol portowy?

— Nie.

— Prywatny strażnik?

Pokład pod moimi stopami mocno się przechylił, gdy szyper położył statek w ostry zakręt. Nabierając prędkości skierowaliśmy się na środek rzeki. Policjanci zatrzymali się tam, gdzie jeszcze przed chwilą stałem, i ze zdumionymi minami spoglądali w naszą stronę.

— Nie mam nic wspólnego z prawem — zapewniłem. — Chcę tylko zadać parę pytań.

Marynarz przyjrzał mi się uważnie. Nawet z bliska nie mogłem dostrzec szczegółów jego zakapturzonej twarzy. Odniosłem jednak wrażenie, że jest pokryta bliznami i opalona na brąz. W jego mowie można było wychwycić bardzo słaby, śpiewny akcent południa. Holownik wyszedł na otwartą wodę i w tym samym momencie zawiął północny wiatr, tnąc nie gorzej niż żyłki.

— Chodźmy poszukać ciepłego kąta — zaproponował.

W ślad za nim wspiąłem się do sterówki. Szyper przez chwilę jeszcze kręcił kołem sterowym, a gdy wszedł już na właściwy kurs, językiem aż ciężkim od skandynawskich naleciałości zapytał, co u diabła, robię na jego łajbie. Zakapturzony marynarz wyjaśnił, że pragnę zadać parę pytań.

— Jak się nazywasz?

— Dick Creegan.

— A ja Dave Ericsson. Ten tutaj to Travis Jones. — Wymieniliśmy uściski dłoni. Ericsson zdjął pokrywkę ze sterzącej przed nim rury i ryknął: — Kawa!

Odpowiedział mu ostry głos:

- Zdecyduj się, kawa czy silniki.
- Ja to załatwię — wtrącił Jones znużonym głosem.
- Dziękuję bardzo — rzucił Ericsson do rury, po czym założył pokrywkę, przerywając długi ciąg płynących z dołu wymyślnych przekleństw.
- Będzie lepiej, jeśli mi pomożesz — powiedział Jones.
- No jasne — odparłem, choć żał mi było rozstawać się ze wspaniałym widokiem portu, jaki rozciągał się za oknem sterówki. Zeszliśmy pod pokład do pomieszczenia pełniącego równocześnie funkcję sypialni oraz jadalni. W jego przeciwległym końcu znajdowała się niewielka kuchnia. Na kojach, a także na podłodze, piętrzyły się stosy pacholek, identycznych jak ten wyrwany z nadbrzeża przy Morton Street.

- Jaką chcesz kawę?
- Czarną — odparłem.

Jones wskazał mi wejście do maszynowni.

- Wetknij tam głowę i zapytaj, czy tamten typ też się napije.

Podszedłem do prowadzących w dół schodków. Ujrzawszy siedzącego na wielkiej stercie pacholek mężczyznę, zawołałem:

- Czy chce pan kawy?
- Kim pan jest?
- Wpadłem z krótką wizytą.
- Tak. Chcę kawy.
- On chce kawy — zakomunikowałem Jonesowi.
- Powiedz mu, żeby się wypchał.
- Może lepiej sam mu to powiedz.

Jones wykrzywił ciemną twarz w uśmiechu, odsłaniając przy tym olśniewająco białe zęby.

— No dobra, tym razem, wyjątkowo, dostanie swoją kawę. — Dodał do parującego kubka mleka oraz cukru, po czym zniknął w maszynowni. Kiedy wrócił, napełnił jeszcze trzy kubki, które zabraliśmy na górę do sterówki.

- Dziękuję — powiedziałem i łyknąłem kawy. — Zimno dzisiaj jak diabli.
- Co chcesz wiedzieć? — przeszedł do rzeczy Ericsson.
- Szukam holownika.
- Już go znalazłeś, chłopie. Co będziemy holować?

— Nic. Interesuje mnie inny holownik.

Ericsson spojrział na mnie z rozczarowaną miną.

— Co ci się nie podoba w mojej łajbie? Damy ci pierwszorzędną cenę.

— To nie o to chodzi — wyjaśniłem. — Szukam holownika, który zeszłej nocy ciągnął pewną barękę.

— Dlaczego?

Nad odpowiedzią na to pytanie zastanawiałem się od samego początku. Prędzej czy później musiało ono paść. Przygotowując się na taką sytuację, doszedłem do wniosku, że zełgam na poczekaniu coś, co pasować będzie do przebiegu rozmowy. Teraz czułem jednak w głowie zupełną pustkę. Jones i Ericsson czekali cierpliwie, przypatrując mi się pełnym ciekawości wzrokiem.

— Nie mogę powiedzieć — stwierdziłem w końcu niezręcznie. — To sprawa, można by rzec, prywatna.

— Zapytałem tylko ot tak sobie — powiedział Jones. — To nie ma większego znaczenia.

— Dziękuję. Miałem nadzieję, że dowiem się od was, która firma świadczy usługi transportowe dla Long Island Railroad Tunnel. A może, przypadkiem, robicie to wy?

— Dobrze by było — westchnął Jones.

— Myślę, że to będzie Moran — mruknął z namysłem Ericsson.

Tego się właśnie obawiałem. Moran dysponował największą w Nowym Jorku flotyllą holowników. Odszukanie konkretnej jednostki może pochłonąć masę czasu.

— A czy tego kontraktu nie wygrał McAllister? — wtrącił Jones.

Wymieniona przezeń firma również zaliczała się do potentatów.

— Nie. — Ericsson zdjął pokrywkę z rury pozwalającej utrzymywać łączność z maszynownią. — Hej, tam na dole — zawołał. — Kto wygrał kontrakt na roboty dla Long Island Railroad Tunnel?

— Gulf Atlantic — padła odpowiedź.

— Co on tam wie — burknął Jones.

— A ja nadal uważam, że to Moran.

— Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać — Jones włączył radiostację ustawioną na pulpicie obok koła sterowego. Kręcąc różnymi regulatorami, nawiązał po chwili kontakt z innym holownikiem. Po wymianie tradycyjnych obelg zadał pytanie.

— Moran.
— Tak myślałem — ucieszył się Ericsson.
— Dziękuję bardzo — powiedziałem. — Jestem wam ogromnie wdzięczny.

- Czy mam ustalić, jaki to był holownik? — spytał Jones.
- A możesz to zrobić? Oszczędziłbyś mi mnóstwa kłopotów.
- No pewnie. Skąd i kiedy została zabrana tamta barka?
- Welfare Island, wczoraj koło północy.

Jones przystąpił do pracy, łącząc się z coraz to inną jednostką. W tym czasie ja obserwowałem, sunące wolno za oknem, nabrzeża Brooklynu. Ericsson sterował jedną ręką, ponieważ z drugiej nie wypuszczał kubka z kawą.

- Dla jakiej firmy pracujecie? — zapytałem.
- Sadie Brown — Przedsiębiorstwo Holowania i Ratownictwa.
- Aha.
- Nigdy o nim nie słyszałeś?
- Raczej nie.

Ericsson zaśmiał się, dokończył kawę i natychmiast sięgnął po fajkę.

— Nie powiem, żebyśmy byli szczególnie wielcy. Cała firma to ja, Travis, Gink w maszynowni, no i Sadie.

— Sadie to holownik?
— Tak. Podnieśliśmy go z dna Zatoki Gravesend, kiedy wjechał na okręt podwodny.

— W Zatoce Gravesend?

— Tak. Testowali tam w tajemnicy nowy typ okrętu. Marynarka nie chciała, żeby wiadomość o tym trafiła do prasy, wypłaciła więc właścicielom porządne odszkodowanie, a także przytknęła oczy, gdy wydobyliśmy holownik na powierzchnię. Gink wytrzasnął skądś nowy silnik i w taki oto sposób weszliśmy do branży.

Jones w dalszym ciągu prowadził radiowe poszukiwania. „Sadie Brown” zbliżała się do mostu Verrazano.

— A jak wam idą interesy?

Ericsson westchnął.

— Kiepsko. Ludzie wolą wielkie firmy. Poza tym, działamy od niedawna, toteż klienci nie zdążyli się do nas przyzwyczaić. No i każda większa robota wymaga dwóch albo trzech holowników, my zaś mamy tylko jeden.

— Ale przecież muszą też być mniejsze zlecenia.
— Są, jednak zazwyczaj słabo płatne. Zleceniodawcy wiedzą, że nie mamy wyboru.

— Nie brzmi to zbyt zachęcająco.

Ericsson poweselał.

— Na szczęście odbijamy sobie straty na ratownictwie. Holownik podskoczył na fali wytworzonej przez prom idący ku Staten Island.

— A co ratujecie? — zapytałem. Wyglądało na to, iż Ericsson ma ochotę z kimś pogadać.

— Głównie materiały użyte do budowy nabrzeży. — Zakręcił kołem i kołysanie natychmiast osłabło.

Spojrzałem na niego zaskoczony, ale on nie odrywał oczu od toru wodnego przed sobą. Jones wstał od radia z zadowoloną miną. Pocierając kark, powiedział:

— „Deborah Moran”.

— Tak szybko? — spytałem ucieszony.

— To jej szukasz. Wzięła na hol barkę właśnie o północy i zaciągnęła ją na budowę Waterside. Wiesz, gdzie to jest?

— Nad East River, niedaleko ONZ, prawda? Nie mam pojęcia, jak się wam odwdziaczyć. Jesteście fantastyczni.

— Posłuchaj, Creegan. Chłopaki z „Deborah Moran” twierdzą, że barka była pełna błota. Cóż jest w nim takiego niezwykłego?

— Coś w nim zgubiłem.

Jones i Ericsson wymienili spojrzenia.

— A niby jak chcesz to odnaleźć w górze ziemi? — zainteresował się Jones.

— No cóż, trochę to potrwa.

— Czy ludzi nie zaciekawia, czego tam szukasz? — zagadnął Ericsson. To było dobre pytanie. Oczami wyobraźni ujrzałem siebie kręcącego się po barce z wykrywaczem metalu w ręku. Na ten widok od razu zbiegłby się tłum gapiów. Wśród nich mógłby też się znaleźć policjant.

— Taak — powiedziałem wolno. — To może być problem. Trzeba będzie zaczekać, aż się ściemni.

— Dobrze widzisz w ciemnościach? — indagował dalej Jones.

— Z najwyższym trudem — przyznałem.

— No to masz kłopot — stwierdził. — Czy mogę zapytać, czego ty właściwie szukasz?

— Strasznie mi przykro, ale nie możesz.

— Być może potrafimy ci pomóc — wtrącił Ericsson. — Ile zapłacisz, jeśli przeciągniemy barkę w spokojniejsze miejsce, gdzie będziesz mógł sobie poszperać bez obawy, że ktoś cię nakryje? — Zprzebiegłą minę i porozumiewawczo łypnął okiem. Obaj czekali na moją reakcję.

— Taka usługa może być dla mnie sporo warta — zacząłem ostrożnie. — Ale nie będę mógł za nią zapłacić, dopóki nie znajdę tego, czego szukam.

— A kiedy znajdziesz, to zapłacisz?

— Oczywiście.

Jones i Ericsson ponownie wymienili spojrzenia. Usunąłem się w przeciwny kąt, aby mogli swobodnie porozmawiać. Odbyli krótką, szeptaną naradę, po czym Jones powiedział:

— Zgoda. Odholujemy barkę.

— Myślę, że powinniście coś wiedzieć. To nie jest moja barka.

— Barki często urywają się z cum. Kiedy skończysz, zaprowadzimy ją na miejsce i powiemy, że znaleźliśmy ją, gdy dryfowała na rzece.

— Dlaczego to robicie?

— Bo przyzwicie nam zapłacisz — odparł Ericsson.

— Ile?

— Pięć tysięcy dolarów.

Nigdy w życiu nie wynajmowałem holownika, niemniej jednak cena wydała mi się mocno wygórowana. Z drugiej strony, cóż znaczyło pięć tysięcy wobec miliona.

— Zapłacę — przystałem po chwili namysłu — tylko że będziecie musieli trochę zaczekać.

— Jak długo — spytał Jones.

— Kiedy już znajdę swoją zgubę, będę musiał ją sprzedać. A to może nieco potrwać.

Ericsson miał zakłopotaną minę.

— Przepraszam, Creegan, ale muszę o to zapytać. Czy ty przypadkiem czegoś nie ukradłeś?

— Nie. Jak to tylko wziąłem.

— To znaczy — upewnił się Jones — że zabrałeś coś, co leżało sobie bezpańsko?

— Nie jestem złodziejem — zapewniłem. Przez moment zastanawiałem się, jak ich najlepiej przekonać. — To, co zrobiłem, przypomina... No dobra, wyobraźmy sobie opuszczony dom. Taki budynek wkrótce się rozpadnie lub spłonie w pożarze, a ty znajdziesz w nim coś ładnego powiedzmy obudowę kominka. Odrywasz więc ją od ściany i wynosisz. Można też kursować między starymi dokami i zabierać cumownicze pacholki, które przecież i tak by przepadły w chwili zawalenia się zmurszałego pomostu. Mniej więcej o to mi chodzi. — Popatrzyłem na nich z uśmiechem.

Jones wybuchnął gromkim śmiechem.

— W porządku.

Ericsson pokiwał głową.

— Na tym właśnie polegają nasze usługi ratownicze. Usuwamy tylko te pacholki, które nie gwarantują bezpieczeństwa.

— I co potem z nimi robicie?

— Żelazne sprzedajemy prywatnym przystaniom i różnym jachtklubom. Niekiedy znajdujemy też mosiężne. Te, po przetopieniu, warte są fortunę. Trudni się tym Gink. Ma do tego piec.

— Dzięki temu wiążemy jakoś koniec z końcem» — dodał Jones. — Przynajmniej stać nas na utrzymanie „Sadie”.

— No jak, umowa stoi? — zapytałem.

— Trzymaj się — odparł Ericsson. Zakręcił kołem, kładąc „Sadie Brown” w ostry zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. Gdy dziób holownika wymierzony już był w cypel Manhattanu, odsłonił wylot tuby, zbliżył do niego twarz i krzyknął ochryple:

— Cała naprzód.

Z dołu doleciał jęgot Ginka:

— Jak jeszcze raz zrobisz taki zwrot bez ostrzeżenia, poprzecinam, ci linki steru.

— Cała naprzód! — ryknął Ericsson. — I daruj sobie to zrządzenie, gdy jesteś na fonii.

— Dokąd płyniemy?

— Usługa holownicza. Cała naprzód.

— *Aye, aye, sir.*

„Sadie Brown” zadrżała, głębiej osiadła rufą między falami, ciągnąc za sobą pokryty białą pianą kilwater, popędziła w stronę Manhattanu.

14.

Gdy zbliżyliśmy się do placu budowy osiedla Waterside, twarz Ericsona spochmurniała. Rozplantowane hałdy ziemi ciągnęły się tutaj na długość dziesięciu przecznic. Pomiedzy rzeką a Roosevelt Drive wyrosły już nawet pierwsze kondygnacje kilku dużych budynków.

— Jakoś wysoko siedzi — powiedział Jones.

— Zauważyłem — odparł Ericsson.

Jones wyszedł ze sterówki na pokład i przystanął na dziobie ze zwojem liny w ręku.

— Czy coś jest nie tak? — zapytałem.

— Zaraz się przekonamy — mruknął Ericsson.

— Chcesz, żebym zajął się cumą rufową?

— Poradzimy sobie. — Pas wody oddzielający nas od barki stawał się z każdą chwilą węższy. Ericsson kazał włączyć małą wstecz.

„Sadie Brown” bezbłędnie podeszła do barki, Jones natychmiast rzucił cumę, a Ericsson zażądał od mechanika małej naprzód. Zakręciwszy kołem sterowym, osadził holownik w miejscu.

Zaraz też zablokował ster i wyszedł na pomost. Z nieszczęśliwą miną machnął ku mnie ręką. Gdy przyłączyłem się do niego, natychmiast zrozumiałem przyczynę zmartwienia. Barka była pusta.

— Już ją rozładowali — powiedział.

— A niech to szlag.

— Tam leży twoje błoto. — Ericsson wskazał piętrzącą się obok parowej koparki przyzmę. — Przykro mi.

Mnie było przykro znacznie bardziej. Pomysł z przetransportowaniem barki w ustronne miejsce strasznie przypadł mi do gustu.

Prawdopodobnie podczas wyładunku monety rozsypały się w piasku niczym rybia ikra w morskiej wodzie. Jeżeli dostały się do jednego czerpaka koparki, to leżały teraz na samym dnie.

— Pusta? — krzyknął z dołu Jones.

— Tak — kwaśno odparł Ericsson.

— Tak właśnie myślałem. Za mocno jest wynurzona. I co teraz?

Obaj spojrzeli na mnie.

— Nie wiem — odrzekłem.

Ericsson wyglądał na nie mniej rozczarowanego niż ja. A przecież stracił zaledwie jeden kurs. Po pierwszym szoku mój nastrój uległ lekkiej poprawie. Mimo wszystko, nasza wyprawa zakończyła się pewnym sukcesem. Przynajmniej znalazłem błoto, a wraz z nim zapewne monety. Pierwszy etap operacji miałem już za sobą. Teraz należy obmyślić sposób na przeszukanie góry piachu. Plac był zupełnie pusty i tylko na wznoszonym w oddali bloku kręcili się budowlańcy. Przy odrobinie szczęścia miałem spore szanse, by za pomocą dobrego wykrywacza metalu odnaleźć chociaż część monet. Trochę by to potrwało, ale pracując razem z Rifkinsem, Burkiem i Kosińskim przetrząsnęlibyśmy tę stertę w przeciągu paru dni i nocy, oczywiście pod warunkiem, że nikt jej stąd nie zabierze. Taka ewentualność wydawała się zaś mało prawdopodobna, gdyż, sądząc po wyglądzie okolicy, piach trafił na miejsce ostatecznego przeznaczenia.

Podszedłem do Ericssona.

— Przepraszam, że nic z tego nie wyszło.

Jones, który również tu się zjawił, wzruszył ramionami.

— Co jest w tej hałdzie?

— Coś, co zgubiłem.

— A co zgubiłeś?

— Tego nie wolno mi powiedzieć. W sprawę zaangażowanych jest kilka osób, więc nie mam prawa wypowiadać się na ten temat.

— Chcesz tutaj wysiąść? — zapytał Ericsson.

— Tak. I jeszcze raz przepraszam za kłopot. — Pragnąłem coś im dać,

lecz w kieszeni oprócz dwóch złotych monet miałem zaledwie około dziesięciu dolarów. Zacząłem nawet rozważać, czy nie ofiarować im jednej z monet, wiązało się to jednak ze zbyt wielkim ryzykiem. Któż bowiem mógł mi zagwarantować, że zaintrygowani, nie wrócą później, by poszperać w piachu na własną rękę?

— Chciałbym wam jakoś zapłacić, ale w tej chwili...

— Nie przejmuj się.

— A jednak jest mi głupio. Jeśli coś z tego wszystkiego wyjdzie, prześlę wam parę groszy.

— Jak chcesz — powiedział Ericsson. Jego szarobłękitne oczy spoglądały na mnie z nieodgadniętym wyrazem.

Jones pochylał się nad otwartym wejściem do maszynowni.

— Hej, Gink!

Gink wysunął umazaną olejem twarz.

— No, co tam znowu?

— Masz jeszcze te wizytówki?

Sięgnął do górnej kieszeni kombinezonu i podał Jonesowi przybrudzony kartonik, on zaś przekazał go mnie.

Pod nazwą firmy, w lewym dolnym rogu, widniał numer telefonu.

— Dzięki — powiedziałem. — Będę z wami w kontakcie.

— Proszę bardzo. Zresztą, kto wie? Może mimo wszystko będziesz potrzebował holownika.

Jones zdjął cumę dziobową, a Ericsson skierował „Sadie Brown” tak, że płynęła teraz wzdłuż brzegu, dopóki nie wypatrzyłem miejsca zdatnego do zeskoku. Gdy tylko stanąłem na nogi, uniosłem rękę do pożegnania, ale holownik już zawrócił i obrał kurs na środek nurtu.

Czując lekkiego moralnego kaca, podszedłem do hałdy. Miałem przed sobą stożek o wysokości ośmiu i średnicy trzynastu metrów. Niemal całą jego powierzchnię pokrywały białe kryształki szronu. Pochyliłem się, by lepiej obejrzeć wystający z błota kamyk, lecz w tej samej chwili ciszę rozdarł głośny okrzyk:

— Hej, ty!

Raźnym krokiem zmierzał w moją stronę facet w średnim wieku, ubrany w mundur prywatnego strażnika. Wyglądał na emerytowanego gliniarza.

— Co tutaj robisz? — zapytał ostro.

- Spaceruje — odparłem spokojnie.
- Idź pospacerować gdzie indziej. To teren prywatny.
- Przepraszam. Nie zrobiłem nic złego.

Strażnik wyciągnął uzbrojoną w pałkę rękę.

- Brama jest tam.

Wzruszywszy ramionami, ruszyłem we wskazanym kierunku. Odpro-wadził mnie wzrokiem aż do samej ulicy.

Szybko nadciągał zmrok, a wraz z nim przymrozek. Przeszedłem bez celu kilka przecznic, aż w końcu natchniony myślą o gorącej kolacji z Je-annie, a może nawet nocy w jej wygrzanym łóżku, skierowałem się do budki telefonicznej.

Odebrała po pierwszym sygnale.

- Cześć — powiedziałem.
- Cześć. Jak ci poszło?
- Znalazłem błoto.
- To wspaniale. A co z resztą?
- Czy ktoś u ciebie jest?

Umilkła na chwilę, po czym rzekła.

- Prawdę powiedziawszy, tak.
- Loren?

— Nie twój interes — zaszczębiotała radośnie. — Gdzie znalazłeś to swoje błoto?

Postarałem się nadać głosowi obojętne brzmienie.

- Powiem ci, jeśli ty mi powiesz.
- No wiesz...

Ziąb oraz przejścia całego dnia sprawiły, że zasoby mojej cierpliwości błyskawicznie się wyczerpały.

- Niech to szlag, Jeannie, kto tam u ciebie jest?
- Spokojnie, Kreciku.
- Uspokajanie nic tu nie da, bo ja cię kocham.

— Zaczekaj chwilę. — Usłyszałem, jak powiedziała w głębi mieszka-nia: „Loren, może byś tak zajrzał do kuchni i sprawdził pieczeń?” Ponow-nie zbliżyła słuchawkę do ust. — Jesteś tam jeszcze?

- Tak.

— No dobra, jest tutaj Loren. Bardzo cię lubię, prawdopodobnie za bardzo. Nie masz pewności, że mnie kochasz. Podobnie ja nie wiem, co tak naprawdę czuję do ciebie. Nie próbuj niczego wymuszać, Kreciku. Od

dawna jestem całkowicie niezależna i wolałabym, żeby na razie tak zostało.

— Przepraszam.

— I nie przepraszaj.

— Znalazłem błoto w Waterside.

— A co z monetami?

— Zapewne tkwią w ziemi. Wrócę tam jutro, jeśli tylko wymyślę sposób na ich odnalezienie.

— Świetnie. Rano nie mogę ci pomóc, bo czekam na telefon, ale po południu na pewno cię odwiedzę.

— To świetnie. Baw się dobrze.

— Dzięki, Kreciku. Uważaj na siebie.

— No jasne. — Pożegnałem się, odwiesiłem słuchawkę i utkwilem spojrzenie w tablicy z jadłospisem baru, do którego wstąpiłem, poszukując telefonu. Po dłuższym namyśle zamówiłem hamburgera, zachwalanego jako specjalność zakładu. Następnie przejechałem metrem do centrum. Tam złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć na Welfare Island. Chciałem sprawdzić, jak rozwija się strajk, a także porozmawiać z Rifkinsem, Burkiem i Kosińskim.

15.

W baraku zebrała się co najmniej połowa członków naszego związku. Burke'a znalazłem w miejscu, skąd dochodziły najgłośniejsze krzyki. Razem z nim był Kosiński. Rifkins podpierał ścianę w drugim końcu sali. Wokół niego stało paru innych majstrów i wszyscy mieli bardzo niezadowolone miny. Burke ponad tłumem przekrzykiwał się z lokalnym szefem związku. Po chwili zaatakował innego działacza, oskarżając go o sprzedajność. Siedzący na stercie złożonych pod ścianą materacy stary Kavanaugh przysłuchiwał się temu z szerokim uśmiechem, a kiedy wreszcie Burke umilkł, z uznaniem pokiwał głową.

— Masz parę w płucach, Burke.

— Jak cholera — wrzasnął Burke.

Krytykowany przezeń związkowiec poruszył się niespokojnie. Dopiero teraz Burke spostrzegł, że stoję tuż obok.

— Znalazłeś? — spytał szeptem.

Otoczający nas tunelarze nadstawili uszu.

— Ciszej — mruknąłem. — Tak, znalazłem.

— Gdzie?

— Waterside.

— Wspaniale.

— Stracimy masę czasu, żeby to odzyskać.

— Dlaczego?

Wyjaśniłem mu pokrótce, jak wygląda sytuacja na budowie, wspomniałem też o strażniku. Kosiński pochylił ku nam głowę i słuchał w ponurym milczeniu. Zakończyłem relację stwierdzeniem, iż musimy zdobyć wykrywacz metalu, po czym zapytałem o przebieg strajku.

— To jest fantastyczne — entuzjazmował się Burke. — Pozamykaliśmy tunele podwodne, kanalizację oraz metro.

Patrząc na niego pomyślałem, że dzięki naszej czwórce przerwało pracę kilka tysięcy osób.

— Podobno mają do nas przyjechać wielcy szefowie — dodał Burke.

Powietrzem wstrząsnęły nagle głośnie okrzyki. Podniosłem głowę. Kavanaugh z wolna dźwignął się na nogi, odchrząknął, a w jego wzroku zapłonął demoniczny blask.

— Dach nad głową... chleb... godno... — rzekł. — To wszystko, czego potrzebuje robotnik. — Ogarnął spojrzeniem zebranych w sali mężczyzn, spośród których większość mogła być jego wnukami. — Proste potrzeby — podjął po chwili śpiewnym głosem. — Uczciwe potrzeby... sprawiedliwe. — Ponownie przerwał, by przyjrzeć się uważnie wszystkim twarzom, jak gdyby w poszukiwaniu nasłanych przez firmę szpiegów. — Ale potrzeby nie zaspokojone rodzą żądania. Dzisiaj żądamy dachu nad głową. Żądamy chleba. Żądamy przede wszystkim poszanowania naszej godności. I dostaniemy to.

Kavanaugh wznosił ręce nad głową, a pod sufit wzbil się nierówny chór wyrażających aplauz głosów. Jeden z monterów za moimi plecami rzucił do kolegi:

— Nie rozumiem tego pieprzenia o chlebie i dachu nad głową, ale na godności Kavanaugh zna się jak mało kto.

— Wracajcie do domów — podjął Kavanaugh. — Zameldujcie się, gdy przyjdzie wasza kolej na służbę w pikietach. Wszystko potoczy się teraz bardzo szybko. Poproszę jeszcze tylko, by Burke, Kosiński i Creegan przed wyjściem skontaktowali się ze mną.

— Co jest, do diabła? — mruknął Burke.

Szatnia szybko opustoszała. Podeszliśmy do Kavanaugha. Stary związkowiec energicznie skinął nam głową.

— Paru gnojków czeka na was w biurze.

— Kto? — zapytałem.

— Przecież mówię, że gnojki. Nie dajcie się im chlōpcy.

Gdy weszliśmy do biura, okazało się, że Kavanaugh miał na myśli szychy z naszego związku, poubieranych w gabardynowe garnitury facetów w średnim wieku. Palili cygara, byli wypielegnowani i traktowali nas w sposób, który w pełni uzasadniał użycie owego mało pochlebnego określenia.

— Zamknijcie drzwi — polecił jeden z nich.

Burke kopnął drzwi nogą.

Drugi mężczyzna powitał nas szerokim uśmiechem.

— Cześć, chłopaki. — Był to Carson, przewodniczący związku. Na ostatnich wyborach głosowałem przeciwko niemu. — Wygląda na to, że trochę narozrabialiśmy.

Nikt mu nie odpowiedział. Carson ściągnął brwi.

— Słyszałem, że Reese przyłapał was na kradzieży, a ten stary cwaniak Kavanaugh zrobił z tego rewolucję.

— Niezupełnie — wtrąciłem.

Carson zmierzył mnie wzrokiem.

— No więc jak to było? Ty jesteś... Creegan?

— Creegan.

— Co się tam stało, Creegan?

— Reese i jakiś gość z muzeum sądzili, że wynieśliśmy z tunelu zabytkowe przedmioty. Kazali nam opróżnić kieszenie.

— Zrobiliście to?

— Co?

— Czy zabraliście zabytki? — przeciągnął dłonią po łysinie. — Pytam o zabytki, Creegan.

— Tak twierdził tamten typ z muzeum.

— Zabraliście je czy nie?

— Oczywiście, że nie.

— Dlaczego w takim razie nie pokazaliście im zawartości kieszeni?

— A niby dlaczego mielibyśmy to robić? — warknął Burke. W ciasnym pomieszczeniu czuł się jeszcze bardziej rozdrażniony. Znajdowaliśmy się w biurze Reese'a, a to prawdopodobnie oznaczało, iż rozmowy między firmą a związkami miały charakter prywatny. Nie mogły jednak przynieść konkretnych rezultatów, dopóki zarząd nie będzie miał po swojej stronie szeregowych członków, ci zaś, jak na razie, świetnie się bawili,

śluchając Kavanaugha. Dzikie strajki stanowią przyjemne urozmaicenie w szarzyźnie codziennej rutyny. Sądząc po zmartwionych minach Carsona oraz jego towarzysza, obawiali się oni, że wkrótce mogą utracić kontrolę nad rozwojem wydarzeń. Carson uśmiechnął się do nas mile.

— Jak wiecie, nie prowadzimy z firmą wojny. W ogólnym zarysie chodzi o to, że oni chcą zbudować tunel, a my im w tym pomagamy. Ale wy, chłopcy... i Kavanaugh... czego właściwie chcecie?

— Chleba, dachu nad głową i godności — odparł Burke z kamienną twarzą.

Carson skrzywił się.

— Posłuchajcie. Jeśli naklonię tego dupka Reese'a, żeby was przeprosił, czy to wystarczy, abyście wyperswadowali Kavanaughowi te nonsensy?

Wzruszyłem ramionami. Strajk dawał nam sposobność do poszukiwania monet. A w ogóle niewiele mnie to wszystko obchodziło, ponieważ już postanowiłem nigdy nie wracać do tunelu, bez względu na to, czy w końcu odzyskamy nasz skarb.

— No, dajcie spokój — przekonywał Carson. — Ta bzdura trwa już dostatecznie długo.

— Facet z muzeum też musi nas przeprosić — powiedział Burke.

Carson zadumał się.

— Właśnie tego w całej tej historii nie rozumiem. Kim jest ten człowiek z muzeum?

— Proszę zapytać w dyrekcji — poradziłem. — Miał dostać od prawników pozwolenie na zjazd pod ziemię.

— Dyrekcja twierdzi, że prawnicy firmy w ogóle o nim nie słyszeli.

— Podobno rozmawiał z nimi — wtrącił Burke.

Carson pokręcił głową.

— Gość pojawił się w biurze i powiedział, że wszystko już uzgodnił z dyrekcją. Tak naprawdę, nikt nie wie, jak do tego doszło. Dzwonili nawet do muzeum, aby upewnić się, czy pracuje tam człowiek o takim nazwisku. Powiedziano, że tak.

— Dlaczego w takim razie kłamał? — spytałem.

— Pewnie doszedł do wniosku, że w ten sposób szybciej ich przekonana — wysunął przypuszczenie Carson.

— Całkiem możliwe — przytaknąłem, lecz nie wyzyłem się wątpliwości.

— Tak czy inaczej, to on wszystko zaczął — obstawał przy swoim Burke — musi więc teraz nas przeprosić razem z Reese'em.

— Zobaczą, co da się zrobić — w głosie Carsona słychać było powątpiewanie. — Może jednak zechcecie pogadać z Kavanaughem i przekonać go, żeby zachował rozsądek?

— Nic z tego nie rozumiem — odezwał się Kosiński, który od momentu wejścia do biura nie wypowiedział ani jednego słowa.

Carson spojrzął na niego zdziwiony i zapytał, jak się nazywa. Kosiński przedstawił się, a następnie dodał, iż jego zdaniem jest co najmniej dziwne, że szef związku prosi szeregowych członków, aby wpłynęli na delegata organizacji zakładowej. Carson mruknął coś na temat popularności, jaką Kavanaugh cieszy się wśród ludzi, my zaś, nie chcąc przedłużyć tej dyskusji, obiecaliśmy spełnić jego prośbę i wyszliśmy z biura.

Zaraz też przekazaliśmy Kavanaughowi słowa Carsona. Stary uśmiechnął się złowieszczo, po czym powtórzył swą wcześniejszą obietnicę długiego strajku. Pożegnawszy się z nim ruszyliśmy na poszukiwanie Rifkinsa, a potem, już w komplecie, wpadliśmy do Charley'sa, aby spokojnie przedyskutować sprawę monet.

Popijając uzgodniliśmy, że Rifkins i ja weźmiemy od każdego po jednej monecie, sprzedamy złoto, a za uzyskane pieniądze kupimy wykrywacz metalu i wynajmiemy ciężarówkę. Przeszliśmy do stolika oddzielonego przepierzeniem od reszty sali, wyciągnęliśmy z kieszeni drogocenne bryłki i zaczęliśmy zeszkrobywać naroślą mułu. Wszystkie cztery bryłki okazały się złotymi monetami. Uznałem to za dobry omen i zamówiłem kolejkę, aby to uczcić.

Rifkins wrzucił monety do kieszeni. Miałem ochotę sprawdzić moją drugą bryłkę, ponieważ jednak chłopcy zaczęli dyskutować nad najlepszym sposobem dotarcia do monet, włączyłem się do rozmowy, odkładając skrobanie na później.

Doszliśmy do wniosku, że najłatwiej zmylimy czujność strażników, jeśli zjawimy się na budowie jako pracująca tam brygada. Nie powinniśmy mieć z tym większego problemu, gdyż naprawdę byliśmy brygadą robotników. Szczegóły postanowiliśmy rozpracować później. Wraz z upływem czasu i wypijaniem alkoholem pomysł ten budził coraz większy entuzjazm.

16.

Gdy nazajutrz rano przyszedłem pod sklep Harry'ego Goltzmana, Rifkins już na mnie czekał. Weszliśmy do środka. Przedstawiłem majstra Harry'emu i poprosiłem go o dokonanie wyceny. Numizmatyk obejrzał monety pod lupą.

- Jedna z nich to prawdziwy rarytas — oznajmił po chwili.
- Ile jest warta?
- Około dwóch tysięcy dolarów.
- Sprzedajemy — pośpiesznie wtrącił Rifkins.
- Nie mogę jej kupić. Ale na pewno nie będzie kłopotu ze znalezieniem nabywcy.

— Potrzebujemy gotówki — wyjaśniłem.

— Nie mam takiej sumy.

— A co z pozostałymi?

— Po pięćset za sztukę.

— Zgoda — zdecydowanie rzucił Rifkins.

Holtzman obracał w rękę filiżankę z herbatą.

— Zrozumcie mnie, panowie. Nie prowadzę transakcji na taką skalę.

— Jak długo trzeba czekać przy sprzedaży komisowej? — spytałem.

— Tego nie potrafię zagwarantować. Tydzień. Może miesiąc.

— Za długo.

— Ile pieniędzy potrzebujecie?

Popatrzyliśmy z Rifkinsem po sobie. Postanowiłem zagrać z Harrym w otwarte karty.

— Tyle, żeby kupić dobry wykrywacz metalu. Sklepiarz uśmiechnął się domyślnie.

— Sto dolarów powinno wam wystarczyć.

— Potrzebujemy najlepszego sprzętu.

— Coś wam proponuję. Zostawcie mi monety w komis, a ja za każdą sztukę wypłacę wam sto dolarów zaliczki.

Rifkins nie miał zachwyconej miny. Harry natychmiast to zauważył. Poprosił, żebyśmy popilnowali sklepu, ponieważ musi wyskoczyć na chwilę po papierosy.

— Czy ty mu wierzysz? — zapytał Rifkins, gdy tylko zostaliśmy sami.

— Całkowicie. Ale nie to jest teraz najważniejsze. Potrzebujemy tych kilku setek. Nawet gdybyśmy później nie dostali już od niego ani grosza więcej, w co zresztą bardzo wątpię, to, kupiwszy wykrywacz, odszukamy pozostałe monety i będziemy bogaci. Co wówczas będzie dla nas znaczyć parę tysięcy dolarów?

— O ile znajdziemy tamte monety.

— Znajdziemy.

Gdy wrócił Harry, powiedzieliśmy mu, że przyjmujemy jego ofertę. Wystawił nam czek do banku na rogu najbliższej przecznicy, gdzie bez najmniejszego problemu podjęliśmy gotówkę. Potem w sklepie ze sprzętem rekreacyjno-sportowym za sto pięćdziesiąt zielonych nabyliśmy detektor i nareszcie mogliśmy przystąpić do działania. Urządzenie to było długą metalową rurką, z jednej strony zakończoną niewielką czaszą w kształcie miseczki, z drugiej zaś rękojeścią z wyskalowaną tarczą i wskazówką. W skład kompletu wchodził jeszcze pas z bateriami stanowiącymi źródło zasilania. Rifkins spróbował nałożyć go na siebie w taksówce, którą jechaliśmy do firmy wynajmującej ciężarówkę, lecz okazało się, że został uszyty na kogoś o znacznie szczuplejszej talii.

Mój wybór padł na Slapner Truck Rental Agency. Korzystałem kiedyś z ich usług przy przeprowadzce kolegi, toteż wiedziałem, iż agencja dysponuje starymi, porozbijanymi pojazdami, właśnie takimi, z jakich korzystają drobni prywatni podwykonawcy na budowach. Tym razem przypadła

nam w udziale pomarańczowa furgonetka. Miało się wrażenie, że stoi na kołach jedynie dzięki podpierającej ją ścianie garażu. Cała karoseria była mocno zachlapana błotem, w dwóch oknach brakowało szyb, zaś tylne drzwi w żaden sposób nie dawały się zamknąć. Pedał hamulca ustępował miękko, jakby był z gumy, natomiast sprzęgło stawiało taki opór, jak gdyby w paru miejscach porządnie przyrdzewiało. Dyspozytor napełnił zbiornik paliwem, po czym rzucił ostrzegawczym tonem.

— Tylko nie nabrudźcie w środku i nie włączajcie radia.

Zapewniłem go, że będziemy grzeczni. Z wielkim trudem wcisnąłem sprzęgło, po paru próbach znalazłem jedynkę i ruszyłem z miejsca. Siedzący obok mnie Rifkins z rozmachem zatrzasnął drzwi. Po drodze na budowę wzięliśmy Burke'a i Kosińskiego. Ujrzawszy wykrywacz, Burke natychmiast zacisnął na nim dłonie.

— Dajcie go mnie.

Rifkins się zgodził, nakazując wszakże, by Kosiński owinął sprzęt swoim płaszczem. Zostawiliśmy samochód na osiedlowej ulicy i ruszyliśmy pieszo w stronę rzeki.

— To tutaj — powiedziałem, gdy minęliśmy ostatni budynek.

W następnym momencie stanąłem niby rażony gromem. Pomiedzy nami a wodą rozciągał się zupełnie płaski teren. Burke natychmiast pojął w czym rzecz.

— Och nie! — jęknął.

Rifkins przeżuwał przekleństwa.

Sterta błota zniknęła.

17.

Straciliśmy ją po raz kolejny.

— Rozplantowali nasze błoto — powiedział Kosiński.

— Chryste miłosierny! — Burke był bliski płaczu, a ja doskonale go rozumiałem.

Wydobyty z tunelu piach wypełniał obecnie rozległą nieckę pomiędzy dwoma usytuowanymi najbliżej wody budynkami. Spycharka kończyła właśnie niwelować ostatnie nierówności. Sądząc z kształtu powstałego placu, projektant przewidział w tym miejscu duży parking. Nigdy w życiu nie odzyskamy skarbu w całości.

Ukryliśmy się na piętrze wznoszonego bloku. Usiedliśmy, czekając, aż spycharka pojedzie sobie gdzie indziej. Było tu wilgotno i zimno. Upłynęła godzina.

— Może przestaniesz wreszcie kręcić się tutaj — warknął Burke pod adresem operatora odległej spycharki. — Plac jest już wystarczająco gładki.

Operator był jednak najwyraźniej odmiennego zdania. Uporawszy się z większymi nierównościami, zaczął teraz jeździć tyłem, ubijając ziemię. Ciągnąc za sobą opuszczony nisko lemiesz, spycharka przypominała mrówkę, która wraca do domu ze smakowitym kąskiem.

— Hej, mały! — rzucił po chwili Burke. — Skocz po kawę.

To było do mnie. Ponieważ przestałem reagować na takie odzywki, gdy

tylko skończyłem dziewiętnaście lat, zupełnie go zignorowałem.

— Creegan — przejął inicjatywę Rifkins. — Może byś tak przeszedł się po kawę?

Pozbierałem od nich pieniądze i ruszyłem na poszukiwanie baru. Chyba było to lepsze niż marznięcie w jakimś zawilgoconym kącie. Kiedy wróciłem, spycharka stała już na lorze. Pośpiesznie wypiliśmy kawę. Jeśli dopisze nam szczęście, za kilka minut będziemy mogli przystąpić do poszukiwań.

Lora ze spycharką opuściła teren budowy. Zostaliśmy nareszcie sami, jeśli nie liczyć paru robotników krzątających się na najwyższym piętrze jednego z bloków. Burke przytroczył sobie pas z bateriami. Byliśmy już gotowi do wyjścia, gdy z rykiem silników, rozsiewając wokół piekielną woń palonej gumy, na parking zajechały trzy czarne, ogromne cysterny. W ślad za nimi zza rogu wypadła następna lora z walcem drogowym. Widoczny na wszystkich maszynach napis głosił „Big Apple Asphalt”.

— Nie wierzę własnym oczom — rzekł żalosnym tonem Burke, wyrażając w ten sposób opinię nas wszystkich. Z okien kryjówki obserwowaliśmy asfalciarzy, usypujących kopce dymiącej, czarnej masy na całym parkingu. Opróżniane kolejno cysterny, wzbijając chmury kurzy, natychmiast wyjeżdżały poza bramę.

Walec z hukiem stoczył się na ziemię i cierpliwie czekał na poboczu. Gdy nadeszła właściwa pora, kanciasty potwór sapnął i przystąpił do pracy. Umieszczona w jego przedniej części równiarka rozpraszająca kupki asfaltu po całej powierzchni, zaś widoczny z tyłu walec rozprasowywał materiał bitumiczny w twardą skorupę.

— Jasna cholera — pomstował Rifkins. — Teraz już nigdy ich nie znajdziemy.

— Wykrywacz metalu będzie w stanie zlokalizować monety — powiedziałem. — Musimy się tylko przebić przez warstwę asfaltu.

— Tylko tyle?

Należało przyznać, że nie będzie to łatwe. Świeżo ułożona powłoka miała około piętnastu centymetrów grubości, zaś panujący na dworze chłód przyspiesza proces twardnienia.

— Potrzebujemy młota pneumatycznego. Rifkins spojrzał na mnie zrezygnowany.

— I niby skąd mamy go wytrzasnąć?

— Wypożyczymy — podsunął Kosiński.
— A potem zabierzemy się za prucie nowiutkiego parkingu?
Rifkins znowu miał rację. Ktoś mógłby się zainteresować naszą obecnością. Musiałem na poczekaniu coś wymyślić.
— Ukradniemy go — oznajmiłem w końcu.
— I cóż to nam da?
— Ukradniemy go z Con Ed.
— No jasne — ucieszył się Burke. — To rozumiem.
— A ja nie — przyznał Rifkins.
— Ukradniemy wóz Con Ed. Potem rozstawimy barierki oraz znaki ostrzegawcze i wszyscy będą myśleć, że robimy to co trzeba.

Ten plan miał wszelkie szanse powodzenia. Con Ed, czyli Consolidated Edison, było przedsiębiorstwem zaopatrującym Nowy Jork w prąd i gaz, i w związku z tym nieustannie rozkopywało ulice. Niebiesko-białe wozy Con Ed, stojące obok wyrytej w jezdni dziury, przy której podskakiwał uwieszony do młota pneumatycznego facet, stanowiły nieodłączny element miejskiego krajobrazu.

— Jeżeli nawet nikt nie przeszkodzi nam w rozkopaniu parkingu, to na pewno ktoś zauważy skradziony samochód — Rifkins głośno wyraził swoje obiekcje.

— Kto? — spytałem. — Po mieście jeździ dziesięć tysięcy pojazdów Con Ed. Nasz nie będzie się niczym wyróżniać. Poza tym, ci, którym gwizdniemy ciężarówkę, wypiją po parę piw, zanim nabiorą odwagi, by zameldować o kradzieży.

— No, nie wiem.

— To się uda — zapewnił Burke. — Nie ma na co czekać. Patrzcie, już prawie skończyli asfaltowanie. — Wyjrzałem przez okno. Po cysternach nie było już śladu, a walec kończył kształtowanie nawierzchni w ostatnim narożniku.

Burke zszedł już na dół i maszerował dziarsko w kierunku Pierwszej Alei, zapewne z zamiarem wyszukania odpowiedniego pojazdu. Rifkins spojrział na mnie błagalnie.

— Zostanę tutaj i wszystkiego przypilnuję — zaproponowałem — a ty i Kosiński idźcie z nim.

Przecząco pokręcili głowami.

— Nie — powiedział Kosiński. — Chodźmy wszyscy razem. Tego parkingu nikt stąd nie zabierze.

Bez dalszych dyskusji popędziliśmy za Burkiem, który, idąc, wspierał się na detektorze niczym na lasce.

Con Ed miał duży zakład energetyczny parę przecznic dalej. Bez wątpienia, na jego terenie musiało parkować mnóstwo przydatnych do naszych celów samochodów. Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się jednak, że nie ma co marzyć o jakiegokolwiek akcji, ponieważ bramy pilnował uzbrojony strażnik. Nie mając innego wyjścia, wsiedliśmy do taksówki i jeździliśmy po Pierwszej, a następnie po Drugiej Alei, aż wreszcie natrafiliśmy na brygadę Con Ed przy pracy.

Robotnicy zamknęli dla ruchu dwa pasma jezdni. Bariierka udekorowana żółtą, winylową taśmą otaczała otwarty właz studzienki. Obok głośno terkotał kompresor, a dwaj pogrążeni w rozmowie mężczyźni podawali co jakiś czas narzędzie trzeciemu, zanurzonemu w studziencie. Wsiedliśmy z taksówki i, stanąwszy w drzwiach sklepu z wyrobami żelaznymi, rozejrzeliśmy się w sytuacji.

Furgonetka była wyposażona w niewielką sprężarkę oraz młot pneumatyczny, dokładnie takie, jakich potrzebowaliśmy. Jediną przeszkodę stanowili dwaj goście przy studziencie. Oczekaliśmy kilka minut w nadziei, że lada moment wyskoczą na kawę albo też utną sobie drzemkę, oni jednak najwyraźniej nie mieli na to ochoty.

Właściciel sklepu wyszedł na ulicę, aby sprawdzić, dlaczego czterech typów blokuje mu drzwi. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, przenieśliśmy się pod sklep mięsny. Kiedy jednak klienci zaczęli się za nami oglądać, Rifkins postanowił zmienić taktykę.

— Rozpraszamy się — powiedział. Wskazał mi pobliski sklep z wyrobami tytoniowymi. — Ty i Burke stańcie tam. Ja z Kosińskim staniemy pod pralnią.

Podeszliśmy z Burkiem do okna wystawowego trafiki, udając zainteresowanie kolekcją fajek. Rifkins i Kosiński wsparli się ze znużeniem o framugę okna pralni. Wyglądali z daleka jak para zastygłych w bezruchu portowych żurawi.

Nagle jeden z pracowników Con Ed zniknął w głębi studzienki. Drugi przykucnął nad otwartym włazem i z zainteresowaniem zaglądał do środka.

- Teraz. — Burke ruszył do przodu.
- Co chcesz zrobić?

— Rąbnę sukinsyna w łeb, a potem wrzucę go do dziury — mruknął Burke, torując sobie drogę wśród przechodniów z gracją skradającego się nosorożca.

— Nie możesz tego zrobić — zaprotestowałem, usiłując dotrzymać mu kroku.

— Patrz tam.

Spojrzałem przez ramię, Rifkins i Kosiński oderwali się od ściany i również zmierzali w stronę wozu. Burke wzniosł do góry zaciśniętą pięść, lecz pochylony nad studzienką robotnik nagle odwrócił się i spojrzał na nas zaskoczony. Wyraz twarzy Burke'a musiał rozwiać wszelkie jego wątpliwości, gdyż podniósł ręce w obronnym geście, usiłując równocześnie zająć dogodniejszą pozycję. Na jego nieszczęście, jedyną skuteczną pozycją obronną przeciwko osobnikowi rozmiarów oraz temperamentu Burke'a byłaby pozycja po drugiej stronie ulicy.

— Czego chcesz? — zapytał niepewnie.

— Wskakuj do dziury — warknął Burke.

— Coo?

— Najpierw nogi czy głowa? Dla mnie nie robi to żadnej różnicy — zapewnił Burke.

— Coś ty, odbiło ci?

Facet był niski, ciemnowłosy i żylasty, a z tego, jak mówił można było wywnioskować, że pochodzi z Queens. Może z Woodside. Mieszkańcowi takiej dzielnicy wcale nie tak łatwo napędzić stracha. Facet otrząsnął się już z pierwszego zaskoczenia i wodził dokoła wzrokiem w poszukiwaniu czegoś, czym dałoby się rozwalić Burke'owi głowę. Najwyraźniej mogło się to skończyć rozlewem krwi.

Sięgnąłem po portfel. Wyciągnąłem pięćdziesięciodolarowy banknot — resztę ze sklepu, w którym kupiliśmy wykrywacz — i podsunąłem go facetowi pod nos.

— Proszę posłuchać. Zależy nam na tym, aby wszedł pan do studzienki. Byłbym zobowiązany, gdyby zrobił to pan bez oporu, przyjmując w zamian ten dowód wdzięczności. — Robotnik Con Ed z wahaniem popatrzył na pięćdziesiątkę.

Burke nie wytrzymał.

— Szkada pieniędzy. I tak wlezie do tej dziury.

— Ach tak? — Facet rzeczywiście musiał być z Woodside.

- Tak.
- Bierz pan forszę — powtórzyłem błagalnie.
- Dlaczego tak wam na tym zależy?

Burke złapał go za kłapy kurtki. Zaatakowany sięgnął do pasa i w jego dłoni błysnęły ciężkie kombinerki. Rozdzieliłem ich barkiem, wsunąłem pieniądze do kieszeni montera, po czym rzekłem:

- Wskakuj pan.
- Chcecie ukraść nasz wóz — skapował w końcu.
- Zgadza się.
- Co powiem chłopakom?
- Jeśli jest pan idiotą, to powie im pan o tej forsie za milczenie. Jeśli nie, zdoła pan coś wymyślić.

Monter schował kombinerki i bez dalszych dyskusji zszedł do studzienki. Chwyciliśmy z Burkiem leżące na ziemi stalowe haki i z ich pomocą założyliśmy żeliwną pokrywę wjazdu. Musiała ważyć dobre sto kilo. Potem uprzątnęliśmy barierki oraz znaki drogowe.

Kosiński wskoczył za kierownicę, obok niego usiadł Rifkins. Gdy tylko z Burkiem zajęliśmy miejsca z tyłu, Kosiński ostro ruszył naprzód.

18.

Na ulicy dojazdowej do Waterside utknęliśmy w korku. Przed nami stało czternaście czarnych limuzyn.

— I co teraz? — niecierpliwie zapytał Burke.

Na szczęście kawalkada wkrótce ruszyła. Po kilku minutach zajechaliśmy na nowiutki parking. Stanęliśmy na samym skraju, usiłując zachować jak największą odległość od stłoczonych jeden przy drugim wozów.

— Co się tutaj dzieje? — spytał zdumiony Burke, lecz na to pytanie żaden z nas nie potrafił udzielić sensownej odpowiedzi.

W czasie, gdy kradliśmy furgonetkę, ktoś zdążył wymalować na asfalcie żółte linie, a także wznieść trybunę na skraju placu. Teraz jakiś człowiek rozwijał kłęb kabla, łącząc zamocowane na podium mikrofony z wozem transmisyjnym.

— Raz, dwa, trzy — rzucił do jednego z nich, a wzmocnione przez głośniki słowa powróciły gromkim echem, odbite przez ściany wyrastających z ziemi bloków.

Na parking nieustannie przybywały nowe auta, przeważnie czarne, o urzędowym wyglądzie. Ich pasażerowie pozostawali w środku, zapewne dlatego, że na dworze było zimno. Zaledwie paru śmiazków skorzystało z ustawionych na trybunie krzeseł.

— Albo zwariowałem — stwierdził Burke — albo zaraz ktoś palnie mowę.

Kosiński oparł podbródek o kierownicę i patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem. Odchrząknął, jakby miał zamiar coś powiedzieć, lecz po chwili namysłu dał za wygraną.

Rifkins bębnił palcami po nosie, nie mogąc opanować nerwowego tikotu twarzy. Jego oczy z regularnością metronomu wędrowały między podium, a parkującym nie opodal wozem policyjnym. W końcu nie wytrzymał i trącił Kosińskiego łokciem.

— Zjeżdżajmy stąd — wyszeptał.

— Nie.

— Gliniarze zaraz nas nakryją.

— Nie nakryją.

— No to jak? — dopytywał się Burke. — Zbikowałem, czy naprawdę będą przemówienia?

Odpowiedziałem mu, powoli dobierając słowa:

— Mamy przed sobą podium, mikrofony oraz przykrytą brezentowym dachem trybunę. Dokoła pełno jest ludzi, którzy wyraźnie na coś czekają. Dlatego też przypuszczam, że nie zwariowałeś i zgadzam się z tobą, iż zapewne jesteśmy świadkami przygotowań do jakiejś uroczystości.

— Z jakiej okazji?

— Tutaj odpowiedź jest już mniej oczywista. — Miałem wrażenie, że pogrążony w głębokim śnie usiłuję sam sobie wytłumaczyć jego sens. — Tak naprawdę, nie widzę żadnego powodu do przemówień. Znajdujemy się na nowym parkingu pomiędzy czterema budującymi się blokami na brzegu East River, w samo południe mroźnego, zimowego dnia.

— Może to jest wiec polityczny — zasugerował Burke.

— Wątpię. Chyba że komuś szczególnie zależy na głosach mew i marynarzy, jednak, o ile mi wiadomo, ani mewy, ani marynarze nigdy nie mieli znaczącego wpływu na politykę miasta.

— Zjeżdżajmy stąd — powtórzył Rifkins. Nikt mu nie odpowiedział. Nagle rozległo się wycie syren. Przy jego wtórze na parking wpadło dwóch gliniarzy na motocyklach oraz pilotowana przez nich, udekorowana flagami limuzyna. Ze stojących samochodów jak na komendę wysypali się ludzie i gremialnie pośpieszyli na trybunę. Eskorta policyjna zajęła przed podium. W chwilę później z limuzyny wysiadł młody, atletycznie zbudowany chłopak i, pokonawszy dwa drewniane stopnie, stanął na

wprost mikrofonów. Gdy dołączył do niego jakiś starszy mężczyzna, rozległa się burza oklasków. Złożona z czterech mężczyzn i kobiety ekipa telewizyjna ostro zabrała się do pracy, rejestrując przebieg uroczystości.

Starszy z mężczyzn popukał w sitko mikrofonu. Lekki trzask w głośnikach świadczył o tym, iż wszystko jest w porządku. Zaczął przemawiać. Mówił o postępie, o budownictwie mieszkaniowym i osiągnięciach administracji obecnego burmistrza. W trakcie przemówienia kilkakrotnie pozwolił sobie na niewinne uwagi pod adresem stojącego obok młodego człowieka, na co zebrani za każdym razem reagowali śmiechem.

— Trafiliśmy na uroczystość nadania imienia — poinformowałem kolegów, nie bardzo wierząc we własne słowa.

— Co ma dostać to imię? — zainteresował się Burke.

— Posłuchaj.

Burke posłusznie nastawił ucha, a po chwili spojrział na mnie szeroko otwartymi oczyma.

— Czy ty słyszysz to samo, co ja?

Potwierdziłem ruchem głowy.

— A wy, chłopaki? — zwrócił się do Kosińskiego i Rifkinsa.

— Wprost nie mogę w to uwierzyć — przyznał Rifkins.

— On nadaje imię temu parkingowi — spokojnie stwierdził Kosiński.

Burke wydał z siebie westchnienie ulgi.

— Myślałem, że pochrzało mi się we łbie. Teraz już wiem, że to oni są stuknięci.

— Zobaczcie, nadciągają następni — wskazałem kolegom jeszcze jedną kolumnę aut w policyjnej asyście. W ekipie notabli, która z nich wysiadła, rozpoznałem kilka zapamiętanych z gazet twarzy.

— Taka impreza musi trochę potrwać — trzeźwo zauważył Kosiński.

Tymczasem już po chwili wydarzyło się coś, co dalsze czekanie uczyniło niemożliwym. Młodszy z mężczyzn, dorwawszy się w końcu do mikrofonu, przystąpił właśnie do omawiania podstaw opodatkowania klasy średniej, kiedy na plac z fasonem zajechała ciężarówka, mająca z boku napis „De Jay Fencing”. Z jej wnętrza wysypała się brygada robotników i zrzucono na ziemię kilkadziesiąt rolek siatki drucianej. Nie zwracając

najmniejszej uwagi na trwające przemówienie, robotnicy przystąpili do kopania dołków, w które natychmiast wstawiali metalowe słupki i zalewali całość betonem. Burke aż podskoczył.

— Przecież oni odetną nam wjazd na parking.

Wyglądało na to, że tym razem ma rację.

O odbyliśmy błyskawiczną naradę, co zaowocowało korektą planu. Kosiński, Burke i Rifkins odjechali w stronę centrum, natomiast ja zostałem na placu, aby śledzić rozwój wydarzeń i ostrzec kolegów, gdyby groziło im jakieś niebezpieczeństwo.

Minęło pół godziny, wypełnione kolejnymi pochwałami parkingu dla klasy średniej, usytuowanego w samym środku przeznaczonego dla tejże klasy osiedla. Pracująca w pośpiechu brygada zdążyła w tym czasie osadzić w ziemi słupki wzdłuż jednego boku prostokątnego placu. Coraz bardziej zdenerwowany, spoglądałem w głąb ulicy, którą miała nadjechać furgonetka Con Ed. Po upływie następnych dziesięciu minut na parking wtoczył się wolno rollswagen Jeannie. Zatoczywszy wielkie koło, Jeannie zaparkowała w odległym kącie, po czym, wysoka i zgrabna, z Howardem u boku skierowała się ku trybunie.

Widząc, że się rozgląda, wstałem z krzesła i pomachałem jej ręką. Zauważywszy mnie, pomachała w odpowiedzi i przyśpieszyła kroku. Przebycie parkingu i wejście na trybunę nie zajęło jej zbyt wiele czasu, a jednak uwaga publiczności skupiona teraz była wyłącznie na niej. Wszystkie oczy śledziły ją oraz Howarda z takim napięciem, jak gdyby oni i tylko oni dysponowali gotowym rozwiązaniem problemów mieszkaniowych na Manhattanie.

— Cześć, Kreciku — rzuciła wesoło. — Co jest grane?

Pocałowałem ją na powitanie.

— Zebrani tu ludzie nadawali imię temu parkingowi. Ale zjawiałaś się ty i teraz wszyscy zastanawiają się, czy aby nie oddać go tobie.

— To ładnie z ich strony, tylko że ja już mam garaż.

— Ten parking jest niezwykle cenny.

— To znaczy?

— Dosłownie jest wybrukowany złotem.

— Naszym złotem?

— Podkład pod asfalt. — W paru słowach wyjaśniłem jej, jak do tego doszło.

— I co teraz zrobicie?

— Już robimy — odparłem. — Widzisz?

Spojrzała we wskazanym kierunku.

— O co ci chodzi?

— Furgonetka Con Ed. Siedzi w niej Burke z resztą ekipy.

— A co to za pręt sterczy spod maski?

— Wykrywacz metalu. — Zgodnie ze zmodyfikowanym planem chłopaki przyspawali rurkę detektora do podwozia w taki sposób, by można nim było przeczesywać grunt bezpośrednio przed samochodem. Teoretycznie rzecz biorąc, mogli teraz krążyć po parkingu bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń, a umieszczony w kabinie brzączyk da im znać, gdy natrafią na złoto.

Na podium wstępowali coraz to nowi mówcy. Przyszły administrator osiedla tłumaczył stłoczonym na trybunie przedstawicielom władz miejskich, w jaki sposób Waterside stwarza szansę dostępu do mieszkań ludziom ubogim na równi z klasą średnią. Podczas jego wywodów samochód Con Ed przystąpił do regularnego przeczesywania parkingu. Poruszał się z prędkością ośmiu kilometrów na godzinę, a jego poczynania śledziło z pięćdziesięciu urzędasów oraz dziesięciu gliniarzy, którym poświęciłem szczególnie wiele, uwagi.

W pewnym momencie błękitno-biała furgonetka zaczęła zataczać koła, zmniejszając stopniowo ich promień. Błysnęły czerwone światła stopu i wóz natychmiast znieruchomiał, przysiadając lekko na amortyzatorach. Administrator przedstawił zebranym doradcę zastępcy burmistrza.

Z furgonetki wyskoczyli Burke, Kosiński oraz Rifkins. Nie tracąc ani chwili, zabrali się za rozstawianie barierek obwieszonych znakami ostrzegawczymi z wizerunkiem ludzi przy pracy. Rifkins dodatkowo otoczył wytyczony obszar kręgiem czerwonych słupków, które połączył wstęgą niebieskiego plastiku.

Burke uruchomił sprężarkę. Był to nowy, stosunkowo cichy model, toteż odgłosy pracy maszyny nie spowodowały żadnych zakłóceń w przebiegu uroczystości. Doradca zastępcy burmistrza podniósł nieco głos i ciągnął dalej.

Potem Kosiński wyciągnął młot, wetknął go sobie pod pachę i zbliżył się

do zaznaczonego przez Burke'a białego koła. Burke cofnął się z zapraszającym gestem. Kosiński ustawił młot na ziemi, wytarł dłonie o kombinezon, a następnie złapał za ręczki i naparł na urządzenie ciężarem całego ciała.

Gromowy loskot uderzył w pobliskie budynki, odbił się od nich i, niczym stado nietoperzy, spadł na trybunę. Zebrani na niej ludzie zgodnym ruchem zatkali sobie uszy. Doradca zastępcy burmistrza musiał zapewne krzyzczeć, gdyż bez przerwy poruszał szeroko otwartymi ustami, jednakże jego głos utonął bez reszty w panującym hałasie. Uświadomiwszy to sobie, nachylił się do ucha stojącego obok mężczyzny. Nie mam pojęcia jaki był początek wypowiedzianego zdania, lecz gdy Kosiński przestał kuć, publiczność na trybunie wyraźnie usłyszała jego zakończenie: „... wsadź mu to w dupę”.

Paru reporterów natychmiast pochyliło się nad notatkami. Doradca zastępcy burmistrza pobladł, a następnie normalnym tonem podjął przerwany wywód.

Kosiński popatrzył w moją stronę. Gestem ręki poleciłem mu, by pracował ciszej, ponieważ jednak dzieliła nas odległość około stu metrów, mój ruch został mylnie odczytany jako „wszystko w porządku”.

Młot zahuczał.

Uczestnicy uroczystości ponownie zatkali uszy, a doradca zastępcy burmistrza na próżno zdzierał sobie gardło przed mikrofonem. Rozwścieczony, odszedł na bok i krzyknął coś do towarzyszącego mu mężczyzny, ten zaś natychmiast podbiegł do najbliższego policjanta, gwałtownym gestem wskazując mu Kosińskiego.

Wstałem z miejsca i pomachałem Burke'owi. Gdy tylko na mnie spojrział, skierowałem jego uwagę na zmierzającego w stronę furgonetki gli-niarza. Burke zniknął na moment wewnątrz wozu, skąd wyłonił się zaopatrzonej w tablicę z widocznym z daleka napisem „Uwaga! Awaria”, którą niezwłocznie ustawił kilka kroków przed oznaczonym niebieską taśmą kręgiem.

Ujrzawszy tablicę, stróż prawa wrócił do stóp podium, gdzie wdał się w dyskusję z facetem, który chciał go napuścić na moich kolegów. Tymczasem Kosiński spokojnie kruszył asfalt. Teraz już wzrok wszystkich bez wyjątku powędrował ku furgonetce Con Ed, skąd rozlegało się nieustające dudnienie.

Doradca zastępcy burmistrza czekał z rękami wspartymi o biodra. Przy powiększającej się systematycznie dziurze czekali Rifkins i Burke. Pierwszy ścisnął w rękę kilof, drugi łopatę. Kosiński fachowo operował młotem, raz po raz odrywając duże kęsy stwardniałego asfaltu.

Wściekły doradca zeskoczył z podium i podbiegł do gliniarza. Ich rozmowa przypominała kłótnię. Odniosłem przy tym wrażenie, iż policjant zdecydowanie stoi na stanowisku, że usuwanie, awarii przez pogotowie Con Ed jest ważniejsze niż przydługie gadki zarabiających nieprzyzwoicie dużo miejskich urzędników. Połączone z wygrazaniem pięściami przepychanki trwały ładnych parę minut.

W końcu doradca zastępcy burmistrza nieznoszącym sprzeciwu gestem wskazał naszą furgonetkę i gliniarz dał za wygraną. Z rękami w kieszeniach spodni jeszcze raz ruszył ku pracującej brygadzie. Powtórzyłem natychmiast operację z machaniem, dodając tym razem ruch naśladujący podrzynanie gardła. Burke dostrzegł moje sygnały i poklepał Kosińskiego po ramieniu. Ten skinął głową, odłupał okazały płat nawierzchni i wyłączył młot. Nim dotarł do nich policjant, Burke z Rifkinsem zabrali się za ręczne oczyszczanie wykutego otworu, natomiast Kosiński otworzył drzwi z tyłu wozu i odstawił młot na miejsce. Gliniarz skierował się wprost do niego, zadał jakieś pytanie, a Kosiński twierdząco pokiwał głową. Odpowiedź musiała usatysfakcjonować gliniarza, gdyż zawrócił na pięcie, podszedł do podium i zapewne oznajmił doradcy, że hałasy się skończyły. Doradca podziękował mu uprzejmym ukłonem, po czym wspiął się na mównicę i, stojąc przed mikrofonem, podjął przerwany wątek.

Burke i Rifkins pracowali z godnym podziwu zapalem. Błyskawicznie usunęli resztki asfaltu poza obrys kolistej wyrwy o średnicy mniej więcej dwóch metrów. Potem Rifkins wzruszył kilofem sprasowany piasek podkładu, a Burke zaczął ostrożnie wyrzucać go na zewnątrz. Nagle odłożył łopatę, przyklęknął i rozgarnął dłońmi spulchnioną ziemię. Rifkins z Kosińskim, wyraźnie podnieceni, poszli w jego ślady.

- Coś znaleźli — powiedziała Jeannie.
- Znakomicie. — Miałem ochotę podbiec do nich, aby przekonać się o tym naocznie, jednak takie zachowanie z pewnością zwróciłoby uwagę

ludzi na trybunie. Dlatego też pozostałem na miejscu, z niecierpliwością czekając na koniec uroczystości.

Kosiński wsiadł do furgonetki i przestawił ją tak, by zasłaniała dziurę przed wzrokiem publiczności, a jej tylne drzwi znalazły się jak najbliższej ogrodzonego obszaru. Od tego momentu robota poszła taśmowo. Burke i Rifkins odkładali na asfalt wygrzebane z ziemi drogocenne kamyki, zaś Kosiński niezwłocznie przekładał je do wozu.

Piętnaście minut później doradca zastępcy burmistrza dobrnął do końca przemówienia. Wraz z paroma innymi urzędnikami miejskiej administracji zapakowali się do okazałej limuzyny, po czym odjechali w towarzystwie eskorty policyjnej. Ludzie na trybunie jak gdyby tylko na to czekali. Pośpiesznie wstali z miejsc i popędzili do zaparkowanych samochodów. Po następnych pięciu minutach mieliśmy cały plac wyłącznie do naszej dyspozycji.

Dopiero teraz, przemarznięci na kość, razem z Jeannie opuściliśmy zadaszone podwyższenie i skierowaliśmy się ku pojazdowi Con Ed.

Burke był w ekstazie.

— Znaleźliśmy je! Cały towar w jednym miejscu!

— Prawie cały — uściślił Kosiński. — Naprawdę mieliśmy szczęście.

Dzięki workom wszystko leżało blisko siebie.

— Ile tego jest? — spytałem.

— Siedemset osiem sztuk. Niemal połowa.

— Tu jest jeszcze więcej — wtrącił Rifkins. — Właśnie znalazłem nową porcję. — Wyszarpnął przemoczone strzepy worka i zaczął wyrzucać na asfalt wyłowione z piasku monety. Nie mogąc się powstrzymać, wskoczyłem do dziury, żeby mu pomóc. Jak się okazało, złotonośna warstwa zalegała na głębokości pół metra.

Pracowaliśmy we trójkę przez jakieś czterdzieści minut. Wydobyte bryłki przekazywaliśmy w ręce Kosińskiego bądź Jeannie, którzy otrząsali z nich nadmiar błota i składali w tyle samochodu. Wokół nas bez przerwy kręcił się Howard i obwąchiwał wszystkich z głośnym sapaniem, co bardzo denerwowało Burke'a. Gdy przez kilka minut nie natrafiliśmy ani na jedną bryłkę, rozprostowałem grzbiet i zapytałem Kosińskiego, ile monet uzbierał.

— Tysiąc sto cztery.

— Myślę, że więcej stąd nie wyciągniemy — odrzekłem. — Może wsiądziesz do samochodu i sprawdzisz detektorem, czy nie ma czegoś w pobliżu?

Kosiński z chęcią na to przystał. Udał się do kabiny, do mnie zaś podeszła Jeannie i pogładziła po głowie. Przyszło jej to bez trudu, gdyż, stojąc w zagłębieniu, byłem o pół metra niższy niż zwykle. Burke z Rifkinsem przysiedli na skraju wyrwy, rozmasowując sobie mięśnie karku.

Głośno warcząc, do Jeannie podbiegł Howard.

— Co się stało, mój mały? — zapytała.

Pies nie musiał odpowiadać, ujrzeliśmy bowiem wychodzącego zza furgonetki Kosińskiego. Miał podniesione do góry ręce i ponurą minę. Za nim cwałował wysoki mężczyzna w naciągniętym na głowę czarnym kapturze, a w jego dłoni połyskiwał pistolet.

19.

Czarny worek na głowie nieznanego miał jedynie wycięcia na oczy. Gdy przemówił, zasłaniająca usta tkanina zafalowała.

— Wskakujcie do dziury. — Trącił Kosińskiego lufą w plecy, a wolną ręką ponaglił Jeannie, która stała niczym słup soli. Kosiński ujął ją pod ramię i poprowadził obok siebie. Bandyta oparł się plecami o furgonetkę, czujnym wzrokiem mierząc całą naszą piątkę.

— Wszyscy na ziemię — zarządził cicho. — Tylko powoli.

— Kim ty do diabła jesteś? — spytał Burke.

— Twarzami do dołu, no już!

Howard cicho warknął. Widoczne w wycięciach oczy typa z pistoletem zamrugały nerwowo.

— Chyba będzie lepiej, jeśli zrobimy, co nam każe — stwierdziłem.

Kosiński kiwnął głową i klęknął w rozmiękłym błocie. Burke przyjął wojowniczą pozę.

— I tak z tym nie uciekniesz — powiedział.

— Czy to znaczy, że powinienem cię zastrzelić? — Spod kaptura wydobły się kłęby pary. Burke'owi wyraźnie zrzęda mina. Umiłkł i cofnął się o krok. Inicjatywę przejął teraz Howard: drgnął i stanął na nogi.

- Howard! — syknęła Jeannie. — Siad!
- Wszyscy kłaść się — powtórzył bandzior.

Kątem oka spostrzegłem, że Kosiński wpatruje się w łopatę. Błagałem w duchu opatrność, żeby po nią nie sięgnął. Pistolet wyglądał na automatyczną czterdziestkę piątkę, a z taką bronią nie ma żartów.

Klęknąłem, pociągając za sobą Jeannie, która wpatrywała się w Howarda, chyba nie zdając sobie sprawy z tego, że jest trzymana na muszce. Zawołała psa jeszcze parę razy, ale Howard nawet nie zamierzał do niej podejść.

— Odjeżdżam — oznajmił facet w kapturze. — Będę was obserwował w lusterkach. Zachowujcie się tak, żebym nie musiał strzelać.

Starając się nadać głosowi jak najspokojniejsze brzmienie, rzekłem:

— Bez nerwów. Nie chcemy, by kogokolwiek z nas spotkało coś złego.

Howard skierował się ku bandycie, który zeszytywniał i przywarł do furgonetki. Pies zjeżył się na grzbiecie, a uszy przywarły mu do głowy.

— Howard! — krzyknęła przerażona Jeannie.

— Zabierz go ode mnie — polecił nasz prześladowca pełnym napięcia głosem. Lufa pistoletu wędrowała nerwowo między Howardem a nami. Kosiński nieznacznie przesunął się ku łopacie.

— Proszę mi pozwolić go tutaj ściągnąć — powiedziała błagalnie Jeannie.

— Nie ruszać się! — ostro warknął zakapturzony osobnik. Chyba bał się, że lada moment straci panowanie nad sytuacją.

Howard zrobił kolejny krok.

— Proszę nie strzelać, ja go powstrzymam.

Bandyta zerknął na Jeannie, a w tym samym momencie palce Kosińskiego zacisnęły się na trzonku łopaty. Tamten facet musiał posiadać niezły refleks, gdyż wykonał błyskawiczny zwrot i znieruchomiał w półprzysiadzie z bronią wycelowaną w głowę Kosińskiego.

— Nie warto próbować.

Kosiński też był tego zdania. Posłusznie cofnął rękę, ale rozdrażniony nagłym ruchem Howard przekrzywił głowę i ostrzegawczo warknął. Typ w kapturze natychmiast wziął go na muszkę.

— Nie. — Jeannie z głośnym piskiem zerwała się na równe nogi i własnym ciałem zasłoniła Howarda. Rzuciłem się do niej i w tej samej chwili huknął strzał. Padłem na nią z góry, oczekując drugiego strzału. Przygniataliśmy psa, uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch. Uniósłszy głowę stwierdziłem, że spoglądam wprost w wylot lufy.

— Trzymajcie tak tego zwierzaka — polecił mężczyzna w kapturze. — A inni niech nie próbują wyłazić z dziury. — Uważając, by nie stracić nikogo z oczu, obszedł szerokim łukiem furgonetkę, wskoczył za kierownicę, zapalił silnik i z piskiem opon ruszył z miejsca.

Przytrzymałem Jeannie, dopóki samochód nie zniknął za najbliższym zakrętem. Potem wstałem i wypuściłem z płuc powietrze. Jeannie popłakiwała cicho, gładząc bez przerwy osmaloną plamę na sierści Howarda — jedyne obrażenie, jakie wyniósł z tej awantury. Miałem ochotę złać go dobrze. Omal przez niego nie zginęliśmy. Kula, która ominęła Howarda, mogła trafić Jeannie albo kogoś z nas.

Burke, Kosiński i Rifkins ryknęli jednym głosem. Widocznie otrząsnęli się z szoku szybciej niż ja, ponieważ przejmowali się wyłącznie stratą monet.

Rifkins nie posiadał się ze zdumienia.

— Skąd on wiedział?

— Kto to był? — zapytał Kosiński.

— I dokąd uciekł? — dodał Burke.

— Nic z tego nie rozumiem — oświadczył Kosiński, a jego słowa wyrażały odczucia nas wszystkich. Gość w kapturze musiał zapewne zauważyć, że coś tu wykopujemy. Skąd jednak wiedział, iż zbieramy monety? Skąd wiedział, że furgonetka Con Ed trafiła na parking w sposób niezupełnie zgodny z prawem?

— Musiał nas śledzić — zawyrokowałem.

— Ale dlaczego? — W oczach stojącej naprzeciw mnie trójki dorośłych mężczyzn zabłysły łzy.

— Może dowiedział się o monetach?

— Przecież nikt o nich nie wie — prychnął Burke.

— A właśnie, że wie. Chociażby Harry Holtzman — geszefciarz, od którego dostaliśmy pieniądze.

— Załatwmy go — wrzasnął Burke.

- Czekał, jest jeszcze jeden facet. Sean Garfield.
- Kto to taki?
- Opowiedziałem im o Niezwykłym Numizmatyku.
- Jego też załatwimy. Kto wie, czy obaj nie byli w zмовіе. — Czerwony z wściekłości Burke nie mógł ustać na miejscu.
- Reese — Kosiński dorzucił następne nazwisko. — I tamten typ z muzeum.
- Byron? — upewnił się Burke.
- Tak, chociaż nie sądzę, żeby to była ich sprawka.
- Załoga holownika — podsunąłem — ale ich też raczej bym nie podejrzewał.
- Czy jeszcze ktoś?
- Sprzedawca ze sklepu sportowego?
- Bardzo wątpię — kategoriycznie stwierdził Kosiński, a ja przyznałem mu rację.
- Burke spojrział mi prosto w oczy.
- Czy wyliczyłeś już wszystkich, ty gaduło?
- Coś się do mnie przyczepił, Burke?
- Ja nie rozpowiadam całemu światu o naszych monetach, Creegan.
- Ja też nie.
- Dalszą dyskusję przerwał nam Kosiński.
- Spokój — zarządził. — No to jak, Creegan? Czy o naszym skarbie wie ktoś jeszcze?
- Nie — odparłem po chwili namysłu. — Tylko ci dwaj handlarze monet, może Reese i Byron, oraz ewentualnie załoga holownika. Najwięcej wiedzieli jednak handlarze.
- I nikt więcej nie mógł się dowiedzieć? Jesteś tego pewien?
- Jestem.
- A ty? — Kosiński zwrócił się do Jeannie. — Nikomu nie mówiłaś?
- Spojrzała na niego niezbyt przytomnie i pokręciła głową. Z jej oczu wciąż jeszcze wycierał strach. Co do Howarda, to uspokojony bliskością pani, zgodnie ze swym zwyczajem natychmiast zapadł w sen.
- Bierzmy się za handlarzy — nawoływał Burke. — No już, biegnijmy. — Nie oglądając się za siebie, popędził w stronę Pierwszej Alei. Ponieważ żaden z nas nie wpadł na lepszy pomysł, poszliśmy w jego ślady.

Burke zyskał nad nami znaczną przewagę, toteż zanim dopadliśmy go, zdążył już zatrzymać taksówkę. Otworzył drzwi i krzykiem ponaglał nas do pośpiechu. Kierowca usiłował przekonywać, że nie może zabrać tylu pasażerów, ale nikt go nie słuchał. Wpakowaliśmy się do wozu.

— Róg Czterdziestej Siódmej i Czterdziestej Szóstej — rzuciłem. — Szybko. — Było już po czwartej i na dworze zaczynało zmierzchać. Na ulicach panował straszny ruch, więc przejazd przez miasto trwał ponad dwadzieścia minut. Dostatecznie długo, byśmy zdążyli podyskutować o szczęśliwym zbiegu okoliczności, który sprawił, iż kula bandyty nie trafiła nikogo z nas.

Próbowałem wyobrazić sobie Harry'ego Holtzmana planującego kradzież monet, lecz zupełnie mi się to nie udawało. Wiedziałem, że byłoby błędem wyciągać zbyt daleko idące wnioski z miłej rozmowy, jaką z nim przeprowadziłem, niemniej jednak staruszek zdobył moją sympatię i zaufanie. Nasze monety musiał rąbnąć Sean Garfield.

— Gdzie on jest? — spytał Burke, krocząc u mego boku po Czterdziestej Siódmej.

— Sklep Garfielda jest już gdzieś tutaj. Sklep Holtzmana znajduje się nieco dalej.

— O, mamy go — ryknął Burke. Złapał za klamkę drzwi opatrzonych napisem „Handel monetami”.

— Nie. To nie ten.

— No to który?

— Myślę, że któryś po drugiej stronie ulicy.

— Myślisz?

Prawdę powiedziawszy, straciłem pewność siebie. Nigdzie nie mogłem dostrzec sklepu Garfielda. Przystanąłem, by się zastanowić.

— On nie może trafić w tamto miejsce — poinformował Burke Rifkinsa, Kosińskiego i Jeannie, którzy właśnie do nas dołączyli.

— Dlaczego? — zdziwił się Rifkins.

— To było gdzieś tutaj. Przechodziłem tędy dwa dni temu. — Spojrzałem na ciąg wystaw sklepowych. Przed sobą miałem jakiś inny sklep z monetami, dalej sklep filatelistyczny, salon masażu, lokal oferujący tanie aparaty fotograficzne i sklep ze sprzętem hi-fi. Następny w szeregu był bar, za nim kolejny sklep ze znaczkami, jubiler oraz sklep z walizkami. Obok niego dostrzegłem witrynę Harry'ego Holtzmana. — Co jest, do

diabła... Musiałem coś przeoczyć. Wracamy w stronę Szóstej.

Wszyscy oprócz Jeannie zaczęli ze mnie pokpiwać, i to nie przebierając w słowach. Zignorowałem ich, bez reszty pochłonięty oglądaniem sklepów. Nigdzie ani śladu lokalu Garfielda. Czyżbym pomylił przecnicę? Nie, to nie wchodziło w rachubę. Przecież znalazłem sklep Holtzmana, a byłem pewien, że oba znajdowały się na tej samej ulicy. Poszedłem jeszcze raz w miejsce, gdzie, jak mi się wydawało, powinien urzędować Garfield. Sklep z monetami dosłownie zniknął. Sklep ze znaczkami, salon masażu, sklep z tanimi aparatami... Zaraz, zaraz, nie pamiętałem, żebym za pierwszym razem widział tutaj salon masażu. Przyjrzałem się temu przybytkowi ze wzmożoną uwagą.

Nad zasłoniętym ciemną kotarą oknem widniał czerwony napis:

GIRLS GIRLS GIRLS GIRLS GIRLS.

Nieco niżej żółty slogan zapewniał: „Powiedz, czego potrzebujesz — a my ci to damy”.

Pod nim, wypisane odręcznie, widniało hasło: „Edwardiańskie Uciechy”.

Zaś na samej szybie, niewidoczne na pierwszy rzut oka, eleganckie, czarno-złote litery układały się w staroświecki szyld: Sean Garfield — Niezwykły Numizmatyk.

— On się ulotnił — powiedziałem.

— Kto?

— Garfield. Wygląda na to, że sprzedał swój interes, a nowy właściciel urządził tutaj salon masażu.

— To ta buda? — spytał Burke.

— Tak.

Otoczyli mnie ciasnym kołem, a ich pełne smutku spojrzenia wędrowały co chwila na drugą stronę ulicy, ku połyskującemu czerwienią GIRLS GIRLS GIRLS GIRLS GIRLS.

— Może będą tam wiedzieli, dokąd się wyniósł — podsunęła Jeannie.

— Wątpię.

— Zapytajmy — zdecydował Burke.

Przeszliśmy przez ulicę. W drzwiach salonu powitał nas odpicowany na wysoki połysk Murzyn.

— Dżentelmeni, tutaj każdy znajdzie coś dla siebie. Zapraszam do środka. Dziewczęta są wspaniałe. Cena rozsądna. Czas odpowiedni.

Od razu przeszedłem do rzeczy.

— Czy to pan tutaj rządzi?

Goguś zmrużył oczy.

— Pytam — ciągnąłem niezrażony — ponieważ szukam poprzedniego właściciela tego lokalu.

— Nigdy go nie spotkałem. Jednakże, jeśli zaszczycicie nasz zakład swoją obecnością, będziecie mogli popytać wśród dziewcząt. A gdyby nawet żadna z nich nic nie wiedziała, to przy okazji moglibyście nieco się rozerwać.

— Dobry pomysł — stwierdził Burke. — Może byśmy tak weszli do środka i trochę się rozejrzeli?

— A co ze mną? — spytała Jeannie, wylaniając się spoza pleców Rifkinsa i Kosińskiego. Czarnoskóry elegant dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej obecności.

— Witamy, witamy — powiedział. — Przepraszam panów na moment... Kochanie, oferujemy ci stałą pracę za duże pieniądze. Powiedz, jakie godziny ci pasują. Dostosujemy się do ciebie.

Jeannie nie wyglądała na przekonaną.

— No już, wchodzimy — niecierpliwił się Burke.

— Nie po to tu przyszliśmy — zauważył Rifkins.

— Przecież sam słyszałeś, że dziewczyny mogą coś wiedzieć.

— Już ja to sobie wyobrażam.

Naganiacz zwrócił się do Jeannie.

— I co ty na to, kochanie? Z takim wyglądem zwiniesz tygodniowo trzy do czterech setek.

— A co będzie z moim przyjacielem? — Jeannie wypchnęła przed siebie Howarda. Elegant szeroko otworzył oczy, ale zaraz się opanował.

— Znajdziemy coś i dla niego.

— Chcę sprawdzić ten lokal — obstawał przy swoim Burke.

— Nie.

— Czy on ma duże doświadczenie? — zapytał Murzyn, wskazując Howarda.

— Nic profesjonalnego.

— A ty?

— Podobnie.
— Chyba pójde pogadać z Holtzmanem — wtrąciłem. — Tutaj się niczego nie dowiemy.

— Ja wchodzę — postanowił Burke.

— Jak chcesz. Wracam za parę minut. — Dotknąłem ramienia Jeanne. — Napisz, jeśli dostaniesz pracę.

— Nigdzie się stąd nie ruszę.

Naganiacz usłyszał jej słowa i w końcu pojął, że Jeannie robi sobie z niego ubaw. Idąc w stronę sklepu Holtzmana, usłyszałem, iż powrócił do swojej starej śpiewki. — Zapraszamy do środka. Zapraszamy do środka. Cena rozsądna. Czas odpowiedni.

Harry właśnie zamykał sklep.

— Cześć — powiedziałem. — Masz chwilę czasu?

— Ale tylko chwilę. Jeszcze nie sprzedałem żadnej z waszych monet.

Patrząc mu prosto w oczy, rzekłem:

— Jestem tu z innego powodu.

— Tak?

— Gdzie jest Garfield?

— Wyjechał.

— Widziałem salon masażu. Gdzie on się podziewa.

— Nie wiem.

— Dlaczego sprzedał interes?

— Nie jestem pewien, czy to zrobił. Mógł się tylko przenieść.

— Musiałbyś o tym wiedzieć.

Harry zaczął się denerwować.

— Ale nie wiem.

— Czy jego zniknięcie było dla ciebie zaskoczeniem?

— Nie wiedziałem o tym wcześniej, jeśli o to ci chodzi.

— Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

— Po cóż te wszystkie pytania, młody człowieku?

— Ktoś ukradł mi pewną rzecz. Sądzę, że to mógł być on.

— Jest to raczej mało prawdopodobne.

— Sam powiedziałeś, że to oszust.

— Są oszuści różnego rodzaju. Sean to oszust, który nie kradnie.

— Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

— Już ci mówiłem, że on nie byłby zdolny do kradzieży.

— Ktoś ukradł mnóstwo złotych monet należących do mnie i moich przyjaciół.

Harry szerzej otworzył oczy.

— Znaleźliście więcej?

— Dużo więcej. To musiał być on. O monetach wiedziały tylko dwie osoby. Ty i on.

— Dlaczego w takim razie nie oskarżasz mnie?

— Ty wciąż tu jesteś, natomiast on zniknął w pośpiechu. Gdzie on jest?

Harry potarł oczy i westchnął ciężko.

— Wprost nie mogę w to uwierzyć.

— Ja też.

— Cóż ci przyjdzie z tego, że dowiesz się, gdzie go znaleźć? Przecież nie zawiadomisz policji. W gruncie rzeczy, wy również dokonaliście kradzieży.

— Niestety, zdaję sobie z tego sprawę. Ale to był rabunek z bronią w rękę. Ja i moi przyjaciele chcemy odzyskać naszą własność.

Harry westchnął.

— Był tutaj wczoraj. Oddał mi pieniądze, niewielką sumę. Czekałem na nie od roku i straciłem nadzieję, że kiedykolwiek je odzyskam.

— Czy powiedział, dokąd się wybiera?

— Nie.

— Nie pytałeś?

— Myślałem, że wróci prosto do sklepu. Kiedy wyszedłem na lunch, spostrzegłem tamtą tablicę — GIRLS GIRLS GIRLS. Dopiero wówczas pojąłem, że się wyniósł.

20.

Nie Kocham cię i nigdy nie kochałem.

- Chyba nie mówisz tego poważnie?
- Jak najpoważniej.
- Najdroższy! Jesteśmy ze sobą siedemnaście lat i przez cały ten czas w ogóle mnie nie kochałeś?
- No, może kiedyś.
- Kiedy? Kiedy?
- No... — Przewróciłem kartkę, lecz nie mogłem odnaleźć właściwej linijki.
- Kreciku — powiedziała Jeannie. — W ten sposób wcale mi nie pomagasz.

Cisnąłem skrypty na stół i podszedłem do barku, żeby uzupełnić zawartość szklanki.

- Chcesz jeszcze jednego?
- Nie. Biermy się do roboty, Kreciku. Muszę dziś skończyć to nagranie.
- Przepraszam. Nie mogę się skoncentrować. Wyłączyła magnetofon, podeszła i objęła mnie.
- Co się gryzie, malutki?
- A jak myślisz! — Wypiłem duszkiem pół szklanki szkockiej, po czym podjąłem próbę odzyskania wolności. — Straciłem dziś majątek. Muszę go odszukać.

— Odszukasz go.
— Niby jak?
— Wymyślisz coś. Razem coś wymyślimy. Garfield nie mógł ot tak, po prostu, rozpląnąć się w powietrzu. Znajdziemy go i odbierzemy mone-ty. Ale teraz muszę nagrać tę scenę. — Pocałowała mnie lekko, a ja zrezy-gnowałem z dalszej szamotaniny. — No chodź, malutki, dokończymy to. Oczyszczisz w ten sposób umysł, a jutro weźmiemy się za Garfielda. — Za-brała mi szklanekę, podprowadziła do stolika i wcisnęła do ręki skrypt. — Zaczynij od: „No, może kiedyś”.

Zrobiłem, jak mi kazała. Zagłębiliśmy się w tekst kolejnej sceny ze sztuki Lorena, nagrywając ją na taśmę, aby autor, przesłuchując ją póź-niej, mógł poprawić dialogi. Doskonale wiedziałem, że wiele brakuje tej sztuce i dialogi nie są tu największym problemem. Ponieważ jednak Jean-nie nalegała, abyśmy przeczytali tekst do końca, a podejrzewam, iż trak-towała to jako rodzaj mającej mnie uspokoić terapii, cierpliwie brnąłem dalej.

Wychodząc od Harry'ego Holtzmana, byłem pewien, iż niczego przede mną nie ukrył. Jeannie czekała na chodniku pod drzwiami GIRLS GIRLS GIRLS. Powiedziała, że Burke siedzi w środku, natomiast Rifkins z Kosiń-skim, mając wszystkiego dosyć, wycofali się do pobliskiego baru White Rose.

Odnaleźliśmy ich bez trudu. Dosiadłszy się do ich stolika, zrelacjono-wałem przebieg rozmowy z Holtzmanem. Obaj milczeli jak zakłęci. Z uro-czystymi minami przekazali sobie butelkę carstairs rye, której zawartością najwyraźniej nie mieli ochoty podzielić się ze mną. Zagadywałem ich jesz-cze przez parę minut, aż w pewnym momencie Rifkins bez słowa podniósł na mnie przekrwione oczy. Zrozumiałem, że ani on, ani Kosiński nie mają ochoty na pogawędkę. Widząc, iż nic tu po mnie, pożegnałem się i wysze-dłem.

Razem z Jeannie i Howardem pojechaliśmy zwrócić wypożyczoną fur-gonetkę, a gdy już to załatwiliśmy, przenieśliśmy się do jej mieszkania.

— Myślę, że oni są na ciebie wściekli — powiedziała.
— Nie mają prawa — odburknąłem. — Gdyby nie ja, w ogóle nic by się nie wydarzyło.
— Otóż to — stwierdziła Jeannie.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, zatkała mi usta dłonią i poprosiła, żebym zabrał ją gdzieś na kolację. Wyjaśniłem, że jestem splukany. — Wobec

tego ja cię zapraszam — odrzekła bez namysłu.

Kiedy po wieczorze na mieście z powrotem wyładowaliśmy u niej, zagoniła mnie do czytania fragmentu sztuki Lorena, opatrzonej roboczym tytułem *Tragedia w powiecie Nassau*.

W kulminacyjnym punkcie odgrywanej przez nas sceny, Hubert — osobnik, w którego się wcieliłem — tłucze swą niekochaną żonę. Oczywiście, nawet nie dotknąłem Jeannie, ona jednak swoją kwestię — „Nie, nie, nie bij mnie” — odczytała z takim zaangażowaniem, że do pokoju, szczerząc wściekle kły, wpadł Howard. Struchlałem.

Jeannie błyskawicznie złapała go za szyję i dłuższą chwilę tłumaczyła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Dopiero wówczas Howard zdecydował się odmaszerować, posławszy mi uprzednio ostrzegawcze spojrzenie. Odetchnąwszy z ulgą, sięgnąłem po szklanke.

— Dla mnie też — poprosiła Jeannie. Zrobiłem jej drinka.

— Dobrze czytasz — pochwaliła.

— Dzięki. — Była dla mnie zbyt wyrozumiała. We własnej opinii, czytałem fatalnie. Parę razy pomagałem jej przygotować rolę i zawsze czułem się wówczas sztywny, nienaturalny.

— Ale ja naprawdę tak uważam. Świetnie sobie radzisz z rolą Huberta.

— Chcę dostać moje złote monety.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — ryknąłem, całkowicie wyprowadzony z równowagi jej zaskakującą postawą.

— Tak, dlaczego?

— Bo są moje, oto dlaczego.

— Tak naprawdę, wcale nie były twoje.

— Znalazłem je, cholera jasna, a Burke, Kosiński i Rifkins pomogli mi wydobyć skarb na powierzchni. Jestem właścicielem mojej części.

Przypatrywała mi się z powątpiewaniem.

— Ponadto, Jeannie, tak się składa, że nie zarabiam na życie aktorstwem czy występami w reklamach. Szufłuję pod ziemią błoto i to zajęcie wcale nie przynosi mi kokosów. Chciałbym mieć trochę pieniędzy.

Nie rzekła ani słowa, tylko przypatrywała mi się z uprzejmym zainteresowaniem.

— Dlaczego, do diabła, zadajesz mi takie głupie pytanie?

— Czy zauważyłeś, że ten Garfield, czy ktokolwiek to był, miał broń i omal nas nie zabił? Nie sądzisz, iż taki typ zdolny jest zabić każdego, kto spróbuje odebrać mu to złoto?

— Pewnie tak.

— A czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że nie chcę, abys dał się zastrzelić?

— Chyba tak. A czy zastanowiłaś się, iż mogę potrzebować tych pieniędzy, żeby raz na zawsze wyrwać się z tunelu, gdzie również ciągle grozi śmierć?

— Czemu nie pomyślałaś o tym, żeby po prostu rzucić tunel i zająć się czymś innym?

— Na przykład czym?

— Czym zechcesz. Jesteś bystry. Jesteś młody. Widziałeś trochę świata. Jeszcze nie przekroczyłeś trzydziestki, a zachowujesz się tak, jak gdyby te monety były twoją jedyną szansą życiową.

— Bo są. Najlepszą, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła.

Niecierpliwie pokręciła głową.

— Gdyby nie historia z tym złotem, pozostałbyś w tunelu na zawsze.

— I cóż w tym złego? — Czuję, że do czegoś zmierza, lecz na razie nie miałem pojęcia, co to może być.

— Nic, jeśli o mnie chodzi. To ty chcesz się stamtąd wydostać.

— Nie takie to proste.

— Kreciku. Czy nie wiesz, że możesz zrobić wszystko, co zechcesz?

Słowa te, w połączeniu z wyrazem jej twarzy, mocno mną poruszyły.

— Łatwo ci tak mówić, bo żyjesz w innym świecie. Nie wiesz, jak to jest naprawdę. — Byłem rozszalony i wściekły, iż zamiast szukać monet, czytamy sztukę Lorena. Jeannie nie rozumiała, ile to złoto dla mnie znaczy. — Tobie się udało — powiedziałem. — Mnie wcale nie musi.

Jej twarz oblał rumieniec.

— Nie gadaj głupot. Całymi latami musiałam dobrze ruszać głową, żeby stanąć w tym mieście na nogi. Ty boisz się zmiany. Boisz się, że przegrasz.

Dotknięty do żywego, spróbowałem się odgryźć:

— Może ruszałaś nie głową lecz inną częścią ciała. — Natychmiast pożałowałem swych słów, lecz wisiały już one w powietrzu, niczym wypuszczony przez beztróskie dziecko balon.

Jeannie zbladła.

— Wynoś się z mego mieszkania.

Poczułem bolesny skurcz w żołądku.

— Przepraszam — wymamrotałem. — Wcale tak nie myślę. Nie powinienem był tego mówić.

— Wynoś się — powtórzyła.

Wyjąłem z szafki kurtkę. Jeannie siedziała nieruchomo na kanapie, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— No to do zobaczenia.

Gdy otworzyłem drzwi, wstała. Spojrzałem na nią z nadzieją. Usiłując zapanować nad łzami oraz drzeniem głosu, powiedziała:

— Nigdy czegoś takiego nie zrobiłam. Nigdy.

— Wiem. Przepraszam. Wcale tak nie myślałem.

— A właśnie że tak.

— Nie.

— Byłam kelnerką, szatniarką, prowadziłam taksówkę. Mieszkałam w wynajętym pokoju, ale nigdy się nie poddałam.

— Wiem.

— Nie wiesz. Spadaj, Kreciku.

Dowlókszy się do mego pokoju w domu czynszowym, padłem na łóżko i zapatrzyłem się w sufit. Ze zdumieniem myślałem, jak mogłem być aż tak głupi i nieczuły, zastanawiałem się, ile jeszcze mogę stracić w ciągu godziny i dziesięciu minut, jakie pozostały do końca tego najgorszego dnia w moim życiu.

Naszła mnie chęć, żeby wstać i zagotować wodę na kawę, ale szybko zrezygnowałem. Przy dzisiejszym szczęściu spowodowałbym pewnie zwarcie w kuchence elektrycznej, a wywołany nim pożar szybko strawiłby cały dom. Pozostałem na łóżku i ułożyłem w myślach dwie listy. Pierwsza była krótka i przygnębiająca. Druga, dłuższa i tajemnicza.

Listę numer jeden otwierała Jeannie. Tuż za nią znajdowali się Rifkins oraz Kosiński. Przypuszczałem, iż należało na nią wciągnąć także Burke'a, nie miałem wszakże okazji tego sprawdzić, ponieważ nie widziałem go od momentu, gdy zniknął w GIRLS GIRLS GIRLS. Tymczasowo wciągnąłem

na listę również Harry'ego Holtzmana. Wszystkie wymienione tu osoby miały powody, żeby się na mnie wściekać.

Po chwili namysłu uznałem, że do tej kategorii należałoby jeszcze zaliczyć Metropolitan Tunnel Company. W końcu to ja, w znacznej mierze, przyczyniłem się do wywołania strajku, który zablokował Long Island Railroad Tunnel. Jedyną osobą z listy numer jeden, na której mi zależało, była Jeannie. Dla spokoju sumienia dodałem jeszcze Jonesa, Ericssona oraz Ginka, których przegoniłem aż na Manhattan, obiecując zlecenie na holowanie, z czego ostatecznie nic nie wyszło. Zestawienie okazało się dłuższe, niż przypuszczałem.

Zostawiłem je w spokoju, koncentrując się na liście numer dwa. Byłem przekonany, że gdyby udało mi się wytypować z niej właściwą osobę, większość ludzi z listy numer jeden zmieniłaby swój stosunek do mnie. Zrobiliby to wszyscy z wyjątkiem Jeannie. Na razie nie miałem pojęcia, w jaki sposób mogę ją odzyskać.

Jako pierwszy na listę numer dwa trafił Sean Garfield. Prawdę powiedziawszy, przez dłuższy czas jego nazwisko pozostawało jedynym, które pasowało do mojej koncepcji. Lista ta miała odpowiedzieć na pytanie, kto ma moje monety. Tylko dlatego zależało mi, by umieścić na niej więcej osób, ponieważ Garfield wydawał się zbyt idealnym podejrzanym. Uznałem za rozsądne bardziej zgłębić temat, by przypadkiem nie przeoczyć prawdy. Zacząłem zastanawiać się, kto jeszcze mógł wiedzieć, iż monety ukryte są w Waterside. Ericsson, Jones i Gink mogli coś podejrzewać. Całą prawdę znali Burke, Kosiński i Rifkins. Tak samo Jeannie. Tylko że w chwili napadu zarówno ona jak i tunelarze znajdowali się u mego boku.

Kto jeszcze? O naszym odkryciu wiedział Harry Holtzman, który wziął monety w komis. Reese wiedział, że coś się wydarzyło, nie miał jednak pojęcia, co to takiego. Archibald Byron także miał wobec nas jakieś podejrzenia. Ciekawe, czy któryś z nich, śledząc mnie, nie trafił do Waterside.

Zacząłem od Reese'a. Przyjmijmy, że śledził mnie owej nocy, gdy wybuchł strajk. Nawet jeśli gonił pędzący po Roosevelt Drive samochód Jeannie, nie mógł się w ten sposób niczego dowiedzieć. A gdyby, jakimś cudem, zdołał pójść za mną następnego dnia, zgubiłby mnie w momencie,

kiedy wskoczyłem na pokład „Sadie Brown”. Oczywiście, gdyby był człowiekiem szczególnie inteligentnym, wpadłby na to, w jaki sposób wysłaliłby złoto na górę, a wówczas bez trudu mógłby ustalić, dokąd odpłynęła barka z urobkiem. Prawdopodobieństwo takiej wersji było całkiem nikłe. Postanowiłem tymczasem odrzucić kandydaturę Reese'a.

Harry Holtzman miał o wiele większe szanse. Mógł czekać na nas pod bankiem, niepostrzeżenie śledząc dotrzeć do agencji wypożyczającej samochody i dalej, aż do Waterside. Spróbowałem wyobrazić sobie Harry'ego w roli wywiadowcy. Za mało o nim wiedziałem, by podjąć ostateczną decyzję, dlatego też na razie pozostał na liście.

Ericsson, Jones i Gink. Znali dokładnie lokalizację monet, ale nie wiedzieli, że to o nie właśnie chodzi. Dlaczego nie wrócili na plac budowy pod osłoną ciemności? Byłoby to zgodne z ich naturą szabrowników. Dlatego też uwzględniając to, co wiedzieli, tymczasowo zostawiłem ich na mojej liście.

Pozostał jeszcze Archibald Byron. Podobnie jak Reese, nie miał pojęcia o lokalizacji monet. W kręgu podejrzanych umieściłem go wyłącznie dlatego, że wiedział o odkryciu, a także uciekł się do kłamstwa, mówiąc o prawnikach. Będę musiał odwiedzić go w muzeum. Do tego czasu pozostanie na liście.

Uznawszy spis za zamknięty, podjąłem próbę rekonstrukcji samego napadu. Bandyta był wysoki, średniej budowy ciała i wyglądał na przestraszonego. Broń wyraźnie drżała w jego dłoni, co, moim zdaniem, świadczyło o amatorstwie. Jego lęk, czy też nerwowość, spowodowane były nie tylko groźną bliskością Howarda. Gdyby bowiem zawodowiec doszedł do wniosku, że pies mu przeszkadza, zastrzeliłby go bez wahania. Przecież ten typ wręcz prosił, żebyśmy powstrzymali Howarda, więc albo przy robocie zwykle nie używał broni, albo bał się, że może chybić.

Kto z mojej listy najlepiej pasował do tego opisu?

Szybko okazało się, że nie mam zbyt dużego wyboru. Harry Holtzman był za niski. Reese za gruby. Jones miał ciemną skórę, zaś Gink był zdecydowanie za chudy.

Ericsson mniej więcej pasował. Usiłowałem przypomnieć sobie, czy, podobnie jak on, bandyta miał spracowane dłonie, lecz akurat ten szczegół umknął mojej uwadze.

Archibald Byron również był odpowiedniego wzrostu. Jeśli chodzi o posturę, pasował wręcz idealnie. Ale jeśli to był on, musiał zmienić głos, ponieważ bandyta mówił bez najmniejszego śladu brytyjskiego akcentu.

No i wreszcie Garfield. Też pasował jak ulał. Sytuacja doprawdy wkurzająca, bo najbardziej obciążony spośród wszystkich podejrzanych najspokojniej w świecie sobie zniknął.

Zegar wskazywał wpół do pierwszej. Ponieważ najgorszy dzień mego życia miałem już za sobą, odważyłem się zaparzyć kawę.

Sączyłem powoli gorący płyn, kiedy do głowy przysła mi jeszcze inna ewentualność. Wspólnik. Bandyta mógł przecież działać w zмовie z którymkolwiek podejrzanym z mojej listy. W takim przypadku należało wrócić do punktu wyjścia i z jednakową powagą potraktować Garfielda, Holtzmana, Reese'a, Byrona, Rifkinsa, Kosińskiego, Burke'a, Ericssona, Jonesa, Ginka, a nawet drogą Jeannie. Na myśl o tym, bliski byłem załamania, ale w końcu całkowicie odrzuciłem taką wersję wydarzeń. Przede wszystkim, taki wspólnik musiał być osobą absolutnie godną zaufania. W przeciwnym bowiem razie, dokonawszy rabunku, mógłby umknąć razem z monetami. Wymóg ten z pewnością eliminował nas wszystkich, którzy w trakcie napadu staliśmy z rękami uniesionymi do góry.

Ostatecznie pozostałem przy moich trzech najlepszych podejrzanych. Jutro odwiedzę Ericssona, wpadnę do Byrona w muzeum i spróbuję namierzyć Garfielda.

21.

Z samego rana zadzwoniłem do pracy. Facet ze związku powiedział, że strajk wciąż jeszcze trwa i że nad przyłączeniem się do nas debatują budowlańcy. Zaproponował też, żebym wpadł na Welfare Island i wziął udział w pikiecie. Obiecałem mu, że postaram się, i odłożyłem słuchawkę.

Wyszedłem z domu prosto w zimny, szary ranek.

Nim przystąpiłem do realizacji obmyślonego w nocy planu, zjadłem śniadanie w barze przy Queens Boulevard. Potem zatelefonowałem do Sadie Brown — Przedsiębiorstwa Holowania i Ratownictwa. Odebrała jakaś kobieta, która na moje pytanie odrzekła, że Ericsson przebywa gdzieś na rzece. Poprosiła, żebym podał swój numer, to przekaże go na holownik przez radio. Wy tłumaczyłem jej, iż nie mam własnego telefonu. Zaproponowałem, aby zawiadomiła szyprą, że chcę z nim się spotkać w wybranym przezeń czasie i miejscu. Pożegnaliśmy się, uwzględnivszy uprzednio, iż zadzwonię jeszcze raz po południu.

Następnie zadzwoniłem do Harry'ego Holtzmana. Chciałem się upewnić, czy przypadkiem nie ma jakichś wiadomości o Seanie Garfieldzie. Ponieważ nie miał, nie tracąc więcej czasu, przedostałem się autobusem na drugi brzeg i przejechałem metrem wzdłuż Lexington Avenue do Osiemdziesiątej Szóstej, skąd już pieszo przebyłem resztę drogi do Metropolitan Museum of Art.

Muzeum miało swoją siedzibę w okazałym, starym gmachu, oszpeconym przez ustawione w pobliżu wejścia nowoczesne tablice, reklamujące odbywające się tu wystawy. Czas jakiś wędrowałem po wysokich salach, chłonąc atmosferę tego miejsca. Potem odszukałem dział numizmatyki, a w nim kolekcję hiszpańskiego złota. Doskonale wypolerowane, rozrzucone na błękitnym aksamicie krążki bardziej przypominały ozdoby jubilerskie niż monety. Patrząc na ich nieregularny kształt, przypomniałem sobie wykład Harry'ego, że w owych czasach w monetach najważniejsza była waga oraz czystość kruszcu.

Otrząsnąwszy się z zadumy, podszedłem do strażnika i spytałem, czy przypadkiem nie zna niejakiego Archibalda Byrona. W odpowiedzi usłyszałem, iż jest on naczelnym numizmatykiem muzeum. Powiedziałem, że bardzo mi zależy na spotkaniu z nim, na co strażnik bez oporów zaprowadził mnie do pobliskiego biura.

Zapytałem sekretarkę, czy mógłbym się zobaczyć z Byronem.

Uśmiechnęła się.

— Kogo mam zapowiedzieć?

Wymieniłem pierwsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy: Frederick Jones. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat Jones, ale tak mi się powiedziało. Woląłem, by moje prawdziwe nazwisko pozostało nieznanne, na wypadek gdyby Byron kontaktował się jeszcze z firmą. Rozpoznany przez uczonego, czułbym się bardzo głupio, miałem jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Kiedy widział mnie poprzednim razem, cały umazany byłem błotem i miałem na sobie brudny, roboczy kombinezon.

Okazuje się, że w ogóle mogłem nie obawiać się rozpoznania. Pojąłem to, gdy tylko wszedłem do gabinetu. To nie był ten sam Archibald Byron, który tamtej nocy odwiedził nas w szatni. Dzisiaj miałem przed sobą małego, okrągłego, pięćdziesięcioletniego mężczyznę w szarym garniturze, wyglądającego jak bankier.

Powitał mnie z pełnym rezerwy uśmiechem.

— Słucham pana, panie Jones.

— Dziękuję, że zechciał pan mnie przyjąć. Usiłuję wyjaśnić pewną nieścisłość.

— Ach tak. Czy pan jest z policji?

— Nie. — Policja. Chryste, co tu się działo? Opanowałem chęć natychmiastowej ucieczki. — Nie, nie. Jestem z Metropolitan Tunnel Company.

- Rozumiem. Czy znaleźliście już tego oszusta?
 - Jeszcze nie.
 - No cóż, ja ze swej strony opowiedziałem waszym przedstawicielom wszystko, co mi wiadomo.
 - Domyślam się tego, jednak ponieważ zostałem właśnie wyznaczony do rozwikłania tej zagadki, przyszedłem zasięgnąć informacji u źródła.
 - To źródło jest praktycznie suche, panie Jones. Najwidoczniej ktoś wszedł na teren waszej budowy, podszywając się pode mnie. Nie wiedziałem o niczym, dopóki pan... pan, no mniejsza z tym, nie zatelefonował do mnie w tej kwestii. Wkrótce potem odebrałem jeszcze jeden telefon. Dzwonił jakiś Carson i przedstawił się jako przewodniczący organizacji o bliżej mi nieznanym charakterze.
 - Związek Tunelarzy w centrali górników. Lokal sto czterdzieści siedem.
 - Coś w tym rodzaju. Rzeczywiście, mówił jak związkowiec.
 - Czy domyśla się pan, dlaczego komuś zależało na tym, by udawać pana?
 - Ani trochę. — W zamyśleniu ścisnął palcami skronie. — Chociaż... Gdyby ktoś zamierzał sprzedać monety, to podając się za mnie mógłby liczyć na pewne korzyści. Oczywiście poza kręgami poważnych numizmatyków, gdyż oni dobrze mnie znają. — Uśmiechnął się skromnie.
 - No tak. A czy słyszał pan, żeby ktoś próbował tej sztuczki wcześniej?
 - Nic mi na ten temat nie wiadomo. — Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek i uraczył mnie spektaklem otwierania koperty.
 - I nie przychodzi panu do głowy nic, co mogłoby nam pomóc w zamknięciu tej sprawy?
 - Nic, panie Jones.
 - No cóż, w takim razie dziękuję panu bardzo.
 - Jeśli złapiecie tego typa, będę zobowiązany za wiadomość.
- Obiecałem o nim pamiętać, po czym opuściłem muzeum, czując w głowie większy zamęt niż w chwili, gdy tu wchodziłem. Oszust podający się za Archibalda Byrona dobrał sobie odpowiednie nazwisko, chociaż wiązało się to z ryzykiem wpadki, gdyby tylko firma zechciała porządnie wszystko sprawdzić. Oczywiście, wkroczył do akcji nocą, gdy muzeum było nieczynne. Byłem natomiast pewien, że następnego ranka Reese ograniczył

się do telefonicznego zapytania, czy człowiek o takim nazwisku rzeczywiście tam pracuje.

Wszystko to jest bardzo zagmatwane. Powiniennem być właściwie odczuwać z tego powodu przygnębienie, mnie jednak ogarnęła duma z samego siebie. Przedstawiłem się jako Frederick Jones, a Byron, ten prawdziwy, uwierzył bez najmniejszych zastrzeżeń. Poczulem się wolny. Bardzo wolny. I podniesiony na duchu. Miałem wrażenie, że mogę spacerować po Nowym Jorku i wmawiać ludziom najróżniejsze rzeczy. Cześć, jestem burmistrzem. Jestem Frederick Jones. Jestem... jestem... jestem Dick Creegan. Szukam moich monet. Z pierwszej z brzegu budki telefonicznej zadzwoniłem do kobiety od Sadie Brown.

Powiedziała mi, że Ericsson nadal przebywa na holowniku, ale jeśli chcę, to mogę go złapać przy Nabrzeżu Czternastym, na brzegu East River, niedaleko Muzeum Morskiego przy South Street. Podziękowałem za wiadomość, po czym, zebrawszy całą swoją odwagę, wykręciłem numer Jeannie. Automatyczna sekretarka oznajmiła, że nikogo nie ma w domu, więc powiedziałem tylko, że jest mi bardzo przykro, a także zapewniłem Jeannie o mojej miłości. Następnie wróciłem pieszo na Lexington Avenue. Stamtąd przejechałem metrem do Wall Street, a po wyjściu na ulicę, ruszyłem w stronę wody, dopóki drogi nie zagroził mi otoczony płotem zespół nadmuchiwanym kokuł klubu tenisowego.

Po krótkich negocjacjach portier przepuścił mnie przez furtkę i już po chwili znalazłem się na opustoszałym nabrzeżu. Na wodzie kołysał się częściowo odremontowany trójmasztowy żaglowiec o nazwie „Wavertree”. A przy końcu pomostu, wypuszczając w niebo kłęby czarnego dymu, „Sadie Brown” próbowała uporać się z pachołkiem klubowej przystani. Jones sygnalizował właśnie Ericssonowi, aby zwiększył moc. Na mój widok wykrzyknął:

— Czyżby to był ten cwaniak z tajemniczą górą piachu? Chcesz coś holować?

— I bez tego wyglądacie na zapracowanych.

— Nie aż tak, żeby nie mieć czasu na holowanie. Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

— Tak i nie.

— A cóż to, u diabła, ma znaczyć?

Przyjrzałem mu się uważnie.

— Ano to, że najpierw znalazłem, a potem straciłem.
Jones obserwował mnie przez dłuższą chwilę.
— Nazywasz się Creegan, prawda?
— Prawda.
— Możesz mi to wyjaśnić, Creegan?
— Co takiego?
— Czy ty nigdy nie mówisz jak normalny człowiek? Chłopie, przecież ty gadasz samymi zagadkami. Powiedz wreszcie, co się stało?
— Znalazłem to, czego szukałem, a potem ktoś przyszedł i wszystko zabrał.

Jones spojrział na mnie załamany.

— Co znalazłeś?
— To, czego szukałem.
— Czyli?
— Tego wolałbym nie mówić.
— No to co tutaj robisz?
— Chcę porozmawiać z Ericssonem.
— Proszę bardzo. Wskakuj na pokład i gadaj sobie do woli. Zaczekaj jednak parę sekund, dopóki nie załatwimy tego opornego pachółka. Dorzucić trochę do pieca, Gink — krzyknął przez ramię. Z komina „Sadie Brown” buchnął kłęb dymu. Pachółek zaskrzypiał i nagle z trzaskiem wystrzału karabinowego pękła lina. Jej koniec przemknął zatrważająco blisko mojej głowy. Poniewczasie rzuciłem się w bok. Uwolniona z cumy „Sadie Brown” wyskoczyła na otwartą wodę, omal nie wpadając na następny pomost. Ericsson zapanował nad nią w ostatniej chwili i skierował z powrotem ku mnie.

Jones sprawiał wrażenie zdrowo przestraszonego.

— O mały włos nie oberwałeś.
— O mały włos. — Ręce mi drżały.
— Ależ to cholernie mocny pachółek.
— Czy teraz mogę już wejść na pokład?
— Jasne.

Przeskoczyłem przez burtę i podczas gdy Jones wypatrywał na nabrzeżu łatwiejszego kandydata na wyrwanie, wspiałem się po schodkach do sterówki. Ericsson potraktował mnie zimno. Zachowując milczenie doprowadził holownik do następnego pachółka. Dopiero wówczas, nie

spuszczając oczu z zakładającego nową linię Jonesa, rzekł:

- Słyszałem, co mu powiedziałeś.
- To dobrze. Chciałem to powiedzieć tobie.
- Popęlniasz błąd — stwierdził lodowatym tonem.
- Jaki?
- Myślisz, że mieliśmy z tym coś wspólnego.
- Tego nie powiedziałem.
- Czy na tym nabrzeżu znalazłeś się zupełnie przypadkowo?
- Nie — przyznałem. — Szukałem was. Kobieta w biurze powiedziała mi, że tutaj będziecie.
- Ona tylko przyjmuje zlecenia. Nie mamy biura.
- Chciałem z tobą porozmawiać.
- Nie zabraliśmy twojego towaru, bez względu na to, co to było.
- Wcale o tym nie myślałem, po prostu muszę sprawdzić każdą ewentualność.

— No to sprawdzaj. Gink wymieniał wczoraj tłok, a ja i Travis zawieźliśmy ciężarówkę złomu na Long Island.

- Skąd wiesz, że stało się to wczoraj?

Wkurzony Ericsson odwrócił się w moją stronę. Przez moment miałem wrażenie, że mi przyłoży, ale w końcu z trudem przełknął ślinę i z powrotem ujął w dłonie koło sterowe.

- Nie lubię cię, Creegan — oznajmił z przekonaniem.

Próbowałem się usprawiedliwić, ale mi przerwał:

— Zamknij się. Wyjaśnijmy sobie wszystko do końca. Przypuszczałem, że to wydarzyło się wczoraj, ponieważ kiedy dzień wcześniej wysadziłem cię przy twoim piachu, zapadał zmierzch. Byłem przekonany, iż z rozpoczęciem poszukiwań zaczekasz do czasu, aż zrobi się widno. Nie wiem, co straciłeś, i nic mnie to nie obchodzi. Prawdę mówiąc, robi mi się niedobrze, gdy o tym słucham. Zanim się stąd wyniesiesz, powiem ci jeszcze, że możesz zadzwonić na przystań Weeks w Patchoque, numer kierunkowy pięćset szesnaście. Numeru przystani poszukaj sobie sam. Oni potwierdzą, że byliśmy tam wczoraj z Travisem. Potem pojedź do Gravesend, znajdź nasz dok i zapytaj kogokolwiek, czym zajmował się wczoraj Gink.

- Przepraszam — bąknąłem.

— Jeszcze nie skończyłem — parsknął Ericsson. — Chcę ci powiedzieć jeszcze jedno. Wiedz, że jestem kapitanem tego holownika. To zajęcie bardzo mi odpowiada i z niego żyję. Natomiast z całą pewnością niczego nie kradnę, ani nie zabieram rzeczy, które nie są moją własnością. — Uniósł rękę, jak gdyby uprzedzając moje pytanie. — Oprócz, a jest to jedynie wyjątek, elementów rozpadających się, nikomu nie potrzebnych nadbrzeży. Ale nie zabieram niczego, co należy do kogoś innego. To dotyczy również tego czegoś, co schowałeś w błocie.

Przeniosłem Ericssona z powrotem na listę numer jeden.

22.

Powiększanie listy numer jeden wcale mi się nie podobało, podjąłem więc kolejną próbę skreślenia z niej osoby figurującej pod numerem pierwszym, czyli Jeannie.

Na mój telefon odpowiedziała automatyczna sekretarka. Przekazałem jej mniej więcej to samo, co poprzednio. Waśnie kończyłem, gdy słuchawkę podniosła Jeannie.

— Nie rozłączaj się — poprosiła.

— Jeśli ty tego nie zrobisz, to ja też nie.

— Cieszę się, że zadzwoniłeś, Kreciku. Muszę wyjechać i w związku z tym chcę cię o coś poprosić.

Poczułem ulgę, że nie wraca do naszej sprzeczki.

— Dokąd i po co wyjeżdżasz?

Jej głos nie był przepełniony miłością, ale nie dźwięczały też w nim wrogie nuty.

— Do Los Angeles. Chcą mi zrobić próbne zdjęcia do serialu.

— Gratuluję.

— Ano zobaczymy.

— Co mam zrobić?

— Czy mógłbyś na kilka dni zamieszkać u mnie i przypilnować Howarda?

Byłem ciekaw, dlaczego nie poprosiła o to Lorena, uznałem jednak, że lepiej darować sobie to pytanie.

- No to jak? — spytała po chwili milczenia.
- Nie ma sprawy. Z prawdziwą przyjemnością.
- Jestem ci naprawdę wdzięczna, Kreciku.
- Drobiazg — zapewniłem. — Twoje mieszkanie jest o wiele wygodniejsze od mego. Kiedy wyjeżdżasz?
- Mam samolot jutro o siódmej rano — jęknęła.
- Starając się nadać głosowi jak najbardziej niedbałe brzmienie, zapytałem:
 - Może chcesz, żebym wpadł dzisiaj wieczorem?
 - Jeszcze się nawet nie spakowałam, muszę zrobić pranie i kupić innych rzeczy. No i muszę spróbować się zdrzemnąć.
 - To może lepiej nie będę ci przeszkadzał.
 - Wrócę za parę dni. Czy nadal masz swoje klucze?
- Wsunąłem rękę do kieszeni. Klucze były na miejscu, razem ze złotą monetą.
 - Mam.
 - Myślałam, że może je wyrzuciłeś — powiedziała wesoło.
 - Nic z tego.
 - To dobrze... Posłuchaj. Obok telefonu zostawię kartkę z moim numerem w Los Angeles. Przekaż go Lorenowi, gdy tylko zadzwoni, dobrze?
 - Tylko tyle? — Nie miałem zamiaru się kłócić, ale nie zdołałem zapanować nad głosem.
 - Do cholery, Kreciku. To bardzo ważne, żeby mógł się ze mną skontaktować. Muszę wiedzieć, co dzieje się z jego sztuką. Może byś tak w końcu przestał odgrywać zakochanego zazdrośnika?
 - Zastanowię się nad tym.
 - Dziękuję. Przepraszam cię, ale te próbne zdjęcia strasznie mnie podniecają. Denerwuje mnie też perspektywa opuszczenia Nowego Jorku.
 - Rozumiem.
 - Czyżby? A jak ci dzisiaj poszło?
 - Ustaliłem, kto tego nie zrobił.
 - A kto zrobił?
 - Nie wiem.
 - Nie daj się wywieść w pole.
 - Spróbuję.

— Z góry dziękuję za opiekę nad mieszkaniem. Howard dziękuję ci także. Zostawiam mu mnóstwo jedzenia. Dla ciebie też.

— Na pewno nie chcesz, żebym przyszedł?

— Przepraszam, Dick, ale mam jeszcze tyle do zrobienia.

Na pożegnanie życzyłem jej udanej podróży i powodzenia w Los Angeles. Nie byłem zachwycony jej odmową spędzenia wspólnego wieczoru, ale przynajmniej znowu rozmawialiśmy ze sobą. W najciemniejszym zakamarku duszy pojawiło się pytanie, czy byłaby do mnie tak przyjaźnie nastawiona, gdyby w grę nie wchodziła opieka nad Howardem. Choć takie zachowanie nie było w jej stylu, raz zasiana wątpliwość pozostała.

Przystanąłem obok stoiska z gazetami. Moją uwagę przykuł nagłówek w „Daily News”. „Czy kolej na związki budowlanych?” — pytała gazeta. Poniżej widniało zdjęcie wsiadającego do cadillaca Carsona, opatrzone podpisem: „Szef tunelarzy udaje się na rozmowy z przedstawicielami związków zawodowych pracowników budownictwa”.

Gdyby dziennikarze poznali prawdziwą przyczynę konfliktu, lista numer jeden spuchłaby do objętości książki telefonicznej Manhattanu.

Spacerując niemal pustymi ulicami dzielnicy banków, podjąłem próbę uporządkowania zdobytych dzisiaj informacji. W pewnym sensie osiągnąłem znaczny sukces, ponieważ wyeliminowałem dwóch potencjalnych sprawców kradzieży moich monet. Z drugiej jednak strony, wcale mi to nie ulżyło, gdyż z podejrzanych pozostawał już tylko Garfield. Był jeszcze ten zagadkowy oszust podający się za Archibalda Byrona, ale w jego sprawie ciągle nie mogłem wymyślić niczego sensownego.

Miałem pustkę w głowie, byłem samotny, przemarznięty i solidnie zmachany. A tak w ogóle, czułem się nieszczęśliwy. Postanowiłem wrócić do wynajętego pokoju. Nie lubiłem go, lecz przynajmniej mogłem zamknąć drzwi, wleźć do łóżka i, naciągnąwszy na głowę kołdrę, przestać rozmyślać w kółko o tym samym.

Przyjechałem metrem na Pięćdziesiątą Dziewiątą, gdzie przesiadłem się do szybkiej kolejki. Wysiadłem na Queensborough Plaza, złapałem taksówkę i kazałem zawieźć się do domu. Kurs kosztował mnie tyle, że przypomniałem sobie o konieczności odwiedzenia pracy następnego ranka,

gdzie oprócz udziału w pikiecie, czekała na mnie ostatnia wypłata.

Niemal cały krawężnik przed domem zajmował długaśny lincoln. Pracujący na luzie silnik wyrzucał z rury wydechowej kłęby spalin. Zapłaciwszy taksówkarzowi, ruszyłem w stronę wejścia. Nadchodzący z naprzeciwka sprzątac z paczką kanapek pod pachą obrzucił limuzynę przeciągłym spojrzeniem, a napotkawszy mój wzrok, zrezygnowany wzruszył ramionami. Odpowiedziałem mu tym samym i postawiłem nogę na pierwszym stopniu schodków.

— Pan Creegan?

Odwróciłem się. W moim kierunku śpieszył umundurowany szofer. Czapkę trzymał, jak należy, w ręku.

— Proszę pana!

— Czy pan mówi do mnie?

— Pan Creegan?

— Tak.

— Pan Doorman chciałby z panem porozmawiać.

— Kto?

— Czeka w samochodzie. Czy zechce mu pan poświęcić nieco czasu?

— Doorman? — Jedyne Doorman, o jakim słyszałem, był właścicielem Metropolitan Tunnel Company, ale nie znałem osobiście tego człowieka.

— Tak, proszę pana. Czekał specjalnie na pana. Proszę tędy. — Wyciągnął rękę w stronę samochodu z taką gracją, iż oczami wyobraźni ujrzałem rozciągnięty w poprzek chodnika czerwony dywan.

— Oczywiście — odparłem niepewnie. — Z przyjemnością.

Poprzez przyciemnione szyby nie mogłem dojrzeć wnętrza samochodu. Szofer otworzył drzwi, wypuszczając na dwór obłok ciepłego powietrza przesyconego wonią drogiego tytoniu i jeszcze droższych perfum. Schyliwszy głowę, wszedłem do jasno oświetlonej kabiny, wielkiej jak pokój. Doorman siedział rozparty w głębokim, skórzanym fotelu.

— Myślę, że będzie tu panu wygodnie — rzekł, wskazując mi identyczny fotel naprzeciwko siebie.

Usiadłem i przyjrzałem się Doormanowi. Ubrany był w czarny smoking i fioletową koszulę z żabotem. W jego mankietach, podobnie jak i na

palcach, połyskiwało złoto. Resztki włosów, starannie zaczesane, przylegały do lśniącej czaszki.

Obok niego, w nonszalanckiej pozie uwielbianej kochanki, siedziała uderzająco piękna kobieta. Miała doskonałą figurę i gdyby nie siwe włosy, mogłaby uchodzić za trzydziestopięciolatkę. Wyglądała na call girl, która w samą porę zdążyła wycofać się z interesu. Obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem, po czym starannie poprawiła ułożenie długich nóg odzianych w spodnie.

Doorman otworzył stojącą między nami skrzynkę z różanego drzewa. Znajdował się w niej mały barek z kryształowymi szklankami oraz karafkami.

— Może coś na rozgrzewkę? — zapytał miłym tonem. Zgodziłem się, bo uznałem, że odmowa może zostać poczytana za nietakt. Nie pytając mnie o zdanie, napełnił szklankę szkoeką. Gdy łyknąłem, stwierdziłem, że był to bardzo dobry trunek.

— Być może, zastanawia się pan, dlaczego tutaj jestem.

Choć miał elegancki wóz, szofera, piękną kobietę, pełen kryształów barek i złote spinki w mankietach, to w gruncie rzeczy z Doormana był kawał sukinsyna. Widziałem go podczas uroczystego drażenia ostatnich metrów w tunelu, a ostatnio w szatni, po awarii. Jakoś nigdy nie wzbudzał mojej sympatii, a przyjrzawszy się z bliska jego supergrzecznej masce, poczułem doń jeszcze większą niechęć. Od whisky zaczęła mnie boleć głowa. Towarzysząca Doormanowi piękność zaszczyciła mnie pogardliwym spojrzeniem.

— Pewnie chce pan o czymś ze mną porozmawiać.

— Zgadza się, panie Creegan. Jak panu wiadomo, mamy w tunelu niewielki problem.

— Strajk.

— No właśnie. — Zaśmiał się, a w jego oczach rozbłysły ciepłe ogniki. Facet robił wszystko, żeby wytworzyć atmosferę dobroduszej pogawędki między pracownikiem a pracodawcą. Zaraz potem spoważniał, splótł palce obu dłoni i sponad nich bacznie na mnie spojrzał. — Przeprowadziłem drobne dochodzenie, w wyniku którego odkryłem, co spowodowało strajk.

Pokiwałem głową. Cokolwiek bym powiedział, mogłem jedynie pogorszyć sytuację.

— Teraz zarówno ja, jak i firma jesteśmy lepiej przygotowani do rozwiązania problemu. — Popatrzył ostrzej, lecz wytrzymałem jego wzrok.

Doorman się uśmiechnął. Ciekaw byłem, co wzbudziło w nim taki przypływ przyjaznych uczuć. Nieoczekiwanie, bez żadnego znaku ze strony Doormana, auto ruszyło z miejsca.

— Dokąd jedziemy? — zapytałem.

— Na małą przejażdżkę.

Wzdłuż kręgosłupa przeszedł mi lodowaty dreszcz. Dopiero po dłuższej chwili zdołałem jakoś przekonać samego siebie, iż właściciele firm budowlanych nie zabierają ze sobą przyjaciółek, gdy planują pozbyć się uciążliwego pracownika poprzez utopienie w Sheepshead Bay.

Doorman odchrząknął, po czym przeszedł do rzeczy.

— Wiem, co zaszło tamtej nocy. Wiem, że Pan Reese posunął się za daleko. Wiem, że panowie Kosiński, Burke oraz pan jak najśluszniej odmówiliście wykonania jego nieuzasadnionego polecenia. Wiem też, iż z pomocą wam, co też jest zgodne z prawem, pośpieszył pan Kavanaugh, choć — chrząknął znacząco — szczerze mówiąc, pan Kavanaugh wykazał pewną nadgorliwość. — Za śmiał się.

Uniosłem brwi i Doorman nagle pobladł.

— Oczywiście, mógł tak postąpić — podjął pośpiesznie. — Wręcz imponuje mi znajomością przepisów prawnych. Zrobił dla was wiele dobrego. Szczerze go podziwiam.

Pozwoliłem mym brwiom powrócić do normalnej pozycji. Doorman się odprężył.

— Tak więc... Och, poproszę o pańską szklanę. Proszę się nie krępować. O, tak. No to na zdrowie. — Przechylił swoją szklanę. — Tak. Wracając do rzeczy, jest nam bardzo, ale to bardzo przykro, iż doszło do takiego incydentu. Widok nieszczęśliwych pracowników wcale nas nie cieszy. Chcemy was przeprosić.

Po raz pierwszy głos odmówił mu posłuszeństwa. „Przeprosić” zabrzmiało w jego ustach niezbyt przyjemnie i mało przekonująco.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony — odrzekłem — ale będzie pan musiał porozmawiać jeszcze z Burkiem, Kosińskim i Kavanaughem. Nie mogę występować w ich imieniu.

W kącikach oczu Doormana zapłonęły ogniki nienawiści, ale szybko nad sobą zapanował.

— Ależ oczywiście. Prawdę powiedziawszy, pan jest ostatni, Creegan.

Porozmawialiśmy z panem Kosińskim, pan Burke złożył wypowiedzenie, a pan...

— Co zrobił Burke? — zapytałem, pochylając się do przodu.

Doorman strzelił palcami. Siedząca obok niego kobieta sięgnęła po jakąś teczkę, zaczęła wertować papiery i po chwili jeden z nich podała Doormanowi.

— No tak. Zrezygnował z zatrudnienia w naszej firmie. Może być jednak pewien, że w każdej chwili przyjmimy go z powrotem. Tak więc, proszę się nie martwić o pana Burke'a.

Ja jednak bardzo się o niego martwiłem.

— Dlaczego zrezygnował?

Doorman spojrział na trzymaną w ręku kartkę.

— Nie wiem. Zadzwoił z prośbą, aby przesłać mu czek, i powiedział, że rezygnuje z pracy. Przypuszczam, że przeniósł się do innej firmy, mając dość tego bezsensownego sporu. Oczywiście, nie mam o to do niego pretensji — dodał pośpiesznie.

Prawie go nie słuchałem, próbując odgadnąć, co mogła oznaczać decyzja Burke'a.

— No więc, panie Creegan?

— No więc co?

— Czy akceptuje pan nasze... warunki?

— Uważam, że są w porządku.

Niewiele mnie to obchodziło. Nie zamierzałem wracać do tej pracy, a stawianie w stan pogotowia strajkowego połowy Nowego Jorku nie miało żadnego sensu.

— Znakomicie. Wspaniale. Zachował się pan nad wyraz wspaniałomyślnie.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Czy teraz mógłby już pan odwieźć mnie do domu?

— Chciałbym jeszcze prosić pana o pewną przysługę.

— O jaką?

— Jedziemy na Welfare Island. — Opuścił szybę w drzwiach i wyjrzał w noc. — Prawdę powiedziawszy, jesteśmy już prawie na miejscu. Czy byłby pan tak uprzejmy i powiedział panu Kavanaughowi, że uważa nasze warunki za możliwe do przyjęcia.

— To znaczy przeprosiny?

— Tak.

— Zgoda.

— Mój kierowca zaczeka, aby potem odwieźć pana do domu.
— Dobrze.
— No — ucieszył się Doorman. — Przyjechaliśmy. Pójdę teraz do biura. Panowie Kavanaugh i Kosiński czekają w baraku. Proszę przekazać mi przez telefon wasze ustalenia. — Pochylił się do przodu, wyciągając ku mnie miękką, różową dłoń. Wymieniliśmy krótki uścisk. Szofer otworzył drzwi i przytrzymał je, dopóki Doorman nie wysiadł, aby pośpieszyć w ślad za swoją towarzyszką. Powodowany przekorą, pozostałem na miejscu, czekając, aż szofer obejdzie limuzynę dookoła i otworzy drzwi po mojej stronie. Podziękowałem mu, a następnie skierowałem się do baraku.

Przed wejściem dygotał zziębnięty Rifkins.

— Cześć — powiedziałem. — Jak leci?
— Fatalnie. Przemarżłem do szpiku kości.
— Dlaczego nie wejdiesz do środka?
— Kavanaugh mnie nie wpuści. Mówi, że jestem lokajem kapitalistów.

— No to idź do biura.

Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

— Już lepiej zaczekam tutaj.

— Co się stało z Burkiem?

— Rzucił robotę.

— Wiem. Gdzie będzie teraz pracować?

— Nie widziałem go od chwili, gdy zniknął w tamtym lokalu masażu.

— Ciekawe, czy znalazł monety.

Rifkins wzruszył ramionami.

— Wszędzie ich dzisiaj szukałem — oznajmiłem po chwili.

— Mam do ciebie prośbę, Creegan. Nic mi nie mów o monetach.

— To już ich nie chcesz?

— Chcę wrócić do pracy. Chcę zarabiać na życie. Żałuję, że w ogóle znaleźliśmy to złoto, a jeszcze bardziej żałuję, że zgodziliśmy się na ten twój niedorzeczny plan. Zakorkowaliśmy robotę tutaj, a także w czterech innych tunelach. Jeśli to się szybko nie skończy, stanie budowa kilkuset obiektów. Tysiąc tunelarzy odmraża sobie tyłki, stercząc na pikietach. Jakby tego było mało, to przez ciebie omal nie daliśmy się zastrzelić. Rzygać mi się chce, gdy słyszę o tych monetach.

— A jeśli je znajde? Czy wtedy też będziesz gadać o rzyganiu, czy też zażadasz swojej doli?

Rifkins popatrzył na mnie niczym na jakiegoś domokrażcę.

— Możesz je sobie zatrzymać.

— Dzięki. To miło z twojej strony.

— Kosiński ma coś dla ciebie. Jest w środku.

— Co to jest?

— Na pewno ci się spodoba.

Pokiwałem głową i wszedłem do baraku, Kavanaugh gestem wskazał, żebym podszedł bliżej. Był przy nim także Kosiński.

— Tutaj, chłopie. Dali ci w kość?

— Dali mi dwa drinki i przywieźli pod barak limuzyną.

— Świnie.

— Nie było aż tak źle.

— Co ci powiedzieli?

— Chcą nas przeprosić.

— To samo powiedzieli Kosińskiemu. Idziesz na to?

— No pewnie.

Kavanaugh wyglądał na nieco rozczarowanego.

— No cóż, w takim razie to już koniec. Wygraliśmy, chłopcy. Nie była to trudna walka, niemniej jednak, liczy się każde zwycięstwo. Możecie być dumni, bo cały czas znajdowaliście się na pierwszej linii. — Zmarszczył czoło. — Chociaż zauważyłem, Creegan, że nie było cię na pikiecie.

Pochyliłem głowę.

— Bardzo żałuję, ale naprawdę nie miałem czasu.

— Popraw się następnym razem — polecił Kavanaugh.

Wcale nie zamierzałem wyjaśnić mu, że w moim przypadku nie będzie żadnego następnego razu. Staruszek uśmiechnął się smutno i spojrzął na pusty barak, napawając się ostatnimi chwilami swego strajku. Potem wolno stanął na nogi i pokuśtykał do telefonu. Wymieniliśmy z Kosińskim porozumiewawcze spojrzenia.

— Dlaczego Burke odszedł?

— Nie mam pojęcia.

— Myślisz, że znalazł monety?

— Nie.

— Czy, twoim zdaniem, gdyby je znalazł, toby nam o tym powiedział?

— Nie. Na pewno by nie powiedział.
— To dlaczego uważasz, że nie znalazł?
— Ty też nie znalazłeś. Ich już nie da się odszukać. Facet, który nas obrobił, zniknął. Nie mamy żadnych szans na odnalezienie go. Odjechał furgonetką i teraz może być dosłownie wszędzie. Wkrótce sprzeda całe złoto i będzie po balu.

— Znajdę go.
— Powodzenia. Trzymaj. Może ci się przydać. — Wręczył mi kopertę.
— Co to jest?
— Siedemset czterdzieści osiem dolarów. Poszliśmy z Rifkinsem do tamtego handlarza, zabraliśmy od niego monety i sprzedaliśmy komu innemu. To twoja część.

Zajrzałem do środka.

— Dziękuję.
— Jeśli zobaczysz Burke'a, to powiedz mu, że taka sama koperta czeka także na niego.

— Czy sprzedałeś swoją drugą monetę?
— Moja druga moneta okazała się kawałkiem ołowiu. U Rifkinsa było złoto.

— Ciekawe, ile warta jest moja?
— Nie sprawdzałeś?
— Od trzech dni biegam ciągle po mieście.
— Sprawdź, może też masz złoto.
— Co zamierzasz robić dalej? — spytałem.
— Wrócę do roboty.
— A monety?
— Ja tam jestem zadowolony. Ostatecznie zarobiłem na nich siedemset czterdzieści osiem dolarów.

— No, a twoja farma?
— Któregoś pięknego dnia będę ją miał.
— A ja odzyskam te monety.
— Powodzenia.
— Wpadnę jeszcze do ciebie — obiecałem.

Pomachałem na pożegnanie Kavanaughowi, który siedział z ponurą miną obok telefonu. Po wyjściu z baraku pożegnałem się z Rifkinsem i powiedziałem mu, że chyba może wejść do środka. Potem zajrzałem do biura, licząc na to, iż być może otrzymam ostatni czek z poborami.

Nie chcieli mi zapłacić, więc przedarłem się do biur zarządu w nadziei, że zastanę tam Doormana. Nie zastałem nikogo.

Powiedziałem któremuś z urzędników, aby pobory przesłali na mój domowy adres, po czym zawróciłem i poszedłem na poszukiwanie limuzyny. Ponieważ również zniknęła, nie pozostało mi nic innego, jak tylko zadzwonić po taksówkę. W końcu wróciłem do Long Island City, gdzie wskoczyłem do łóżka, zastanawiając się przed zaśnięciem, co też, do diabła, będę robić następnego dnia.

23.

Nazajutrz rano udałem się do mieszkania Jeannie. Musiałem przecież wyprowadzić psa, a później go nakarmić. Ponieważ nie wiedziałem, jak poważnie Howard podejdzie do swego obowiązku pilnowania domu, otwierałem drzwi bardzo ostrożnie. Jednakże zostałem powitany niczym dawno niewidziany przyjaciel. Howard liżał mi ręce i podskakiwał z radości jak piłka.

— Jak się masz? — zagadnąłem.

Przeturlał się na grzbiet, nieprzytomny z radości.

— Już ci doskwiera samotność? Przecież Jeannie wyjechała zaledwie parę godzin temu. — Zerwał się na nogi, przewracając przy okazji stolik do kawy. Podniosłem go, po czym spytałem psa, czy chce iść na spacer. Howard natychmiast podbiegł do drzwi, co uznałem za odpowiedź twierdzącą. Założyłem mu smycz i wyszliśmy na ulicę.

Miałem zamiar przejść się na Szóstą Aleję i kupić gazetę, jednak Howard zdecydowanie parł na zachód. Poprowadził mnie przez Bedford Street do St. Luke's Park, gdzie sterroryzował stado owczarków niemieckich. Później powędrowaliśmy w stronę rzeki, aż znaleźliśmy się na nabrzeżu przy Morton Street. To właśnie tutaj po raz pierwszy ujrzałem „Sadie Brown”. Howard zaciągnął mnie na sam koniec pomostu, po czym położył się, żeby odpocząć. Ja przysiadłem na najbliższej ławce i po raz pierwszy tego dnia spróbowałem zebrać myśli.

Miałem wrażenie, że od straty monet upłynęło bardzo dużo czasu. Kiedy jednak wszystko sobie obliczyłem, okazało się, iż od momentu, gdy dokonałem odkrycia w tunelu, minął zaledwie tydzień. Wyciągnąłem z kieszeni jedyną pozostałą mi monetę i powoli zacząłem zdrapywać kluczem błoto. Powłoka zdążyła już porządnie stwardnieć, toteż musiałem włożyć w tę czynność sporo wysiłku.

Skrobałem i zastanawiałem się, co też wykombinował Burke. Całkiem możliwe, że po prostu rzucił pracę. Z tego, co wiedziałem, nie był żonaty, a więc nic nie stało na przeszkodzie, by przenosił się z miejsca na miejsce, ilekroć przyszła mu na to ochota. Jednakże taka zbieżność w czasie wydawała się nieco dziwna i nie mogłem jej pominąć. Najgorsze, iż bez względu na to, czy zignoruję ten fakt, czy też nie, efekt pozostanie taki sam. Ani o krok nie zbliżę się do rozwiązania zagadki kradzieży monet.

Z tą monetą także nie szło mi najlepiej. Klucze okazały się za mało ostre. Schowałem je do kieszeni, postanawiając dokończyć pracę w kuchni Jeannie, gdzie będę mógł skorzystać z noża. Wspomniawszy Jeannie, uświadomiłem sobie, jak bardzo za nią tęsknię. Po zebraniu do kupy pieniędzy otrzymanych od Kosińskiego, tego, co mógłbym dostać za monetę spoczywającą w kieszeni, oraz około dwóch i pół tysiąca, jakie przynieść powinna sprzedaż pierwszych dwóch okazów, miałbym dosyć, żeby myśleć o podróży do Los Angeles. Teraz, gdy Jeannie wyjechała, nabrałem pewności, że musiałbym podążyć za nią, gdyby została tam na dłużej. Może znalazłbym jakieś zajęcie dla siebie i spróbowałibyśmy zacząć wszystko od nowa.

Co do mnie, Jeannie miała rację. Nie było żadnych powodów, dla których nie mógłbym spróbować czegoś nowego. Nie wiedziałem jeszcze, co by to mogło być, ale zaczynałem dostrzegać coraz więcej możliwości. Przede mną do Kalifornii trafiło mnóstwo innych ludzi i każdy coś tam sobie znalazł.

Howard ocknął się, gdy tuż przed jego nosem śmignęła mewa. Podniósł się, przeciągnął, po czym naprężył smycz, dając mi tym samym do zrozumienia, iż życzy sobie powrotu do domu.

Po drodze kupiłem dwa cheeseburgery, które zamierzałem zjeść jako lunch. Kiedy jednak otwierałem puszkę z jedzeniem Howarda, dorwał się on do papierowej torby, rozdarł ją i zżarł cheeseburgera.

Nawymyślałem mu od sukinsynów, co skwitował krótkim warknięciem, a następnie, najspokojniej w świecie, zabrał się za drugiego cheeseburgera. W swojej głupocie wyciągnąłem rękę, żeby go powstrzymać. Wprawdzie nie ugryzł mnie od razu, ale spojrzał krzywym okiem, jak gdyby taki pomysł przyszedł mu właśnie do głowy. Zawahałem się i zacząłem rozważać, co z tym fantem zrobić, gdy niespodziewanie zadzwonił telefon.

Poszedłem odebrać, wdzięczny przypadkowi, który pozwolił mi zachować twarz, ale sygnał urwał się już po pierwszym dzwonku. Wzruszywszy ramionami, zawróciłem na pięcie. W tym momencie w pokoju rozległ się podniecony męski głos. Rozejrzałem się nerwowo, wypatrując jego źródła. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Jeannie zostawiła włączoną automatyczną sekretarkę. Często ustawiała ją na podsłuch, dzięki czemu wiedziała, kto telefonuje, zanim jeszcze podniosła słuchawkę.

— Jeannie? — krzychał głos. — Znalazłem sponsorów! W przyszłym tygodniu zaczynamy próby *Tragedii z Nassau*.

Loren. Sukinsyn Loren, mój najgroźniejszy rywal.

— Jeannie, proszę, powiedz coś, jeśli tam jesteś. Wygraliśmy. Ty wygrałaś. Masz główną rolę. Bardzo się im podobasz. — Odczekał kilka sekund. — Zadzwon do mnie jak najszybciej. Czyż to nie jest fantastyczne? — Rozłączył się.

Stałem bez ruchu, a mój umysł pracował gorączkowo. Co robić? Sądząc po głosie, Loren był bardzo szczęśliwy. Widocznie nic nie wiedział o wyjeździe Jeannie i próbnym zdjęciach do serialu. Poczulem silną pokusę, aby zapomnieć o tym, co usłyszałem, a może nawet wykasować zapis z taśmy. Jeannie zostałyby w Los Angeles, zaś Loren musiałby poszukać innej odtwórczyni roli głównej. Ja też wyjechałbym do Los Angeles, aby być z Jeannie, i wszyscy łącznie ze mną, byłiby szczęśliwi.

Przystąpiłem do oględzin aparatu, próbując ustalić, w jaki sposób można skasować nagranie. Powtarzałem w duchu, iż w Hollywood czeka Jeannie lepsza przyszłość. Sztuka Lorena była kiepska. Zrobi klapę od razu po premierze. Nie pozwalając Jeannie, by zagrała w tym, ratowałem jej karierę. Wymyśliłem nawet, że takie rozwiązanie byłoby korzystne także dla Lorena. Obsadziwszy w roli głównej aktorkę, której nie darzył uczuciem, będzie mógł całą energię poświęcić przygotowaniu spektaklu.

W chwilę później nasza mnie refleksja, że byłbym najgorszym dra-
niem w całym Nowym Jorku, gdybym nie zadzwonił do Lorena i nie podał
mu numeru Jeannie w Los Angeles.

Odszukałem jej notes, a w nim numer Lorena, co wcale nie było takie
proste, zważywszy, iż nie znałem jego nazwiska. W końcu odkryłem, że
facet nazywa się Fone. Wykreśliłem numer, a gdy w słuchawce rozległ się
sygnał, omal nie odłożyłem jej na widelki.

Loren odezwał się głosem mniej elektronicznym niż ten z auto-
matycznej sekretarki.

— Mówi Dick Creegan.

Pod wpływem przedłużającego się milczenia z jego strony pomyślałem
o czymś, co wcześniej nigdy nie przyszło mi do głowy. Na pewno nie był
zachwycony, że Jeannie prócz niego ma jeszcze innego przyjaciela.

— Cześć. Jak się masz?

— Słyszałem to, co powiedziałeś przed chwilą, i muszę ci coś przeka-
zać — odrzekłem.

— Gdzie jest Jeannie?

— W Los Angeles.

— Gdzie?

— W Los Angeles.

— Dlaczego?

— Robią jej próbne zdjęcia do serialu telewizyjnego.

— Nie!

— Obawiam się, że tak.

— Nic mi o tym nie mówiła — poskarżył się Loren.

— To stało się nagle — odparłem ze współczuciem. Mogłem jeszcze
dodać, że sam również dowiedziałem się w ostatniej chwili, ale każda
uprzejmość ma swoje granice.

— To jest po prostu straszne — powiedział wysokim, podener-
wowanym głosem. — Muszę z nią porozmawiać.

— Dlatego właśnie dzwonię. — Mój głos zabrzmiał spokojnie, lecz
wcale nie czułem tego spokoju. — Zostawiła dla ciebie numer telefonu.

— Możesz mi go podać?

— 213-344-5666.

— Lepiej go sobie zapiszę. Powtórz — powiedział z ulgą w głosie.
Powtórzyłem, on zaś dla pewności odczytał mi to, co zanotował.

- Dziękuję bardzo.
- Nie ma sprawy. Jeannie prosiła, żebym ci go podał. — Ponieważ ugryzłem się w język. Loren wcale nie musiał tego wiedzieć.
- Zaraz do niej zadzwonię.
- Wątpię, żebyś już ją zastał. Poleciała o siódmej rano.
- Zostawię jej wiadomość.
- Świetny pomysł. Gratulacje z okazji znalezienia sponsora. Mam nadzieję, że sztuka przyniesie ci sukces.
- Czy mogę cię o coś zapytać?
- O co? — Zaczynałem mieć dość tej rozmowy. Mój limit uprzejmości na to popołudnie został wyczerpany.
- Czy zawsze mówisz w taki sposób?
- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.
- Mówisz tak, jak na taśmie nagranej z Jeannie. Gdzie uczyłeś się dykcji?
- Nigdzie nie uczyłem się.
- Coś takiego, słuchając cię, byłem pewien, że masz szkolony głos.
- Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Pomyślałem, że jeden z nas powinien już skończyć tę rozmowę. Otworzyłem usta, żeby się pożegnać, lecz Loren odezwał się pierwszy:
- Powiedz mi szczerze, co sądzisz o scenie, którą czytałeś razem z Jeannie?
- Szczerze? Była okropna.
- Zmieniłem ją. Wysłuchawszy waszego nagrania, zrozumiałem, że jest do niczego.
- Zaciekawił mnie.
- A co w niej było złe?
- Ty powiedz mi to pierwszy. Dlaczego uważałeś, że ta scena była okropna?
- Dlatego, że małżeństwo z siedemnastoletnim stażem nie rozmawia ze sobą jak para, która dopiero co się poznała.
- No właśnie. Doszedłem do identycznego wniosku.
- Ze zdumieniem spostrzegłem, że dyskutuję z Lorenem o jego sztuce zupełnie jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi, a nie konkurentami zabiegającymi o względy tej samej kobiety.
- Kiedy to pojąłem, byłem bliski załamania. Ze zgrozą pomyślałem, że muszę wszystko zacząć od początku.

- Naprawdę?
- Wkrótce doszedłem jednak do wniosku, że sztuka jest dobra. Tę scenę napisałem w zbytnim pośpiechu. Byłem zmęczony i zdenerwowany, dlatego straciłem poczucie realizmu. Myślę jednak, że reszta jest w porządku. Mam taką nadzieję.
- W tym momencie powinieneś już to wiedzieć z całą pewnością.
- Czy zechciałbyś przeczytać całość i powiedzieć, co o tym myślisz?
- Nie znam się na sztukach.
- Ale tę scenę oceniłeś prawidłowo. Czy znajdziesz trochę czasu na lekturę? Poczuliśmy się wtedy znacznie lepiej.
- Mam czas — odparłem, podbudowany tym, że facet, który pisze sztuki, liczy się z moim zdaniem.
- Dziękuję. W jaki sposób mógłbym dostarczyć ci skrypt?
- Jestem u Jeannie.
- Ach tak.
- Pilnuję Howarda.
- Wyrazy współczucia.
- Nie jest jeszcze tak źle.
- Nie znoszę tej bestii. Tylko proszę nie powtarzaj mu tego. Wiesz, jestem bardzo zajęty pracą w teatrze. Nie pogniewasz się, jeśli przyślę ci sztukę przez posłańca?
- Jasne, że nie. Od razu ją przeczytam.
- Bardzo ci dziękuję.

Pożegnaliśmy się, a kiedy odłożyłem słuchawkę, przez dłuższą chwilę siedziałem zamyślony. Dobrze, że jednak zdecydowałem się na ten telefon. Przynajmniej przekonałem się, iż facet wcale nie jest tak bardzo pewny siebie. Być może dlatego, że zawsze dostrzegałem w nim konkurenta, wyobrażałem go sobie jako odnoszącego same sukcesy, aroganckiego typu. Teraz uzyskałem potwierdzenie, iż nie ja jeden muszę zmagać się z wątpliwościami. Przyjemnie było to wiedzieć.

Wsunąłem kartkę z numerem Jeannie pod telefon, po czym skierowałem się do kuchni, żeby przygotować lunch dla Howarda. Nagle zamarłem niby rażony gromem. Zaraz też zawróciłem na pięcie i popędziłem z powrotem. W nieoczekiwanym momencie olśnienia zrozumiałem, iż jak dotąd nie skorzystałem z najbardziej oczywistego sposobu odnalezienia

Seana Garfielda. Zaczęłam pośpiesznie przerzucać papiery nagromadzone w szafce pod telefonem, aż natrafiłam na książkę telefoniczną Manhattanu. Wprost nie mogłam uwierzyć we własną głupotę. Stwierdziwszy, że Garfield zlikwidował interes, automatycznie przyjąłem, iż zaginął po nim wszelki ślad.

To zdumiewające, jak człowiek może coś sobie wmówić. Ponieważ Garfield tak nagle zlikwidował sklep i zbiegło się to w czasie z rabunkiem moich monet, uwierzyłem, że zniknął na dobre. Nawet nie zadałem sobie trudu, żeby sprawdzić, gdzie mieszka.

Gardner... Gardstein... Garfinkle... nieco do tyłu... Garfield Richard Samuel, Garfield i Rosen C.P.A. Ani śladu Seana. Sprawdziłem wszystkie imiona zaczynające się na S. Też bez skutku.

Pochyliłem się nad książką. Ten człowiek musiał mieć telefon. Wszyscy mieli telefony. Raz jeszcze przebiegłem wzrokiem stronę. Nie było na niej Seana Garfielda. Rozczarowany, zamknąłem książkę i cisnąłem ją na podłogę.

Ale może on wcale nie mieszka na Manhattanie? Jego wygląd zdawał się to potwierdzać. Przypomniałem sobie starannie zaczesane do tyłu włosy, białą koszulę, skórzany futerałik na pióro i ołówek. Taki człowiek musiał mieszkać w Queens. Zatelefonowałem na informację i poprosiłem o numer Seana Garfielda z Queens.

592-9212.99-05, Pięćdziesiąta Dziewiąta Aleja.

Po raz pierwszy od kilku dni na mojej twarzy pojawił się prawdziwy uśmiech. Miałem sukinsyna. Zapewne się wyprowadził, ale sąsiedzi, sprzedawcy z okolicznych sklepów, barmani i przyjaciele z pewnością coś mi powiedzą. Sprawdzę też pobliskie biura podróży na wypadek, gdyby wybrał się na jakąś wycieczkę.

Zadzwońm pod wskazany numer, ponieważ chciałem mieć pewność, czy trafiłem na właściwego Seana Garfielda. Kiedy w słuchawce rozległ się głos kobiety, mój optymizm gwałtownie zmalął. Powiedziałem, że mam monetę do sprzedania i w związku z tym chciałbym rozmawiać z panem Garfieldem.

- Jest teraz w sklepie.
- Co takiego?
- Jest w sklepie.
- Sean Garfield?
- To mój chłopak.

Z niedowierzaniem popatrzyłem na słuchawkę.

— Czy pani Garfield?

Jej głos stał się czujny.

— A kto mówi?

— Frederick Jones. Chciałem sprzedać panu Garfieldowi pewną monetę. Czy pani jest jego żoną?

Roześmiała się.

— To mój syn. Jestem jego matką.

No jasne. Ten sukinsyn mieszkał z matką, żeby zaoszczędzić na czynszu. Wyglądało jednak na to, że matka nie miała pojęcia o likwidacji sklepu.

— Przepraszam, że dzwonię do domu, pani Garfield, ale słyszałem, że pan Garfield zamknął interes.

— Kto to panu powiedział?

— Harry Holtzman.

— Harry? Musiał się pan przesłyszeć. Sklep Harry'ego znajduje się tuż obok naszego.

— Nie miałem pojęcia, że pani też pracuje w tej branży, pani Garfield.

— Teraz już nie. Po śmierci męża wszystko przejął Sean. Co chce pan sprzedać?

Wymieniłem pierwszą z brzegu monetę, która nie miała nic wspólnego z hiszpańskim złotem.

— Pięcioletówkę z głową Indianina.

— Czy pan jest kolekcjonerem, panie Jones?

— Nie, wyprzedaję pewną posiadłość.

— Tego się nie spodziewałam — odrzekła chłodno. — Może pan znaleźć Seana w sklepie. Zazwyczaj przesiaduje tam do dziesiątej. Do widzenia panu.

24.

Kiedy dotarłem na Czterdziestą Siódmą, na dworze zapadał zmrok. Najpierw sprawdziłem wszystkie sklepy po obu stronach ulicy pomiędzy Szóstą i Siódmą Aleją, później zaś postanowiłem odwiedzić Harry'ego Holtzmana i zapytać, co o tym wszystkim myśli. Wewnątrz jego lokalu panowały jednak ciemności, a moje pukanie pozostało bez odpowiedzi.

Zbity z tropu, podszedłem pod witrynę GIRLS GIRLS GIRLS. Jeszcze raz chciałem się upewnić, że Garfield rzeczywiście przedtem tu urzędował. Stary napis widniał na szybie na poprzednim miejscu. Pani Garfield albo nie miała pojęcia o niczym, albo świetnie kłamała.

Z salonu wyszło dwóch mężczyzn. Na ich twarzach malowała się satysfakcja i pewne poczucie winy. Korzystając z okazji, chciałem zajrzeć do środka, lecz drzwi za ich plecami zamknęły się szybko. Ponieważ w tym momencie nie miałem żadnej nowej koncepcji, a nie chciałem dłużej marznąć na ulicy, postanowiłem tam wejść. Kwota, jaką miałem przy sobie, nie pozwalała na żadne ekstrawagancje, ale może ktoś zechce mi powiedzieć, gdzie podział się Garfield.

Wąski korytarz doprowadził mnie do recepcji. Podłogę przykrywał czerwony dywan, natomiast ściany oblepione były rozkładówkami z „Playboya”. W drugim końcu pokoju, oświetlonym nieco jaśniej, stały dwie sofy. Znajdowało się też tutaj biurko, przy którym, zwrócony plecami

do mnie, pochłonięty rozmową z oszalamiająco piękną dziewczyną, siedział mocno zbudowany typ w golfie. Niewątpliwie wykidajło.

Na mój widok dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, po czym lekko skinęła głową wykidajle. Mężczyzna odwrócił ku mnie twarz, a ja, przyrzawszy się mu uważnie, parsknąłem śmiechem. Śmiałem się coraz głośniej, omal nie pękłem ze śmiechu.

— Co, do diabła opętało ciebie? — zapytał Burke.

Spróbowałem odpowiedzieć, lecz kolejny napad śmiechu zniweczył moje wysiłki. Burke został ostrzyżony przez kogoś, kto znał się na tej robocie. Na jego lewej ręce połyskiwał sygnet z różowym oczkiem, golf był z dobrej wełny, a dopasowane do całości spodnie wyglądały bardzo porządnie.

Obejrzałem go dokładnie od stóp do głów. Usiłował zachować poważną minę, ale w końcu nie wytrzymał i, najwyraźniej zadowolony z siebie, uśmiechnął się szeroko.

— Założę się, że nie wychodziłeś stąd od wczorajszego wieczoru — wykrztusiłem.

— To prawda. — Miałem przed sobą innego Burke'a. Nowego, ugliśkanego, bez śladu dawnej wojowniczości. Mężczyznę, który osiągnął to, czego chciał.

— Jak do tego doszło?

— Masz ochotę na drinka? — odpowiedział pytaniem.

— No jasne. Przemarzę do szpiku kości.

Podprowadził mnie do kanapy. Piękna dziewczyna zniknęła.

Burke szczerze napelniał szklanki. Szybko opróżniłem swoją, czując rozlewające się po żołądku przyjemne ciepło. Nalał mi jeszcze raz i zaproponował cygaro. Odmówiłem, więc zapalił sam, z zadowoleniem puszczając kłęby dymu.

— Pracujesz tu?

— Jestem szefem.

— Jak dostałeś tę posadę?

Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

— Pamiętasz, jak tu wszedłem, żeby poszukać Garfielda? — Przytaknąłem skinieniem głowy. — No więc, można powiedzieć, że bardzo się w to szukanie zaangażowałem, i kiedy nadeszła pora, aby lokal zamknąć, nie byłem gotowy do wyjścia. Garfield chciał mnie wyrzucić, ale dziewczęta przekonały go, że powinien pozwolić zostać mi na noc.

- Garfield?
- Tak. A więc, następnego dnia...
- Sean Garfield, ten facet od monet?
- Tak. No więc, jak wspomniałem, zostałem na noc i...

Podniosłem rękę.

- Zaraz, zaraz. Czekaj. Gdzie on jest teraz?

— Garfield?

- Tak! — ryknąłem. — Gdzie on jest?
- Nie wiem. Pewnie sprzedaje monety.
- Nasze monety?
- On ich nie zabrał.
- Skąd wiesz?
- Wiem. To mój szef. On ich nie zabrał.
- Jesteś tego pewien?
- Oczywiście, że jestem. Słuchaj, mały. Dokładnie go sprawdziłem.

Odpytałem dziewczyny i wszystkie zeznały, że był tutaj przez całe popołudnie.

- Mogły go kryć.

— Nie przede mną. Mam je po swojej stronie.

— Burke — rzekłem z wyrzutem. — Dlaczego mi tego nie powiedzia-
łeś? Jak głupi szukam go po całym mieście.

Burke ponownie zrobił do mnie oko.

- Posłuchaj mały...

— I nie mów do mnie „mały”.

— Creegan, dziecino. Doszedłem do siebie dopiero dziś rano. To ci
dopiero była balanga.

- Gratulacje.

— Telefonowałem do ciebie, ale gospodyni powiedziała, że wysze-
dłeś. Zadzwoiłem wtedy do biura i dowiedziałem się, że nie przyszedłeś
do roboty. Czyżbyś z niej zrezygnował?

- Tak. Mniej więcej. A co z tobą?

— Ze mną? — rzucił z uśmiechem. Dla mnie wystarczy pracy i tutaj.

Uporałem się z drugim drinkiem w nadziei, iż pomoże mi pozbierać
myśli, lecz, oczywiście, nie pomógł. Zamierzałem właśnie zapytać Burke'a
jakim cudem Garfield wszedł w posiadanie salonu masażu, gdy w pobliżu
rozległ się dziwnie stłumiony dzwonek telefonu.

— Zaczekaj chwilę — poprosił Burke. Ignorując telefon na blacie biurka, otworzył szufladę, której wewnątrz kryło drugi aparat. — Sean Garfield, Niezwykły Numizmatyk — rzucił do słuchawki. — Ach, dzień dobry, pani Garfield. Nie, pan Garfield wybrał się na aukcję. Tak, tu Burke. Nie, nie mówił, kiedy wróci. Tak, oczywiście. Momencik. Zaraz zapiszę.

Mrugając łobuzersko, popchnął ku mnie butelkę. Z drugiej szuflady wyciągnął notes oraz długopis i podjął konwersację:

— Dobrze, pani Garfield. Dobrze. Frederick Jones. Tak, na pewno przekażę. Pani Garfield, czy Sean nie wspominał pani, że dzisiejszą noc może spędzić w mieście?... Myślę, że chce być blisko klienta, dopóki nie wyjedzie on... Tak, powiem mu. Jestem pewien, że zatrzyma się w dobrym hotelu... The Royalton? Powiem mu. Do widzenia, pani Garfield.

Burke odłożył słuchawkę i zatrzasnął szufladę.

— Ta jego stara obu nas doprowadza do szaleństwa.

— Powiedziała mi, że Garfield nadal handluje monetami.

— No bo handluje, tyle że od czasu do czasu. Kiedy z nią rozmawiałeś?

— Przed chwilą. Frederick Jones.

Burke zerknął na kartkę.

— Aha. Garfield jest czysty, mały. Możesz go skreślić ze swojej listy.

— Co się stanie, jeśli pani Garfield zadzwoni pod drugi numer, a ty się zgłosisz i powiesz „Uciechy edwardiańskie — zrobimy wszystko, co zechcesz?”

— Ona zna tylko ten jeden numer.

Pod wpływem wypitej szkockiej zrobiło mi się ciepło i błogo.

— Jak to się stało, że Garfield otworzył salon masażu?

— Dla pieniędzy — odparł Burke. — Ten interes daje fantastyczną forszę. Załatwił sobie bardzo korzystną, długoterminową dzierżawę lokalu. Poza tym on nienawidzi monet.

— Ale przecież wciąż się nimi zajmuje.

— To tylko przykrywką. Dzięki temu nie ma kłopotów z matką. Żeby tylko nie pofatygowiała się tutaj osobiście. — Burke napełnił moją szklanekę po raz czwarty a może piąty. Pomieszczenie wydawało mi się czerwieńsze niż przedtem, urosły też chyba piersi porozwieszanych na ścianach panienek.

— Przepraszam cię na moment — rzekł Burke ujrzawszy faceta, który wszedł do środka i przystanął niepewnie w pobliżu drzwi. Uśmiechnął się do niego przyjaźnie. — Podejdź bliżej, chłopie. Czego ci potrzeba?

Odwrociłem głowę, ponieważ klient sprawiał wrażenie zakłopotanego. Burke nacisnął przycisk dzwonka i do sali wmaszerowało kilka dziewcząt. Podczas gdy tamten gość dokonywał wyboru, siedziałem ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Jeszcze jednego, mały?

Przykryłem szklanke dłonią.

— Już mam dosyć.

— Nie wyglądasz najlepiej.

— I tak też się czuję — mruknąłem. — Nie wiem, co dalej robić. Burke ze współczuciem pokiwał głową.

— Może masz ochotę zapomnieć o wszystkim? — Popatrzył wymownie w stronę pokoi na zapleczu.

— Nie, dziękuję.

— Na koszt firmy. Rozerwij się.

— Nie, naprawdę dziękuję.

— Co w tym złego?

Niezbyt pewnie podniosłem się na nogi.

— Jestem zakochany.

— No, jak uważasz.

— Dzięki za drinki.

— Co zamierzasz teraz robić?

— Przespać się, o ile znajdę drogę do domu.

— Lepiej weź taksówkę.

— Dobra. — Chwiejnym krokiem ruszyłem do wyjścia. — A tak przy okazji — powiedziałem. — Kosiński ma dla ciebie siedemset czterdzieści osiem dolców.

Na twarzy Burke'a pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Jakim cudem?

— Razem z Rifkinsem sprzedali monety, które zastawiliśmy, aby kupić wykrywacz metalu. To twoja działka.

— Znakomicie.

— Czy masz swoją drugą monetę?

Jego twarz spochmurniała.

— To była jakaś cholerna śrubka.

— Szkoda. Ale ostatecznie i tak zarobiłeś na czysto siedem stów. Burke poweselał.

— Racja. A co u ciebie?

— Jeszcze nie sprawdzałem.

— Na co czekasz?

— Najpierw chcę znaleźć całą resztę.

— Tamte monety przepadły.

— Ja je odnajdę.

— W jaki sposób?

— Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę.

— One przepadły, mały. Ktokolwiek je zabrał, musiał do tej pory wszystko sprzedać.

— Wątpię. Przeprowadzenie takiej transakcji musi trochę potrwać.

— Marnujesz tylko czas. Lepiej wracaj do roboty, bo zostaniesz na lodzie.

Zimne powietrze podziało na mnie orzeźwiająco, toteż postanowiłem nie korzystać z taksówki i poszedłem do śródmieścia na piechotę. Zanim dotarłem do Vilage, przemarzłem na kość, ale też prawie całkiem wytrzeźwiałem. Dozorca domu Jeannie wręczył mi grubą kopertę okazałych rozmiarów.

Loren dołączył do niej kartkę z prośbą, bym do niego zadzwonił, gdyż chciał być pewien, że przesyłka dotarła na miejsce. Nastawiłem kawę, położyłem maszynopis na stoliku, po czym zatelefonowałem pod wskazany numer. Loren wyraził nadzieję, że sztuka mi się spodoba. Dodał też, że na razie nie zdołał złapać Jeannie. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że ten jej wyjazd to nic dobrego.

Kiedy kawa była już gotowa, napełniłem filiżankę i, wyciągnąwszy się na kanapie, przystąpiłem do lektury. Początkowo musiałem walczyć z sennością, lecz bardzo szybko akcja mnie wciągnęła. Loren napisał od nowa znaną mi scenę i, moim zdaniem, zrobił to doskonale.

Byłem zachwycony całością. Do ostatniej kartki autor przypiął krótką notatkę: „Trzeba wymyślić tytuł. Pomyśl nad tym”.

25.

W dwa dni później zaczęliśmy się z Lorenem denerwować.

Jeannie zniknęła. Nie zadzwoniła do żadnego z nas i nie było jej pod numerem, który zostawiła. Za to z Los Angeles zatelefonował jakiś agent. Zaczął krzyczeć, że Jeannie nie dotrzymuje warunków umowy, a na koniec oskarżył mnie o ukrywanie miejsca jej pobytu.

Linia lotnicza potwierdziła jej obecność na pokładzie samolotu odlatującego do Los Angeles. Loren dzwonił do mnie kilka razy dziennie, racząc coraz to nowymi teoriami na temat tego, co też mogło ją spotkać. Swoje przypuszczenia opierał na tym, iż Jeannie była skłonna postępować irracjonalnie.

— Nigdy tego nie zauważyłem — stwierdziłem podczas kolejnej rozmowy.

— Widzisz, ja znam ją od bardzo dawna, Dick.

— Chcesz powiedzieć, że zwariowała?

— Nie. Nic podobnego. Po prostu, od czasu do czasu zdarza się jej zrobić coś zupełnie nieoczekiwanego. Za każdym razem jest to dla wszystkich wielkim zaskoczeniem, ponieważ, jak prawdopodobnie zauważyłeś, Jeannie marzy o stabilizacji.

— Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem.

— Rozejrzyj się po jej mieszkaniu. Nie wiem, ile mieszkań widziałeś w tym mieście, ale możesz mi wierzyć, że większość ludzi nie przywiązuje

wagi do wystroju wnętrza. Tymczasem u niej wszystko przeniknięte jest duchem stabilizacji.

Popatrzywszy wokół siebie, musiałem przyznać mu rację. Wydawało się, że każdy przedmiot ma swoje, wyłącznie dla niego przeznaczone miejsce.

— Taka właśnie jest naprawdę Jeannie — ciągnął Loren. — Ten wizerunek o wiele bardziej przystaje do rzeczywistości niż Jeannie paradująca z Howardem i jeżdżąca tym okropnym samochodem.

— No więc, gdzie ona jest?

— Zapewne siedzi gdzieś samotnie w pokoju i usiłuje podjąć jakąś decyzję.

— Mam nadzieję, że masz rację.

— Ja też. Jak ci wiadomo, napisałem tę sztukę z myślą o niej.

— Tak mi się zdawało.

— Nie widzę w tej roli nikogo innego.

Byłem ciekaw, czy obchodzi go cokolwiek oprócz sztuki, kiedy jednak konsekwentnie wydzwaniał do mnie co parę godzin, pytając o wieści oraz szukając wsparcia, którego nie mogłem mu zapewnić, zrozumiałem, że przejmując się losem Jeannie nie mniej niż ja.

W końcu, późnym popołudniem drugiego dnia, Loren zapytał, czy może mnie odwiedzić. Dodał, że moglibyśmy przy okazji podyskutować o napisanej przezeń sztuce. Zabrzmiało to tak, jak gdyby potrzebował towarzystwa, a ponieważ ja czułem się podobnie, wyraziłem zgodę.

Przyniósł ze sobą butelkę białego wina. Wręczył mi ją tuż za progiem, po czym uściśnił mi sobie dłonie. Wyglądał na jakiegoś trzydzieści pięć lat i był ode mnie wyższy, choć znacznie słabiej zbudowany. Jego gładko ogolona twarz miała regularne, przyjemne dla oka rysy. Spróbowałem dopasować ją do treści sztuki, lecz jakoś nie udawało mi się to.

Rozejrzał się nerwowo po pokoju.

— Gdzie jest Howard?

— Śpi w sypialni.

— Czułbym się znacznie lepiej, gdybyś zamknęła drzwi.

— Już to zrobiłem.

Uśmiechnął się z ulgą i podszedł do kanapy.

— Napijesz się? — spytałem, podnosząc w górę butelkę.

— Wolałbym kawę.

Włączyłem ekspres, po czym usiadłem w fotelu. Na kilka minut zapanaowała niezręczna cisza. Nie wiem, o czym myślał Loren. Co do mnie, musiałem włożyć sporo wysiłku, by odpędzić wizję dramaturga baraszkującego w łóżku z Jeannie. Pod pretekstem przygotowania kawy wyszedłem z pokoju i zacząłem gorączkowo wymyślać jakiś temat do rozmowy.

Wróciwszy z filiżankami, zastałem Lorena wertującego maszynopis.

— Przyszedł ci do głowy jakiś tytuł? — zagadnął.

W ogólnym zarysie, sztuka opowiadała o tym, jak w domu pewnego małżeństwa z powiatu Nassau zamieszkał młody, atrakcyjny Anglik, który dostał roczne stypendium na uniwersytecie Columbia. Cztery razy w tygodniu razem z panem domu jechał do miasta. Anglik udawał się na uniwersytet, a człowiek, u którego mieszkał — do biura handlowego. Piątego dnia Anglik zostawał w domu, aby pisać pracę, aż pewnego razu wylądował w łóżku swojej gospodyni.

Wbrew pozorom, fabuła wcale nie była prosta i sztuka zasługiwała na lepszy tytuł niż *Tragedia w powiecie Nassau*. Poza tym, często pojawiały się w niej naprawdę śmieszne momenty.

— A gdyby nazwać to *Piątkową zamianą*? — podsunąłem. Loren myślał przez chwilę.

— Nie, nie podoba mi się.

— To może po prostu *Zamiana*!

— Taki tytuł kojarzy mi się z tanimi powieściami o niewiernych żonach.

— Też prawda — przytaknąłem. Wbiłem spojrzenie w sufit, rozważając różne kombinacje słów.

— Może *Piątek w Nassau* — powiedział z wahaniem Loren.

— W którym Nassau? Taki tytuł za bardzo trąci tropikami.

— Wiem — uśmiechnął się Loren.

— *Piątek*.

Loren przyjrzał mi się z uwagą. Parę razy powtórzył to słowo, bezdźwięcznie poruszając ustami, aż w końcu jego twarz rozjaśniła się.

— Świetnie. To jest bardzo dobry tytuł, *Piątek*. Oczywiście.

Poczułem przypływ dumy. Loren powtarzał tytuł z taką miną, że od

razu wiedziałem, iż właśnie tego szukał. Zaraz też powiedział, że powinniśmy to uczcić. Otworzył butelkę i napełnił winem dwa kieliszki.

— *Za Piątek* — wzniosł toast.

A kiedy już za oknami zapadły ciemności, rozgałał się o swojej sztuce oraz o tym, jak przybył do Nowego Jorku przed piętnastu laty. Od tego czasu odniósł parę drobnych sukcesów, ale dopiero *Piątek* miał być zwieńczeniem jego dotychczasowych doświadczeń. Potem zapytał, co ja robię. Opowiedziałem mu o drążeniu tuneli i o tym, jak razem ze starym podróżowaliśmy po całym świecie. Loren przerywał mi od czasu do czasu, głównie po to, by powiedzieć, że zazdrości mi takich przeżyć, zupełnie obcych dla kogoś, kto, tak jak on, wywodzi się z przeciętnej rodziny zamieszkałej na północy stanu.

Czułem, iż z każdą chwilą lubię go coraz bardziej. Doszedłem także do wniosku, że choćby nawet łączyła go z Jeannie najgorętsza przyjaźń, nigdy nie zostanie jej kochankiem. Miałem również pewność, że nigdy nim nie był. Siedział przede mną gejj, bynajmniej nieukrywający swych skłonności. Nie powiedział mi tego wprost, ale sposób, w jaki się wypowiadał i poruszał się, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Zauważywszy, z jakim zainteresowaniem reaguję na wszelkie wzmianki o Jeannie, uraczył mnie garścią dykteryjek z różnych okresów jej życia.

— Wiesz, nie mogło jej się przytrafić nic lepszego w życiu niż to, że ciebie poznała — rzekł po chwili milczenia.

— Znamy się dopiero trzy tygodnie.

— Wiem. Ale Jeannie jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa.

— Czy nie przeszkadza jej, że jestem od niej młodszy?

— Nie.

W zamku drzwi wejściowych zachrobotał klucz. W następnej chwili w progu stanęła Jeannie i, ujrawszy Lorena i mnie, zrobiła zdumioną minę. Zrzuciła płaszcz, a następnie wpadła do pokoju.

— Jestem wolna — powiedziała z nutą triumfu w głosie.

Przyskoczyła do Lorena, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała. Potem tanecznym krokiem podbiegła do mnie i, zarzuciwszy ramiona na szyję, pocałowała w usta.

— Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? — spytał Loren.

Od strony sypialni dobiegł ciężki tupot nóg. To Howard wyczuł obecność swojej pani. Jeannie zniknęła w przedpokoju, gdzie w chwilę później rozległy się radosne piski powitania. Kiedy wróciła z Howardem u boku, Loren wyraźnie pobladł. Na szczęście dla nas pies był bez reszty pochłonięty witaniem Jeannie.

- Wystraszyłaś nas, głuptasie — rzekł Loren.
- Strasznie was przepraszam. Nic mi nie jest.
- Co się stało? — zapytałem.

Jeannie złapała mój kieliszek wina i opróżniła go jednym haustem. Popatrzyła na nas z rozbawieniem, po czym usadowiła się między nami.

— Gdy tylko wysiadłam z samolotu w Los Angeles, od razu wiedziałam, że popełniłam pomyłkę. Studio wysłało po mnie samochód, na szczęście w porę go spostrzegłam, złapałam taksówkę i kazałam zawieźć się na dworzec.

- Na jaki dworzec? — zdziwił się Loren.

— Kolejowy, rzecz jasna. Pamiętałam przecież o tych wszystkich nowojorskich dramatopisarzach, którzy uciekali do domu „Super Chiefem”, i postanowiłam zrobić to samo. Ponieważ jednak „Super Chiefa” nie było, kupiłam bilet na „California Zephyr”. Wysiadłam w Chicago, a stamtąd samolotem dotarłam do Nowego Jorku. Potem taksówka przywiozła mnie pod dom, w którym zastałam dwóch najbliższych mi mężczyzn. To wszystko. — Parsknęła śmiechem. — Dzięki temu, że zdecydowałam się na pociąg, miałam mnóstwo czasu na przemyślenie, czy przypadkiem nie zrobiłam kolejnego błędu.

- I do jakiego doszłaś wniosku?

— Na pewno postąpiłam słusznie. Jestem aktorką związaną z Nowym Jorkiem. A teraz opowiedzcie mi, jakim cudem spotkaliście się?

- Dick przeczytał sztukę — wyjaśnił Loren. — I dał jej tytuł.

— Jaki?

— *Piątek*.

Pokiwała głową.

— Niezły. Całkiem niezły. Nie pozostaje ci już nic innego, jak tylko znaleźć producenta.

— Sam się tym zajmę. Mam sponsorów i mnóstwo forsy. Planuję premierę na jesień.

— Loren. — Jeannie złapała go za szyję i ucałowała w oba policzki. Pomyślałem sobie, że skoro przez tyle lat Loren przebywał w towarzystwie Jeannie, a mimo to pozostał gejem, to już nic nie mogło tego stanu zmienić.

- Czy mogę dostać rolę żony? — spytała Jeannie z uśmiechem.
- Oczywiście — łagodnie odparł Loren. — Nie bądź taka nieśmiała.
- Czyż to nie wspaniała sztuka, Dick?
- Bardzo mi się podoba.
- A Dick niech będzie Anglikiem — zaproponowała.
- Nie umiem grać.
- Nauczymy cię. Natomiast Loren zagra męża.
- Loren może być mężem — odparłem — ale ja nie jestem aktorem.
- Któż to wie — wtrącił Loren. — A tak poważnie, Jeannie. Już się

nad tym zastanawiałem. Nie mogę zagrać męża, skoro tę sztukę napisałem oraz jestem jej reżyserem i producentem. — Spojrzał w moją stronę. — Jeśli człowiek robi naraz tyle rzeczy, łatwo może zatracić zdolność trzeźwej oceny.

- No dobrze, ale przynajmniej niech Dick zagra Anglika.
- Nie umiem grać.

Loren z uśmiechem przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Czuję, że Jeannie zbyt mocno go naciska.

— Nauczę cię — powiedziała. Była taka szczęśliwa, iż w tym momencie nie potrafiłem wyczuć, czy traktuje swój pomysł poważnie. Miałem natomiast absolutną pewność, że w pierwszej dużej sztuce Lorena nie powinien występować amator.

— Nie umiem naśladować angielskiego akcentu — obstawałem przy swoim.

— To całkiem proste — zapewniła Jeannie. — Loren, powiedz coś po angielsku.

— Ale co to ma być? — odrzekł Loren z ledwie wyczuwalnym brytyjskim akcentem.

26.

Howard — zawołałem do drzemiącego psiaka. — Może wybierzesz się na spacer ze mną i Lorenem?

Na słowo „spacer” obwisłe uszy czujnie drgnęły i Howard obudził się do życia.

— Świetny pomysł — stwierdziła Jeannie. — Muszę wziąć prysznic i zmienić te ciuchy.

— Tak, tak — mruknął Loren. — Oczywiście.

— Kreciku — powiedziała Jeannie — pomóż mi zataszczyć bagaż. — Wskazała lekką walizkę, z którą podróżowała do Los Angeles i z powrotem, po czym zniknęła w sypialni. Pozostawiwszy na kanapie nieco urażonego Lorena, złapałem walizkę i wyszedłem z pokoju. Gdy tylko przekroczyłem próg sypialni, Jeannie wyszarpnęła mi walizkę, po czym wsunęła ją pod łóżko. Podeszła bliżej i złapała pieszczotliwie zębami za moją wargę.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś nie przyprowadzał Lorena z powrotem. Od chwili, gdy byłeś taki niedobry, upłynęły już cztery dni, a ja przez cały ten czas spałam sama. Dłużej nie wytrzymam.

Musiła mylnie odczytać wyraz mojej twarzy, gdyż dodała:

— On to zrozumie. Nie musisz się tym przejmować.

Wypchnęła mnie na korytarz i zatrzasnęła drzwi. Wróciłem do salonu. Założyłem smycz Howardowi, a następnie otworzyłem szafę i wyjąłem

nasze kurtki. Ubrałem się, natomiast Loren oglądał swoją tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

— Idziemy — rzuciłem, usiłując zapanować nad głosem.

Zrezygnowany Loren wzruszył ramionami i skierował się do wyjścia. Milczeliśmy w windzie. Milczeliśmy w holu na dole, a także na odcinku pomiędzy dwiema przecznicami, gdy szliśmy w stronę Szóstej.

Zatrzymaliśmy się na światłach na skrzyżowaniu z Bleecker.

— Ile za nie dostałeś? — zapytałem.

— Sto tysięcy — odparł ponuro.

— Były warte około miliona.

— Najwyżej siedemset pięćdziesiąt tysięcy, gdybyś sprzedawał po parę sztuk przez kilka lat. Ja nie miałem tyle czasu. Rozmawiałem z różnymi ludźmi. Wszyscy mówili to samo.

— Komu je sprzedałeś?

Loren westchnął.

— Nieznajomej osobie bez twarzy, która odsprzeda je innej nieznajomej osobie bez twarzy. Ta zaś zaproponuje je muzeum i dostanie więcej niż ty czy ja moglibyśmy sobie zamarzyć.

Zapaliło się zielone światło i poprzędzani przez Howarda przeszliśmy na drugą stronę ulicy.

— Na co liczyłeś, usiłując wejść do tunelu?

— Wiedziałem, że znalazłeś dwie monety.

— Powiedziała ci Jeannie?

— Nie — rzucił ostro. Położył mi dłoń na ramieniu. — Ona o niczym nie wiedziała i w dalszym ciągu nie wie.

— W to akurat wierzę. Ale jak ty się dowiedziałeś?

— Zostawiłeś wiadomość na automatycznej sekretarce.

— Podśluchiwałeś?

— Nie. Byłem u niej, gdy odtwarzała zapis. Chyba nawet nie zorientowała się, że też go usłyszałem. — Howard pociągnął mnie do przodu, więc Loren musiał przyspieszyć kroku. — Nie znam się na monetach, ale pomyślałem sobie, że przy odrobinie szczęścia mogę znaleźć coś cennego. Wartość niektórych okazów sięga nawet dwudziestu pięciu tysięcy.

— Skąd przyszło ci do głowy podszyć się pod Archibalda Byrona? Ten człowiek istnieje naprawdę.

— Spotkałem go na jakimś przyjęciu. Zapamiętałem nazwisko.

Liczyłem, że jeśli w tunelu ktoś spyta mnie, kim jestem, przedstawię się jako Archibald Byron, a muzeum potwierdzi, że ktoś taki u nich pracuje.

— Czy idąc dziś na spotkanie ze mną nie bałeś się, że cię rozpoznam?

— Nie bardzo. Znam się trochę na charakteryzacji. Ogorzała cera, wąsy i okulary zamieniły moją przeciętną twarz w prawdziwą maskę.

— Gdzie są pieniądze?

— Część leży w banku. Sporo zapłaciłem teatrowi. Dając im dużą przedpłatę, wytargowałem dobre warunki.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie czuję w sobie wściekłości. Prawdę mówiąc, nie byłem nawet zły.

— Pewną sumę mogę oddać ci już teraz. Być może, jeśli znajdę sponsora, później dołożę ci więcej.

— Nie chcę pieniędzy sponsorów.

— No to spróbuję wycofać zaliczkę z teatru.

— Nie.

— Pewnie uda mi się co nieco wyrwać.

— A *Piątek* nie pojawi się na scenie i Jeannie zostanie bez pracy. Ponieważ nie znam się na teatrze, powiedz szczerze: czy ta sztuka jest naprawdę dobra?

— Tak.

— Czy przyniesie sukces?

— Kasowy? Może. Ale na to za bardzo bym nie liczył.

— Zrobimy tak — powiedziałem. — Przyjmujemy, że jestem sponsorem. Nie całego przedstawienia, bo ty też włożyłeś w nie sporo pracy, ale poważnej jego części.

— Nie żartujesz? — upewnił się Loren.

— Nie.

— Chcesz zagrać Anglika?

— W żadnym wypadku.

Ciężko westchnął.

— Teraz tego żałuję, ale wtedy, gdy cię nie znałem, wszystko wydawało się takie proste.

Poczułem wzbierającą złość.

— Czy wiesz, że omal nie zabiłeś Jeannie?

Wybuchnął śmiechem. Podniosłem rękę, aby mu przyłożyć, on jednak pośpiesznie uskoczył.

- To były ślepanki — wyjaśnił.
- Co takiego?
- Teatralny rekwizyt.
- Rewolwer wyglądał jak prawdziwy.
- Ale był załadowany ślepyimi nabojami.

Ktoś, kto z nienabita bronią porwał się na czterech tunelarzy, musiał mieć nerwy jak postronki. Powiedziałem mu o tym. Loren ponownie się roześmiał.

— Gdybym wiedział wcześniej, jak to będzie, nigdy bym się na coś takiego nie odważył. Kiedy tamten olbrzym sięgnął po łopatę, myślałem, że już po mnie.

— Niewiele brakowało.

— To było okropne.

— Świetnie sobie poradziłeś. — Przystanęliśmy obok stacji metra na Czwartej Zachodniej. — Teraz wracam do Jeannie. Nigdy jej nie mów, co się wtedy naprawdę zdarzyło.

— Oczywiście.

— Pamiętaj. Nie powinna o tym wiedzieć.

Loren uśmiechnął się blade.

— A jeśli sztuka okaże się przebojem i nagle przyniesie ci kupę forsy?

— Wtedy powiem jej, że znalazłem monety.

27.

Drzwi sypialni wciąż były zamknięte.

- Nie wchodź — ostrzegła Jeannie. — Robię się na piękność.
- I tak jesteś piękna.
- Powiem ci, kiedy będę gotowa. Na razie zrób sobie drinka.

Przeszedłem do salonu i nalałem do szklanki szkockiej. Potem przyniosłem z kuchni nóż i zabrałem się za zeskrobywanie skorupy błota z ostatniej monety. Nadzieja, że może to być okaz za dwadzieścia pięć tysięcy, szybko prysła. Środek krążka okazał się bowiem pusty. Dziura powiększała coraz bardziej swoje rozmiary, a ja z każdą chwilą nabierałem pewności, iż cały krążek składa się wyłącznie z błota.

Dopiero w pobliżu krawędzi nóż natrafił na coś twardego. Przeniosłem się do kuchni i splukałem resztę błota gorącą wodą. Na mej dłoni pozostał złoty pierścień przyozdobiony wygrawerowaną paszczą zwierzęcia. Osuszyłem pierścień ściereką, a potem polerowałem go tak długo, aż zalśnił dawnym blaskiem.

Przyjrzałem się dokładniej zawilemu rysunkowi. Paszcza musiała należeć do jakiegoś mitycznego stworzenia, choć przy bliższych oględzinach można się było w niej dopatrzeć podobieństwa do pyska Howarda.

Wsunąłem pierścień do kieszeni koszuli. Będzie z niego bardzo ładny prezent.